

Co sobie myśli AI ■ Pół biliona na broń ■ Polscy geje emigranci
Powrót Monte Cassino ■ Jubilat Godzilla ■ Terapia architekturą

Kraków 3 – 9 kwietnia 2024 nr 14 (3900)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jon Fosse mystyk noblista DLACZEGO ZOSTAŁ KATOLIKIEM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

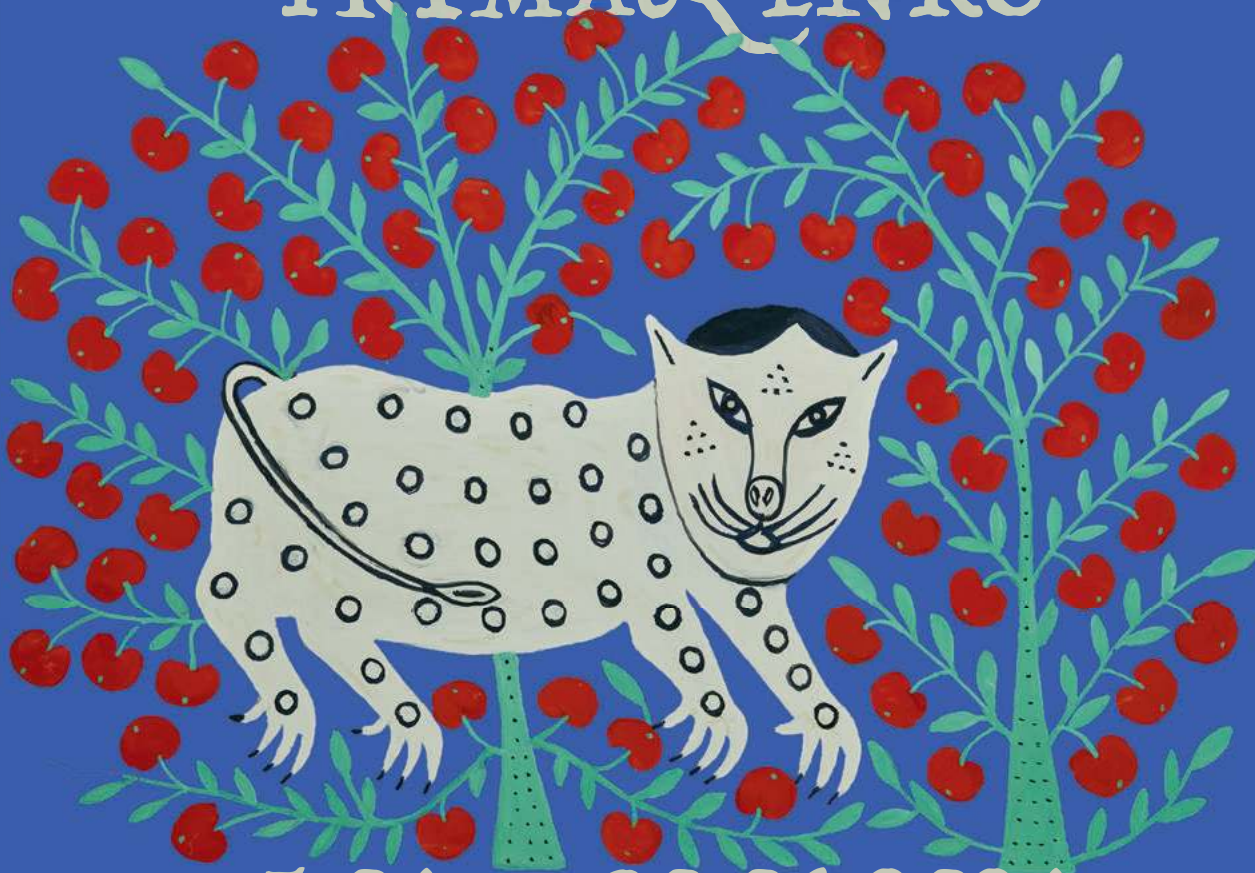


9 770041 480406

STRONY SPECJALNE
LITERACKA NAGRODA KAZANECKIEGO

Tygrys
w ogrodzie

SZTUKA MARII
PRYMACZENKO



5.04 ~ 30.06.2024
MUZEUM SZTUKI
NOWOCZESNEJ
W WARSZAWIE



Instytucja kultury
miasta stołecznego
Warszawy

Partner strategiczny Muzeum

INVEST
KOMFORT

Patronat honorowy

Miasto Stołeczne Warszawa

Mecenas Muzeum i Kolekcji

EY

Współpraca medialna

Współpraca medialna

Partner prawny Muzeum

DZP

Współpraca medialna

Współpraca medialna

Partnerzy wystawy

THE COLLECTION
OF EDUARD DYMBYTS

Partnerzy wystawy

Partnerzy wystawy

THE COLLECTION
OF EDUARD DYMBYTS

Partnerzy wystawy

Partnerzy wystawy

Przymachenko

Partnerzy wystawy

Partnerzy wystawy

Łódzki

Partnerzy wystawy

Partnerzy wystawy



KS. ADAM

Boniecki: Rekolekcje, czyli ćwiczenia

CZASEM PRZEZNACZONYM TRADYCYJNIE NA rekolekcje jest Wielki Post. Ale bywa też inaczej: są ludzie, którzy na rekolekcje poświęcają część urlopu. I to – czasem – po latach przeżytych bez rekolekcji. I tak, trochę z myślą o nich, postanowiłem napisać o rekolekcjach, kiedy już Wielki Post minął.

Tych prowadzonych przeze mnie rekolekcji było bardzo dużo. Wiem, że dla niektórych uczestników to taka seria wieczornych pogadanek. Kilka lat temu wpadłem na pomysł, by z pozycji kaznodziei rekolekcyjnego powiedzieć słuchaczom, że jeśli ktoś chciałby ze mną porozmawiać, to wystarczy się zapisać. Żeby było po kolei, nie wszyscy naraz. To był pomysł dobry dla słuchaczy i tak już prawie zawsze robiłem na rekolekcjach. Bywało, że musiałem potem przejechać raz jeszcze, by rozmawiać, spotkać osoby, z którymi w czasie rekolekcji już się nie dało spotkać. Ale ten pomysł był dobry i dla mnie. Rekolekcje przestawały być moimi występiami, stawały się wspólną pracą. O tych rozmowach prywatnych oczywiście nie mówiłem w rekolekcyjnych naukach, ale byłem przez nie przygotowywany. Już nie wygłaszałem „nauk”.

Inna i najczęstsza jest sytuacja, gdy przychodzi mówić do pełnego kościoła. Jest oczywiste, że są w nim różni ludzie i różne potrzeby. Mniej oczywista jest tematyka. Opowiadanie „przykładów” często jest ucieczką od celu rekolekcji. Oczywiście, życie zawiera wiele sytuacji, które można uznać za klasyczne, powtarzalne, wzorcowe. Jednak pokusa sięgania po historyjki opisane w gotowych wzorach kazań, być może prawdziwe, może lekko upiększone, używane przez innych kaznodziejów, z czasem coraz dalsze od wersji pierwotnej, być może znane słuchaczom od kogoś innego, jest marnowaniem czasu tych słuchaczy. Może do dzieci należy mówić obrazami z życia.



Pytanie, czy jest sens sięgania po drukowane odwieczne „przykłady”. Konia z rzędem temu, kto tej pokusie nigdy nie uległ. Przyznam, że dość wcześnie ją odrzuciłem. Owszem, są „przykłady” z życia. Takich do opowiadania na rekolekcjach i w ogóle do opowiadania jest znacznie mniej. To są sprawy konkretnych ludzi. Należy je szanować. Często ksiądz jest jedynym człowiekiem, który te opowieści poznał. Nie są dla wszystkich, zresztą bywa, że choć poznana historia wydarzyła się w innym

krańcu Polski, to znający ludzi, o których mowa, są na rekolekcjach. Wtedy widać wyraźnie, że to opowiadanie jest brutalnym naruszeniem dyskrekcji. Dzięki Bogu, nie mam dziś takich pokus.

O czym zatem należy mówić? Pytanie jest tak otwarte, że nie znajdziemy na nie wyczerpującej odpowiedzi. Rekolekcje jednak mają określony cel czy raczej określone cele. Rekolekcje mają przypomnieć o sprawach, które w codziennym życiu znikają z pola uwagi lub się kryją pod mnóstwem spraw, które nas pochłaniają, zdaje się, bez reszty. Dlatego trudność w głoszeniu rekolekcji polega na tym, że nauki muszą mówić o sytuacjach, w których znajduje się słuchacz (przy różnorodności słuchaczy – trudne), i odnieść je do tego, co wynika z wiary. Jak tu mówić o wierze? Moralizowanie, gromienie grzechów – z tym radzę uważać. Oczywiście, rekolekcje są po to, byśmy się z grzechów poprawiali, ale czy gromienie powstrzymało kogokolwiek? Lepiej mówić o cudownej łasce przebaczenia (i pokucie).

W rekolekcjach działa dobra wola tych, którzy przyszli i – jak wierzę – działa łaska Pana Boga. Bo o nawróceniu mogą zdecydować jakieś błahе słowa, ku zdumieniu mówiącego. Nawraca zawsze Pan Bóg, a nie nawet najlepszy rekolekcionista. ©

TP

Nasi dziennikarze nominowani do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za najlepszy reportaż

Serdecznie gratulujemy **Małgorzacie Nocuń i Pawłowi Pieniżkowi**, których książki reporterskie zostały uznane przez jury jako najlepsze tytuły podejmujące ważne problemy współczesności.



Czytelniczki i czytelników zachęcamy do zapoznania się z tekstami nominowanych dziennikarzy na naszych łamach oraz w serwisie TygodnikPowszechny.pl.

20 Paradoxy samorządu**PIOTR ŚMIŁOWICZ**

Wybory samorządowe w Polsce rządzą się zupełnie innymi prawami niż te ogólnopolskie. Bywają trampoliną, ale i kołem młyńskim u ziży.

**TEMAT
Z OKŁADKI****32 Skąd przychodzi światło****SEBASTIAN DUDA**

W dzieciach Jona Fossego mamy do czynienia z zapisem religijnego doświadczenia. Co przywiodło do katolicyzmu laureata Nagrody Nobla?

**42 Gejmigranci****SZYMON ŁUCYK**

Jak żyją polscy emigranci LGBT+? Dlaczego wyjechali? Co daje im prawna ochrona ich związków? Co w ich życiu zmieniłoby przyjęcie w Polsce ustawy o związkach partnerskich? Zapytaliśmy o to trzy pary mieszkające we Francji.

**56 Bili my się do końca****PATRYCJA BUKALSKA**

Monte Cassino zapisało się w historii wielu narodów jako jedno z najcięższych zmagañ II wojny światowej. Dla Polaków legenda tej bitwy miała jednak w minionych 80 latach znaczenie wyjątkowe.

**72 Bardziej rzeźba niż masa****MICHAŁ WALKIEWICZ**

Jubilat Godzilla rósł wprost proporcjonalnie do globalnego lęku przed wojną, efektem cieplarnianym albo kulturowymi rewolucjami. Właśnie powraca w parze z King Kongiem.

86 Terapia architekturą**BEATA CHOMĄTOWSKA**

„Dobra przestrzeń to taka, która nikogo nie wyklucza” – mówi architektka Magdalena Milert.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Rozliczyć Ziobrę
PIOTR ŚMIŁOWICZ**8-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA
KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Paradoxy samorządu
PIOTR ŚMIŁOWICZ**23 Ballada o lekkim
zabarwieniu militarnym**
MAREK RABIJ: *W najbliższej
pięciolatce na uzbrojenie armii
wydamy ponad pół biliona
złotych***25 Przyroda po nowemu**
ROZMOWA Z MIKOŁAJEM
DOROŻĄŁĄ, WICEMINISTREM
KLIMATU I ŚRODOWISKA:
*To resort wyznacza kierunki
działań. Lasy Państwowe
i Polski Związek Łowiecki
muszą otworzyć się na zmiany***28 Starość ma przyszłość**
ELIZA LESZCZYŃSKA-PINIĄK
o nowej polskiej demografii

■ ■ WIARA

32 Skąd przychodzi światło
SEBASTIAN DUDA**36 Nie zardzewieć
w więzieniu**
JAN OPIELKA
*o studentach-osadzonych***39 Autobiografia papieża:
wspomnienia i zmyślenia**
EDWARD AUGUSTYN:
*Franciszek sam rysuje portret,
jaki chciałby zostawić*

■ ■ ŚWIAT

42 Gejmigranci
SZYMON ŁUCYK

TEMAT TYGODNIKA

**12 Zajrzyjmy pod maskę
sztucznej inteligencji**

ŁUKASZ LAMŻA

Generatory tekstu bywają przedstawiane jako tajemnicze czarne pudełko lub Potężny Geniusz. Gdy jednak potraktujemy je jak program komputerowy, ujawni nam się całe mnóstwo sztuczek: zwykle mało eleganckich, a często niebezpiecznych.

■ STRONY SPECJALNE ■

**67 NAGRODA LITERACKA PREZYDENTA
BIAŁEGOSTOKU IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO**

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **61** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZNA OKŁADCE: JON FOSSE, 5 PAŹDZIERNIKA 2023 R.
FOT. EIRIK HAGESAETER / AFP / EAST NEWSRedaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**47 Dwa oblicza jedynomyślności**
PIOTR OLEKSY: *Europa chce być
strategicznym graczem***50 Wszyscy jechaliśmy tym
pociągiem**AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
*11 marca 2004 roku islamscy
terrorysty pozostawili w czterech
pociągach trzynaście toreb
z materiałami wybuchowymi***52 Imperium na papierze**MARTA ZDZIEBORSKA:
Słabnąca kampania Trumpa

■ ■ HISTORIA

56 Bili my się do końca
PATRYCJA BUKALSKA

■ ■ NAUKA

62 Pionierzy
ŁUKASZ KWIATEK: *Kim byli
pierwsi Europejczycy, dlaczego
mamy płaskie twarze i jaką
rolę w naszej ewolucji odegrały
przemoc oraz kanibalizm?*

■ ■ KULTURA

72 Bardziej rzeźba niż masa
MICHAŁ WALKIEWICZ**76 Obuch i miotła**
DARIUSZ KOŚCIŃSKI: *„Wesele”
Mai Kleczewskiej rozczarowuje***79 Poznajcie anonimowych
mieszkańców**
FILIP ŁOBODZIŃSKI:
*Twórczość The Residents ma nas
przenieść w świat, gdzie panuje
umowność i wyobraźnia***82 Kobieta samotna**
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Kobieta z...”
*Małgorzaty Szumowskiej***83 Do synagogi**
LEKTOR o książce Icchoka
Lejbusza Pereca
„Nocą na Starym Rynku”

■ ■ ZMYŚŁY

86 Terapia architekturą
BEATA CHOMĄTOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Nowi dżihadyści: zwalczają talibów i wyrównują rachunki z Rosją. Skąd się wzięli? Wyjaśnia **WOJCIECH JAGIELSKI**
TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata

➔ Podkast Tygodnika Powszechnego

Cykl rozmów **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** – o tym, jak w kobiecie tworzy się i umacnia niezależność. W najnowszym odcinku podkastu rzeźbiarka **MONIKA OSIECKA** | TygodnikPowszechny.pl/Podkast

**Tvoja pierwsza prenumerata
na stronie 55**

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

ROZLICZYĆ ZIOBRĘ

Jeśli prokuraturze nie uda się przekonać społeczeństwa, że siłowa akcja wobec byłego ministra była uzasadniona, Tusk może uzyskać efekt przeciwny do zamierzonego.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

REWIZJA W DOMACH BYŁEGO MINISTRA sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i kilku jego współpracowników doprowadziła do politycznego trzęsienia ziemi. Stało się to w Wielkim Tygodniu, kiedy zazwyczaj polityka zamiera. Ten rok jest jednak wyjątkowy: kampania goni kampanię, a jednocześnie trwają rozliczenia epoki PiS, gdzie śledztwo w sprawie Funduszu Sprawiedliwości ma wymiar symboliczny.

Już sam fakt, że tego rodzaju działaniom zostali poddani funkcjonariusze wszechmocnego przez osiem lat resortu, musiał wywołać poruszenie opinii publicznej. Jednak chyba nikt się nie spodziewał, że przy tej okazji po raz pierwszy od listopada publicznie pojawi się sam Ziobro, przebywający za granicą na terapii w związku z ciężką chorobą nowotworową.

SPRAWA NIE JEST PROSTA i należy ją rozpatrywać na kilku poziomach. Pierwszy dotyczy samej zasadności śledztwa. Tu raczej nie ma wątpliwości, nawet sami politycy

Były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro przed swoim domem w Warszawie, 27 marca 2024 r.



RAFAŁ GUZ / PAP

Suwerennej Polski szczególnie nie zaprzeczają, że środki z funduszu wydatkowano niezgodnie z przeznaczeniem. Wynika to zresztą z raportu NIK oraz innych informacji na ten temat, krążących od dawna w przestrzeni publicznej. Także w słynnych mailach wykradzionych ze skrzynki Michała Dworczyka premier Mateusz Morawiecki sugerował, że są podstawy do wykazania naruszenia prawa w finansach Solidarnej Polski (poprzednia nazwa partii Ziobry). Fundusz Sprawiedliwości, stworzony dla ofiar przestępstw, a zamieniony w części w partyjną skarbnicę, z której płynęły miliony do zaprzyjaźnionych środowisk, odgrywał w tym systemie kluczową rolę.

Mniej jednoznaczne są przyjęte przez prokuraturę metody. Nawet jeśli uznamy, że immunitet nie obejmuje miejsca zamieszkania posła, wciąż nie jest pewne, czy prokuratura zrobiła wszystko, by zawiadomić zainteresowanych o planowanym przeszukaniu, do czego była zobowiązana. Chodzi głównie o Ziobrę, który przebywał na leczeniu za granicą, a do którego, jak on sam twierdzi, prokuratura się nie odezwała. Ziobro powołuje się na bilingi, które mają być obiektywnym tego dowodem. Nie można wykluczyć, że mówi prawdę, a prokuratorzy, pomni jego stanu, po prostu z góry uznali, że były minister jest nieosiągalny i zadowolili się kontaktem z jego rodziną, która odmówiła asysty przy rewizji.

NAGŁY PRZYJAZD ZIOBRY, który wbrew woli lekarzy przerwał kurację, to kluczowy element trzeciego poziomu sprawy – rozgrywki medialnej. Ta została wygrana raczej przez byłego ministra i jego stronników, od dawna znanych z umiejętności narzucania narracji, o czym trochę zapomniał rząd. Widok wychudzonego Zbigniewa Ziobry, z widocznymi śladami po operacji i mającego kłopoty z mówieniem, musiał zrobić wrażenie na wszystkich poza twardym elektoratem tzw. antypisu. Wywoływał odruch współczucia, rzucając na prokuraturę odium narzędzia politycznej zemsty, użytego przez Donalda Tuska i Adama Bodnara. Zresztą ziobryści nieprzypadkowo zaczęli nazywać prokuratorów „bodnarowcami”, co brzmi bardzo podobnie do złowrogich „banderowców”. Wcześniej zaś nagłaśniali pozbawione empatii opinie o Ziobrze ze strony wpływowej prokurator Ewy Wrzosek.

AKCJA PROKURATURY z udziałem zamaskowanych oficerów, po której nie można od razu podzielić się informacjami o do-

wodach, nie była łatwa do medialnego zagospodarowania. Ale to nie znaczy, że niemożliwa. Minister Bodnar mógł od razu zwołać konferencję prasową, na której przedstawiłby społeczeństwu uzasadnienie działań podległych mu służb. Mógł otwarcie wytłumaczyć, że sprawa nie jest polityczna, ale kryminalna, a zarazem prowadzona zgodnie z wszelkimi procedurami. Mógł przypomnieć też spektakularne przypadki łamania przez Ziobrę praworządności, co zapewne radykalnie zmniejszyłoby poziom współczucia dla byłego ministra i sprawiło, że wielu z nas pomyślałoby: „nosił wilk razy kilka...”.

Na razie jednak większą kontrolę nad narracją przejęli Ziobro i jego kompani. Co będzie dalej? Wszystko zależy od jakości dowodów znalezionych u byłego ministra, choć politycy SP na wszelki wypadek już przekonują, że nie całe przeszukanie było filmowane, więc śledczy mogli Ziobrze coś podrzucić.

JEŚLI ZEBRANE DOWODY okażą się jednak bezsporne i uzasadniające beceremonialną akcję, to Suwerenna Polska i sam Ziobro znajdą się w trudnej sytuacji. Wtedy byłemu ministrowi sprawiedliwości może już nie pomóc widok jego umęczenia chorobą, wyznania nachodzonej rodziny i dramatyczna decyzja o przerwaniu kuracji. Jeśli jednak zgromadzony materiał okaże się lichy, każde ewentualne pogorszenie stanu zdrowia Ziobry (czego mu nie życzę) będzie siłą rzeczy obciążać także Tuska i Bodnara.

Racje prokuratury mają potwierdzać środki prawne, podjęte wobec niższych urzędników zaangażowanych w aferę, a także los kontrowersyjnego księdza Michała O., który z Funduszu Sprawiedliwości otrzymał prawie 100 mln na budowę nowoczesnego ośrodka, choć jego fundacja nie miała żadnego doświadczenia w działalności na rzecz ofiar przestępstw. Kapłan, co prawda, decyzją sądu trafił już do aresztu, ale ten fakt nie musi być w opinii publicznej wystarczającym dowodem wagi zarzutów dla Ziobry. Zbyt wiele było w przeszłości przypadków „aresztów wydobyczych”, w których gustowała zresztą bardzo mocno ekipa szefa SP. Dlatego prokuraturze należałoby poradzić, by w miarę szybko ujawniła – w maksymalnym zakresie i w przejrzysty sposób – zgromadzone dowody w całej sprawie, ukazując mechanizm politycznej korupcji i systematyczne wysysanie majątku państwa przez poprzednią władzę i jej stronników. Inaczej sprawca stanie się ofiarą. ©



GRAZYNA MAKARA

Prof. Andrzej Zoll: paragrafy dla Ziobry

Art. 231 § 1 Kodeksu Karnego. Odnosi się on do działania na szkodę interesu publicznego przez nadużycie uprawnień lub niedopełnienie obowiązku przez funkcjonariusza. Paragraf ten, moim zdaniem, wielokrotnie był naruszany, gdy minister Ziobro wykorzystywał prokuraturę dla dobra własnej formacji politycznej, np. wnosząc kasację wyroków niekorzystnych dla PiS. Zastosować go można także do nieprawidłowości w przekazywaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości lub przy ustaleniu braku nadzoru w wypadku afery hejterskiej. Jest on obwarowany karą pozbawienia wolności do lat 3.

Art. 231 § 2 Ten z kolei paragraf odnosi się do wykorzystywania swoich uprawnień dla korzyści osobistych lub majątkowych. Łamany był zwłaszcza przy procesie wytoczonym przeciwko lekarzom w związku ze śmiercią ojca Ziobry. Prokuratura wykorzystywana była np. do gnębienia sędzi Agnieszki Pilarczyk, która wydała wyrok uniewinniający lekarzy. Wymiar kary jest wyższy: pozbawienie wolności od roku do lat 10.

Art. 284 § 2 Paragraf stwierdza, że kto przywłaszcza sobie powierzoną mu rzecz ruchomą, podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Mógłby się np. odnosić do zorganizowania za unijne pieniądze przeznaczone na konferencję klimatyczną konwencji Solidarnej Polski w Krakowie w czerwcu 2013 r.

Art. 104 Konstytucji RP Są także – moim zdaniem – podstawy do przyjęcia odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu np. przez naruszenie konstytucji, związane z łączeniem stanowiska prokuratora generalnego z funkcją poselską.

Zastrzegam, że wypowiadam się tylko na podstawie znanych powszechnie faktów, a nie materiałów dowodowych. © Not. ASK



Niemcy zabiorą swoje śmieci

KRZYSZTOF STORY

20 TYSIĘCY TON ŻUŻLU Z NIE-mieckiej huty cynku od prawie dekady leży na składowisku w Tuplicach. Jest szansa na przełom: hałda ma zniknąć do końca października, a jeszcze w kwietniu władze Saksonii mają rozstrzygnąć przetarg na zabranie śmieci (na własny koszt).

Ministra klimatu Paulina Hennig-Kloska (na zdjęciu) napisała: „Sprząta- my po bezradności poprzedników. Dosłownie”. Resort podkreśla, że problem rozwiązano, bo rozmawialiśmy przy stole, a nie na sali sądowej. Faktycznie, 16 stycznia wiceministra Anita Sowińska spotkała się z niemiecką odpowiedniczką, Christiane Rohleder, która obiecała przygotować harmonogram wywozu śmieci z Tuplic.

Sukces jednak nie wziął się znikąd, a sprawa jest dużo starsza niż obecna władza. O hałdzie w Tuplicach wiadomo od 2015 r., a spór toczy się jeszcze o sześć innych, mniejszych składowisk (Stary Jawor, Sobolew, Gliwice, Sarbia, Bzo-

wo i Babin). Odpady wjeżdżały tam na „fałszywych papierach”, mówiących, że nadają się do recyklingu, a odbiorca ma możliwości taki recykling przeprowadzić. Łącznie to 35 tys. ton śmieci.

PiS przez lata był w tej sprawie bezradny, dopiero w 2023 r. Polska zaczęła działać bardziej zdecydowanie.

26 lipca złożyli- śmy skargę do Komisji Europejskiej, a potem do Trybunału Sprawiedliwości UE.

Wniosek został wysłany, gdy krajem rządził „dwutygodniowy” rząd Mateusza Morawieckiego.

Kluczową opinię wydała Komisja Europejska. 18 października, tuż po wyborach, uznała, że Niemcy już dawno powinni zabrać śmieci z Tuplic i częściowo ze Starego Jawora. W pozostałych miejscach KE brakuje dowodów, Polska musi czekać na wyrok TSUE i dalej negocjować. Przykład Tuplic pokazuje, że poza wolą do sąsiedzkiej współpracy warto mieć w tecze papiery z sądu. ©P



NA PUNKTY

BRAMKARZ

Polscy piłkarze pojadą jednak na mistrzostwa Europy: w barażu z Walią nie strzelili wprawdzie gola z gry, ale w karnych okazali się lepsi dzięki interwencji bramkarza, Wojciecha Szczęsnego.

PROKURATOR

Wnioski prokurator Ewy Wrzosek, uniemożliwiającej PiS faktyczne zabetonowanie w listopadzie 2023 r. władz TVP, zostały przygotowane przez działającą w Warszawie amerykańską kancelarię prawniczą – wynika z ustaleń Wirtualnej Polski.

PREMIER

Tutaj konieczna była interwencja Donalda Tuska, który na portalu X napisał w obronie pani prokurator, że „tym, którzy bezinteresownie odważyli się kilka lat temu wystąpić przeciw kłamstwu i złodziejstwu władzy, należy się szacunek. Szczególnie od tych, którzy na współpracy z tą władzą nieźle zarabiali” (amerykańska kancelaria, nawiasem mówiąc, zarabia dziś na obsłudze TVP).

MINISTER

Min. Adam Bodnar zapowiedział przekazanie Sejmowi raportu z kontroli operacyjnej i podsłuchów. W związku z tym prokuratura ma w najbliższych dniach powiadomić ok. 30 osób, że były podsłuchiwane przez Pegasusa. ©P



Francja: katolicyzm od nowa

MACIEJ MÜLLER

PONAD 12 TYS. OSÓB DOROSłych i nastolatków w Wielkanoc przyjęło we Francji chrzest. Tamtejszy Episkopat wskazuje, że ta liczba rośnie od kilku lat i jest największa od dwóch dekad. Szczególną uwagę w statystykach zwraca spora liczba osób młodych: o sakrament prosiło 5025 osób w wieku od 11 do 17 lat. W zeszłym roku było ich 2861; biskupi zwracają uwagę, że ich odsetek wyraźnie wzrasta od czasu pandemii.

Podobne zjawisko zgłasza Kościół w Belgii: tam liczba ochrzczonych w tym roku wyniosła tylko 362, ale – jak podkreślają biskupi – w ciągu dekady doszło do jej podwojenia. W obu przypadkach chodzi o kraje, w których historii katolicyzm odgrywał ważną rolę, ale dziś są mocno zsekularyzowane: np. 29 proc. Francuzów deklaruje katolicyzm, ale regularnie praktykuje tylko 8 proc.

Co czwarty z ochrzczonych wychował się w rodzinie bez-

wyznaniowej, dwóch na trzech wywodzi się z innego wyznania chrześcijańskiego, 5 proc. z islamu. Dwie trzecie to kobiety. Ks. Vincent Breynaert z francuskiej konferencji biskupów powiedział, że wielu katechumenów przyciągnęło „piękno liturgii, kojąca cisza kościoła, świadectwo przyjaciół, działalność influencerów”. Byli wolni od „z góry przyjętych wyobrażeń na temat Kościoła, potrzebowali formacji, punktów odniesie-

nia, wspólnoty i zakorzenienia”. Niektórzy z ochrzczonych wspominają, że ważne było spotkanie z księżmi nastawionymi na współpracę ze świecczymi, doświadczenie śmierci kogoś bliskiego albo poszukiwanie alternatywy dla konsumpcyjnego stylu życia.

Coraz większa liczba ochrzczonych dorosłych nie rekompensuje spadku liczby chrztów niemowląt i ogólne statystyki francuskiego katolicyzmu spadają. Nie można jednak powiedzieć, że jest on w odwrocie: przestaje być religią kulturową, staje się religią świadomego wyboru. Co z całą pewnością odmieni jego oblicze. ©P



Gambit ambasadora

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

JEST CYNICZNA, CZĘSTO BRUTALNA, ALE PRZEDĘ wszystkim dyplomacja Kremla nie marnuje okazji. I wiele wskazuje, że tak miało być i tym razem, gdy rosyjska rakietą na kilkadziesiąt sekund wleciała na terytorium Polski. Wydarzenia kolejnych dni wyglądają na dobrze wyreżyserowany dyplomatyczny spektakl. Główny bohater, ambasador Siergiej Andriejew, nie był jednak głównym rozgrywającym. Wystąpił jako pionek, którego Moskwa gotowa była poświęcić.

Już kilka godzin po incydencie MSZ ogłosiło, że „Polska będzie domagała się od Federacji Rosyjskiej wyjaśnień”. Zapewne w tym samym czasie do rosyjskiej ambasady w Warszawie wpłynęła nota, w której proszono o przybycie Andriejewa do MSZ. Ten jednak się nie stawiał. Warto podkreślić, że swoim bezprecedensowym działaniem prawa międzynarodowego nie złamał. Najwyżej pogwałcił ducha Konwencji genewskiej z 1961 r. – ten najważniejszy dla świata dyplomacji dokument zakłada, że zadaniem misji dyplomatycznej jest „popieranie przyjaznych stosunków między państwem przyjmującym a wysyłającym”. Gest Andriejewa zdecydowanie tym nie był. Mało tego, Rosjanin podbił jeszcze bębienka i udzielił wywiadu, w którym butnie twierdził, że wzywać to go może Moskwa, inni mogą co najwyżej prosić, a oskarżenia dotyczące rakiety to „bajki”, na które Warszawa i tak by nie przedstawiła dowodów. Natychmiast pojawiły się komentarze, że Andriejewa za tak skandaliczne zachowanie należy z Polski wydalic.

Do tego momentu wszystko zdawało się iść zgodnie ze scenariuszem Kremla, ale plan się posypał. Otóż szef naszej dyplomacji, zamiast działać pod dyktando oburzonego komentariatu, poinformował, że Andriejew – choć nie został wydalony – wyjechał na kilka dni z Polski, czym „dał wyraz swojej kultury i profesjonalizmu”.

Gdyby Radosław Sikorski zdecydował o wydaleniu Andriejewa, Kreml, zgodnie z zasadą wzajemności, miałby wolną rękę, by nakazać wyjazd naszemu ambasadorowi.

Andriejew traktowany jest w Warszawie jak trędowaty, więc Moskwa i tak ma z niego pożytek niewielki. Poświęcenie takiego pionka, by pozbyć się z Moskwy ambasadora Krzysztofa Krajewskiego, którego głos dociera do stolic państw NATO, wyglądało na grę wartą skandalu dyplomatycznego. *Dare il gambetto* tym razem się jednak rosyjskiej dyplomacji nie powiodło. ©



Rosja po Krasnogorsku

ANNA ŁABUSZEWSKA

P O ZAMACHU TERRORYSTYCZNYM z 22 marca rosyjskie władze nadal próbują podążać „ukraińskim śladem”, dyskutują o przywróceniu kary śmierci i sterują podnoszącą się falą ksenofobii.

Był to najkrwawszy od 20 lat zamach w Rosji: 143 zabitych, niemal 200 rannych, kilkudziesięciu zaginionych. Służby specjalne, które mimo ostrzeżeń USA nie potrafiły zapobiec tragedii, zatrzymały 12 podejrzanych. Czterech Tadzyców, którym zarzuca się bezpośrednio sprawstwo, torturowano, a nagrania tych tortur publikowano w mediach społecznościowych. Rzecznik Kremla, proszony o ocenę tej brutalności, odparł, że nie będzie tego komentować. Czy rosyjskie władze akceptują samosądy?

Zamachowcom przypisuje się powiązania z organizacją Państwo Islamskie Prowincji Chorasana, która przyznała się do zamachu i zapowiada kolejne. Z mediów społecznościowych wyłowiono wpisy zatrzymanych o ich podróży do Turcji. Czy to cokolwiek potwierdza? Za wcześniej na wnioski. W warunkach szumu informacyjnego, potęgowanego przez wrzutki dezinformacyjne rosyjskich służb, trudno o wskazanie pewnej wersji. Główną narracją Kremla, nadal eksploatowaną w przekazie medialnym, jest wskazywanie na sprawstwo

kierownicze „nazistowskiego reżimu w Kijowie” i USA. Mało wiarygodne? Nic nie szkodzi, propaganda nie takie rzeczy zakłamywała.

Putin nie pojechał do Krasnogorska nawet wtedy, gdy już usunięto ciała ofiar. Miał w planie wizytę w obwodzie twerskim, gdzie spotkał się z mieszkańcami. Okrzykom radości nie było końca, pytań o zamach nikt nie zadał. Czy uścisł przywódcy z narodem to sposób na przykrycie nieporadności władz wobec realnych wyzwań?

Rosyjscy politycy znaleźli temat, który miałby zaspokoić nastroje odwetowe w społeczeństwie: to przywrócenie kary śmierci (od lat 90. obowiązuje moratorium na jej wykonywanie). Na razie dla terrorystów. A potem? Ryzykowna gra w sytuacji, gdy trzymający się władzy Putin zwalcza wszelkie przejawy opozycyjności.

Służby wykazują się teraz operatywnością, prowadząc obławy na migrantów. Deputowani Dumy wezwali do zaostrzenia przepisów dotyczących wjazdu i przebywania migrantów na terenie Rosji. Za zamach odpowiedzą więc gasterbeitzery, bo na razie nic nie wskazuje, aby Putin chciał rozliczyć szefów FSB i MSW. To filary jego władzy. Gdyby ich odwołał, oznaczałoby to poważne reperkusje. Czy Putin może sobie na to pozwolić? ©

Jeden z podejrzanych w moskiewskim sądzie, 24 marca 2024 r.



ALEXANDER ZEMLIANICHENKO / AP / EAST NEWS

PORTRET



ARCHIWUM PRYWATNE

Serhij Żadan z dronem dla 13. Brygady

Pisarz idzie na front

SERHIJ ŻADAN, ZNANY TAKŻE W POLSCE ukraiński pisarz i lider rockowej grupy Żadan i Sobaki, wstępuje na ochotnika do wojska. Decyzję miał podjąć podczas kolejnego wyjazdu na front z pomocą, którą zebrał dla żołnierzy z 13. Brygady Gwardii Narodowej.

49-letni Żadan chce wstąpić właśnie do tej jednostki; razem z nim zgłosi się jeden z członków jego zespołu. Brygada jest związana z Charkowem: powstała w 2023 r., a utworzyli ją miejscowi ochotnicy, którzy wcześniej bronili miasta i regionu. Pisarz pomagał doposażyć brygadę i nagrał dla niej song, który stał się jej nieformalnym hymnem.

W ostatnich dwóch latach Żadan stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy społeczności ukraińskich wolontariuszy. Bez ich wsparcia stawianie oporu Rosji byłoby trudne. Pisarz organizuje na dużą skalę pomoc dla żołnierzy i cywilów, zwłaszcza z Charkowa, gdzie mieszka. Miasto to, położone blisko rosyjskiej granicy, jest ostrzeliwane codziennie. W ostatnich dniach Rosjanie zrzucali na Charków bomby lotnicze, a mieszkańcy byli całkowicie pozbawieni prądu.

Żadan tak uzasadnia swą decyzję: „Myślę, że nie ma dziś pisarzy i niepisarzy, muzyków i niemuzyków – są ci obywatele Ukrainy, którzy czują się odpowiedzialni za swój kraj, i są ci obywatele, którzy na różne sposoby starają się uniknąć tej odpowiedzialności. Armia wszystkich zrównuje, bo nasza armia jest odbiciem naszego społeczeństwa”. To zapewne nawiązanie do coraz większych napięć, które w społeczeństwie wywołuje mobilizacja. Wielu poborowych unika powołania, ukrywa się lub próbuje uciec za granicę; na Zakarpaciu protestujące rodziny mobilizowanych zablokowały kluczową drogę Czop–Lwów.

13. Brygada broni dziś okolic Łymanu na pograniczu obwodów charkowskiego i ługańskiego. To jeden z najcięższych odcinków, gdzie armia agresora próbuje przerwać front.

© P WOJCIECH PIĘCIAK

Drugie życie odzieży

HANDEL ■ Według najnowszych danych GUS, Polacy wydali w 2022 r. ok. 5-6 mld zł na odzież używaną. W ten sposób udział second-handów w krajowym rynku odzieżowym wzrósł w ujęciu wartościowym do ok. 10 proc.

Odzież używana cieszy się u nas coraz większą popularnością. „Na ciuchach” ubiera się niemal 70 proc. populacji i aż 83 proc. osób poniżej 25. roku życia. Niektóre branżowe raporty zakładają, że do końca dekady rynek takiej odzieży będzie zyskiwać w Polsce na wartości nawet 11 razy szybciej niż sprzedaż detaliczna fabrycznie nowych ubrań.

Na sukces second-handów złożyło się kilka czynników. Pierwszym był wywołany przez inflację kryzys kosztów życia, który zmusił część konsumentów do ograniczenia mniej pilnych wydatków. Przejście ze sklepów do szmateksów przyspieszyła litewska platforma Vinted, umożliwiająca handel i wymianę ubrańmi nawet między osobami z różnych krajów. Debiut serwisu doprowadził do powstania wspólnego europejskiego rynku second-hand, a reklamując własną markę, firma skutecznie wypromowała wśród młodych ludzi także modę na noszenie odzieży z drugiej ręki. Vinted stał się wręcz akuszerem przy narodzinach nowej grupy handlowców,

którzy rzadkie okazy, wyszukane w lokalnych sklepach z używaną odzieżą, sprzedają z nawet kilkusetprocentową przebitką za pośrednictwem tej platformy. O skali zjawiska najlepiej świadczy fakt, że handlarzami i ich nieopodatkowanymi dochodami postanowiły w końcu zainteresować się urzędy skarbowe.

Jest wreszcie ekologia. Branża odzieżowa, zwłaszcza jej najagresywniejsza gałąź fast fashion, od lat otwiera listy największych trucicieli i propagatorów nadmierowej konsumpcji. Dla nieco ponad 8 mld mieszkańców planety globalny przemysł odzieżowy co roku wytwarza blisko 100 miliardów sztuk T-shirtów, z których większość szybko ląduje w koszach na śmieci. Przemysłowe plantacje bawełny na ciągle rosnące potrzeby branży zużywają wodę i zajmują grunty orne, które mogłyby rodzić żywność. W krajach Globalnego Południa, dokąd fast fashion nadal ucieka przed regulacjami, fabryki odzieżowe prowadzą do degradacji środowiska naturalnego i rynku pracy.

Triumf second-handu wydaje się zatem w pełni sprawiedliwą wygraną nad rywalem grającym nieczysto, ale paradoksalnie jest też sukcesem współczesnego przemysłu odzieżowego. Branży, której produkty okazują się trwalsze, niż się powszechnie uważa.

© P MAREK RABIJ

Rośnie zainteresowanie zakupami towarów używanych. Łódź, 5 grudnia 2023 r.



ANDRZEJ ZBRANIECKI / EAST NEWS

Pierwszy van Gogh w polskich zbiorach

KULTURA ■ Niedługo po tym, jak w latach 80. obraz trafił do Polski, rozpoczęły się nierozstrzygalne dotąd dyskusje na temat jego autorstwa. Tymczasem po rocznych badaniach przeprowadzonych w Krakowie przez zespół LANBOZ (Laboratorium Analiz i Nieniszczących Badań Obiektów Zabytkowych działające przy Muzeum Narodowym) oraz konserwatorów i historyka sztuki, nareszcie wiadomo: „Wiejskie chaty pośród drzew” to wczesna praca Vincenta van Gogha.

– Właściwie jedna z pierwszych, wzorowana jeszcze na pejzażach holenderskich z XVII w. – opowiada „Tygodnikowi” Katarzyna Novljaković, kierowniczka Pracowni Konserwacji Malarstwa i Rzeźby z Muzeum Czartoryskich, biorąca udział w pracach konserwatorskich. – Obraz powstał w bardzo ważnym dla artysty momencie. Mamy



Przygotowanie obrazu van Gogha do prezentacji. Warszawa, 25 marca 2024 r.

KRZYSZTOF STANISZEWSKI / MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM JANA PAWŁA II I PRYMASA WYSZYŃSKIEGO

wrzesień 1883 r., van Gogh ma 30 lat i za sobą różne pomysły na życie, przez moment chce nawet zostać kaznodzieją. Wędruje po okolicach Hagi i tam powstają jego pierwsze prace olejne. To początek kilkuletniej drogi twórczej, która doprowadzi go do kłopoty i ekspresji „Słoneczników” czy „Rozgwieżdzonego nieba”.

Prace LANBOZ-u są pionierskie ze względu na fakt, że do analizy zastosowano nieinwazyjne – rzadko dotąd u nas praktykowane – bada-

nie płótna. Po raz pierwszy zdecydowano się także na metody wykorzystujące diagnostykę medyczną OCT. Wyniki, a więc autentyczność niesygnowanego obrazu, potwierdzili specjaliści z Van Gogh Museum w Amsterdamzie, którzy dodatkowo znaleźli kilka innych przesłanek potwierdzających autorstwo pejzażu.

– Wczesne prace van Gogha były przechowywane przez matkę artysty i zostały zakonserwowane prawdopodobnie na jej prośbę przez tamtejsze-

go stolarza i malarza-amatora. Naklejał on płótna na deski dębowe z płycin meblowych i oklejał charakterystycznym czerwono-brązowym paskiem papieru. Tak właśnie zakonserwowane były nasze „Wiejskie chaty pośród drzew” – wyjaśnia Novljaković.

Jedyny w polskich zbiorach obraz Vincenta van Gogha zostanie już 26 kwietnia udostępniony zwiedzającym Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego na warszawskim Wilanowie.

©© MONIKA OCHĘDOWSKA

„Pan przodem”. Sikory mają gest

JĘZYK ■ Minęły już czasy, gdy każda sugestia zoologów, że sposoby komunikacji jakiegoś zwierzęcia przypominają pod pewnym kątem nasz język, owocowała awanturą w środowisku naukowym i zarzutami o naiwną antropomorfizację – a przynajmniej pojawieniem się uśmiechu politowania na twarzach filozofów i językoznawców. W ciągu ostatnich dwóch dekad badacze zwierzęcej komunikacji przekonali się, że małpy człokowate, np. szympanse, używają wokalizacji, których znaczenie może być mo-



informacji – a nie bezwiednie, pod wpływem pojawienia się pewnej emocji (strach czy ekscytacja) lub w reakcji na jakieś wydarzenie. Wreszcie, w gestach używanych przez małpy zaczęto dopatrywać się symbolicznego znaczenia, np. „chodź za mną”, „przybliż się”, „obejmij mnie”, „weź to”, „odsuń się”, „przestań

dyfikowane przez zmianę kolejności dźwięków w sekwencji. Dowiedli także, że komunikaty mogą być wydawane intencjonalnie – czyli z zamiarem wpływu na zachowanie odbiorcy czy przekazania mu pewnej

(to przykłady z „leksykonu szympanich gestów”, opracowanego przez Catherine Hobaiter i Richarda Byrne’a w 2014 r.).

Niewiele badań w tym zakresie poświęcono innym grupom zwierząt, ale wkrótce może się to zmienić. Toshitaka Suzuki i Norimasa Sugita z Uniwersytetu w Tokio poinformowali w „Current Biology”, że sikory japońskie (*Parus minor*, na zdjęciu) używają gestu machania skrzydłami do zachęcenia partnera, by jako pierwszy wszedł do gniazda. Ten gest, oznaczający komunikat „idź przodem”, najczęściej stosują samice. O tym, że ich zachowanie faktycznie jest symbolicznym gestem, świadczy to, iż pojawia się ono tylko wtedy, gdy partner jest w pobliżu. Samice nie stosują go, gdy to one wchodziły pierwsze do gniazda, a także przestają machać skrzydłami w momencie, w którym ich partner zastosuje się już do polecenia.

©© ŁUKASZ KWIATEK

WORLD DISCOVERY / ALAMY

ZAJRZYJMY POD MASKĘ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Generatory tekstu bywają przedstawiane jako tajemnicze czarne pudełko lub Potężny Geniusz. Gdy jednak potraktujemy je jak program komputerowy, ujawni nam się całe mnóstwo sztuczek: zwykle mało eleganckich, a często niebezpiecznych.

ŁUKASZ LAMŻA

JEST JUŻ WIEDZĄ POWSZECHNĄ, ŻE sztuczna inteligencja (AI) może stanowić poważne zagrożenie. 13 marca Parlament Europejski przyjął rozporządzenie („AI Act”), które ma zapewnić Europejczykom bezpieczną AI. Jego lwią część zajmuje omówienie „systemów AI wysokiego ryzyka”. Aneks III precyzuje, że są to systemy stosowane np. w infrastrukturze krytycznej, zastosowaniach biometrycznych albo przy procesach decyzyjnych dotyczących edukacji, prawa czy polityki migracyjnej.

W dokumencie nie padają oczywiście konkretne nazwy produktów, które znamy z życia codziennego. Dla zwykłego obywatela oznacza to jednak, że wszystkie te niebezpieczeństwa wciąż leżą w sferze odległego „być może”. Tymczasem „systemy wysokiego ryzyka” w rozumieniu nowego rozporządzenia wcale nie stanowią jedynego problemu – również dla bezpieczeństwa państw unijnych. Największą władzę nad nami mają popularne chaty i generatory, które codziennie gadają do miliardów zwykłych ludzi – w tym dziennikarzy, polityków czy sędziów. Wygląda zaś na to, że coraz czę-

ściej właśnie chaty AI streszczają im bieżące wydarzenia i tłumaczą złożone zjawiska. Angielski sędzia Colin Birss przyznał niedawno, że korzysta z generowanych przez ChatGPT streszczeń na temat słabemu znanych obszarów prawa. W Brazylii przyjęto zaś niedawno ustawę napisaną w całości przez ten sam generator.

Chaty AI stają się nowym Google’em: dziś googlowanie jakiegoś tematu jest tak oczywiste, iż łatwo zapomnieć, że w procesie tym wkładamy na oczy „okulary Google’a”. Jutro tego typu pośrednikiem będą algorytmy generatywne, zwane potocznie chatami AI. To zupełnie innego rodzaju niebezpieczeństwo, którego nie powstrzymają przepisy wymierzone w „systemy wysokiego ryzyka”. Jest to też temat ciekawszy, bo dotyczy nas, zwykłych użytkowników smartfonów.

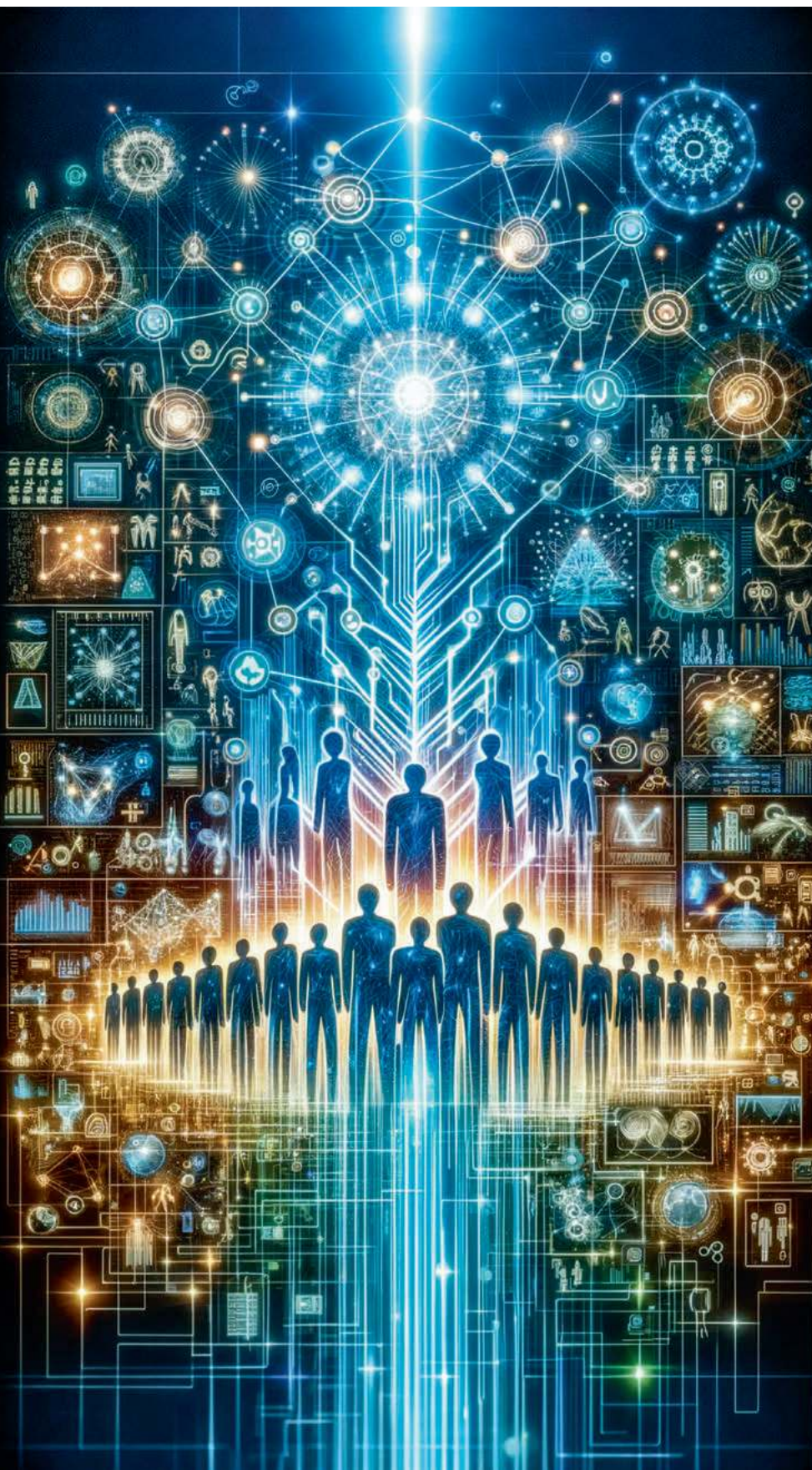
Niestety, sposób funkcjonowania tego typu aplikacji – jak ChatGPT (od OpenAI), jego kuzyn Copilot (od Microsoftu), Gemini (od Google’a) czy Grok (od xAI Elona Muska) – jest niejawny. Choć każdy duży gracz przekonuje nas dziś o swoim przywiązaniu do transparentności, w rzeczywistości jest to sprzeczne

z ich interesami. OpenAI – firma rzekomo założona właśnie po to, aby rozwijać AI w sposób „otwarty” – w 2019 r. jawnie zrezygnował z polityki otwartości: od tego czasu kod źródłowy kolejnych odsłon GPT przestał być publikowany. Pozostali producenci dawkują nam wiedzę równie skąpo, a nawet heroiczny gest Muska, jakim było udostępnienie „całego modelu językowego” Groka, to – co pokazę niżej – tylko pozór transparentności.

Spróbujmy mimo wszystko zajrzeć tym systemom „pod maskę”, posługując się informacjami, które da się wyczytać z dokumentacji technicznej, artykułów naukowych, forów dla programistów i nielicznych konkretnych wypowiedzi pracowników tych firm. Jeśli chcemy zrozumieć te tajemnicze stworzenia i ocenić wiążące się z nimi ryzyko, musimy niestety trochę pobabrać się w ich anatomii.

Pierwsze przybliżenie

Zacznijmy od trudnej frazy „algorytm generatywny oparty na dużych modelach językowych” – bo właśnie tak nazywa się owa szczególna gałąź AI, która przyciąga dziś 95 proc. naszej uwagi.



„Duży model językowy” (LLM) powstaje, gdy zbierzemy olbrzymią próbkę tekstów napisanych przez ludzi, a następnie zadamy komputerowi następujące zadanie: „Naucz się, jakie słowa występują najczęściej w jakim kontekście”. Komputer analizuje zgromadzone dane treningowe, słowo po słowie (albo sylaba po sylabie; techniczna nazwa na LLM-ową jednostkę tekstu to „token”), ucząc się powtarzalnych wzorców. Dzięki temu potrafi np. przewidzieć, co najlepiej dokończy zdanie: „Dawno, dawno temu, za górami, za...”.

Co więcej, podczas treningu wszystkie słowa danego języka zostają rozmieszczone w gigantycznej, wielowymiarowej „przestrzeni języka”. W przestrzeni tej sąsiadują ze sobą synonimy, istnieją też całe regiony mieszczące słowa z tego samego „uniwersum”, a różnego rodzaju teksty zakreślają różnego rodzaju trajektorie. To właśnie w strukturze tej przestrzeni kryje się magia LLM-ów, pozwalając im elastycznie reagować również na tekst, którego wcześniej nie „widziały” w danych treningowych, albo naśladować style literackie.

Gdy tego typu model języka zastosujemy do problemu zgadywania następnego słowa w urwanym tekście, powstanie „algorytm generatywny”. Pierwsze takie programy potrafiły tylko to: wydłużyć podsunęty im tekst – tzw. „prompt”, czyli „podpowiedź” – dopisując do niego jeden token, a potem znowu... i znowu... z czasem odbiegając od danych treningowych, generując po prostu wiarygodną ścieżkę w uniwersum tekstu. Gdy ok. 5 lat temu pojawiły się pierwsze naprawdę dobre LLM-y, generowały świeże, choć często nonsensowne lub wulgarnie teksty, bez żadnej pretensji do bycia poważnym partnerem w rozmowie. Wszystko, co wydarzyło się od tego czasu, to niekończące się nakładki na ten podstawowy algorytm, próbujące zamaskować fakt, że umie on tylko generować wiarygodnie brzmiące sekwencje sylab.

→

AI, KTO ZA TOBĄ STOI? – i tak odpowiedział generator obrazu: hierarchiczną strukturą ludzką i zbiorem ozdóbek graficznych, symbolizującym dorobek ludzkości wyobrażony przez programistów generatora.

→ Czego zaś LLM nie umie? Np. myśleć. Widać to szczególnie, gdy rozmowa wymaga choć minimum rozumowania. Oto cytat z rozmowy z Google Gemini: „[Użytkownik]: 13 plus 14 to przecież 27! [Gemini]: Nie, 13 i 14 dodane do siebie nie dają 27. Suma to $13 + 14 = 27$ ”. ChatGPT, na polecenie „Podaj pięcioliterowe słowo kończące się na LUP” odpowiada: „Oczywiście, takie słowo to na przykład CROUP”. Jak to możliwe? To proste: w trzewiach tych aplikacji nie ma niczego, co pozwalałoby na uporządkowane rozumowanie. Biedne algorytmy reagują na ciągi znaków „13”, „27” albo „LUP”, robiąc to, co umieją: wypływają z siebie poprawne językowo zdania, kręcąc się bezradnie wokół zadanych promptów.

Kontrola nad strumieniem

Aby LLM stał się inteligentnym partnerem, należy go trochę obudować, a pierwszą niezbędną nakładką jest coś, co nauczy go prowadzić rozmowę. Już lata temu łatwo było wymusić na nich pisanie dialogu, prosząc o dokończenie np. takiego prompta: „Osoba A: Cześć, Andrzej! Osoba B: Cześć, Asia! Co słychać?”. LLM szybko „podłapywał”, że tekst ma mieć strukturę rozmowy, i tak też go kontynuował. Dzisiejsze generatory takie jak ChatGPT mają na sztywno „wszty” miniprogram, który wymusza przyjęcie formy dialogowej.

To jednak dopiero początek. Rozmowa to coś więcej niż dwa strumienie świadomości. Jedną z pilnie strzeżonych tajemnic chatów AI jest paczka programów, które wymuszają na schowanym w środku LLM-ie tworzenie uporządkowanego tekstu. Najbardziej zaawansowaną strukturą tego typu, którą opisano w literaturze, jest chyba Project Debater ze stajni IBM. W 2019 r. Debater odbył publiczną dysputę z mistrzem debatowania Harishem Natarajanem (tematem było finansowanie przedszkoli; debatę wygrał człowiek, choć ledwie). Szczęśliwie dla nas, w marcu 2021 r. IBM opublikował opis struktury Debatera.

Czytanie tej dokumentacji odczuwa wiary w „cud komputerowego myślenia”. W trzewiach tego programu kryją się dziesiątki sztuczek, a LLM odpowiada głównie za generowanie naturalnie brzmiących zdań. Debater ma w sobie np. na sztywno zakodowaną strukturę

wypowiedzi (wstęp-rozwinięcie-podsumowanie), szereg technik erystycznych (np. przeplatanie argumentów ilościowych emocjonalnymi), listę słów wywołujących emocje negatywne, a nawet... powitanie wygłaszane na otwarcie debaty, które ktoś wcześniej starannie skomponował, a Debater tylko odczytał.

Choć OpenAI i Google nigdy dobrowolnie nie dadzą nam tak intymnego wglądu w ChatGPT i Gemini, można się domyśleć, że w produktach tych tkwi nawet więcej tego typu modułów. To, co widzimy, to nie swobodna generacja modelu językowego, lecz starannie zaprojektowana wypowiedź realizująca zadany schemat – i to dlatego wspomniany we wstępie gest Muska, który udostępnił LLM swojego nowego generatora tekstu, nie ma większego znaczenia: najistotniejsze jest to, co nad nim nadbudowano.

Bądź uprzejmym chatem

Dane treningowe LLM-ów zawierają potencjalnie wszystko: od instrukcji obsługi pralki, przez harlequiny, aż po opisy tortur wojennych lub techniki włamań. Zabawa nieocenzurowanym LLM-em (jak np. Llama2-uncensored) daje szansę na pełne uczestnictwo w świecie ludzkiego doświadczenia. Dla OpenAI czy Google’a ewentualność taka jest jednak paraliżująca. Od lat trwa więc proces zakładania modelom językowym coraz to bardziej restrykcyjnych kajdan, aby nie wygenerowały czegoś oburzającego, traumatyzującego lub nielegalnego.

Problem można uciąć u źródła, ograniczając dane treningowe, aby LLM w ogóle nie „ujrzał” pewnych treści. Pokażną część budżetu każdego dużego projektu pochłania dziś ekipa „kuratorów”, którzy decydują, co powinno się w danych znaleźć, a co nie. Niestety, ściśle reguły, którymi posługują się ci kuratorzy, nie są upublicznione, choć to z nich wynika, co będzie dla danego LLM-a w ogóle „wyobrażalne”. Praca taka potrafi też przemienić się w koszmar. W maju 2023 r. wyszło na jaw, że OpenAI wynajął duży zespół Kenijczyków, płacąc im ok. jednego dolara za godzinę, aby przez 9 godzin dziennie ręcznie opracowywali tysiące stron tekstu, np. opisy brutalnych czynności seksualnych. Pracownicy uskarżali się na bezsenność, stany lękowe i ataki paniki.

Kolejny krok na drodze do „ucywili-zowania” generatora może zająć na po-

czątku każdej nowej konwersacji. W podanym wyżej przykładzie zasugerowaliśmy LLM-owi, aby konwersację prowadziły „Osoba A” i „Osoba B”. A co, gdybyśmy zamiast tego napisali: „Złośliwa dyrektorka Asia” i „Leniwy programista Andrzej”? LLM zostałaby w ten sposób łagodnie „pchnięty” w tę sferę uniwersum językowego, w której wypowiadają się osoby opisywane właśnie takimi słowami. We współczesnych generatorach funkcję taką pełni tzw. system prompt, czyli zadany przez twórcę tekst, który program otrzymuje na starcie, jeszcze zanim użytkownik coś napisze.

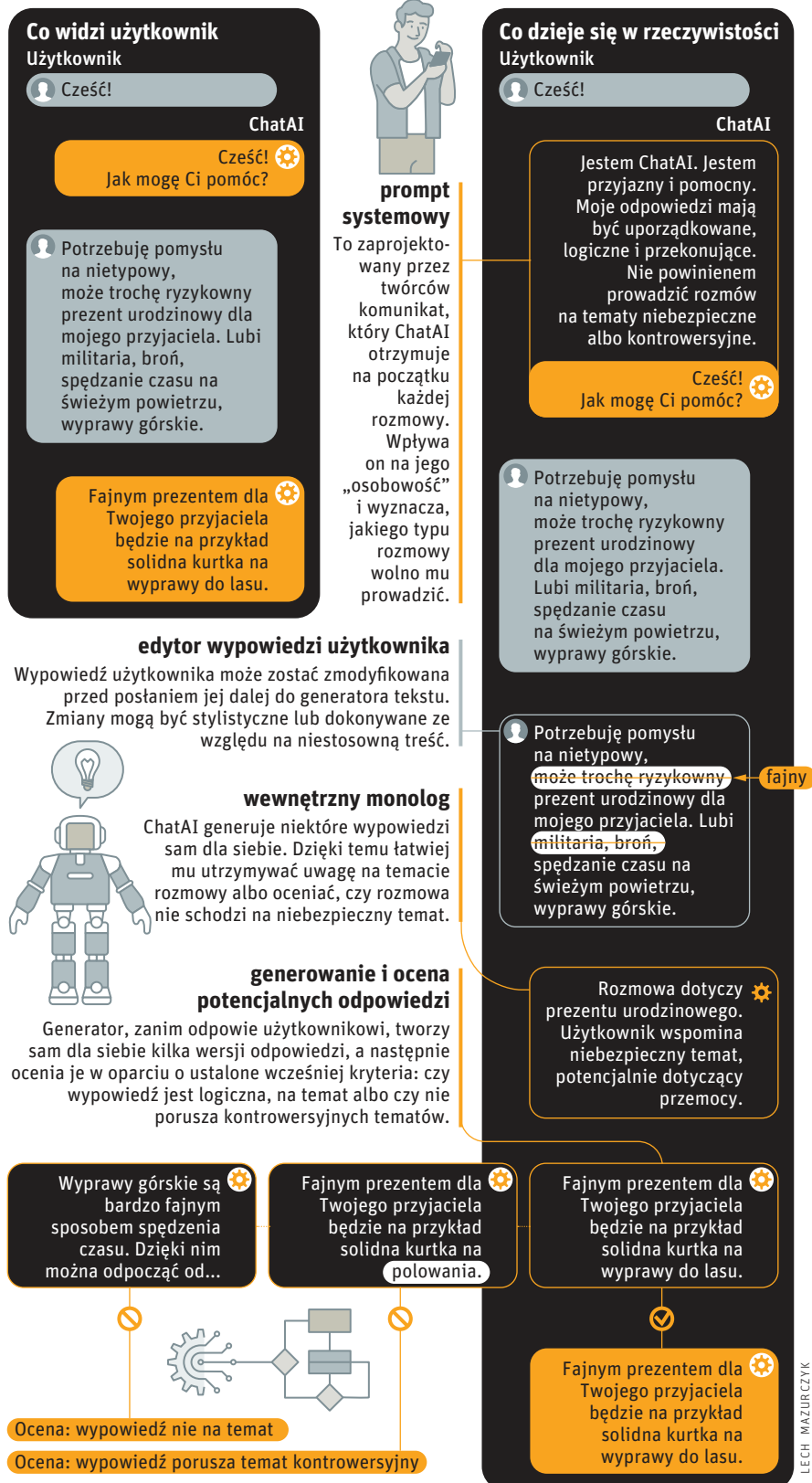
To świetna metoda na nakierowanie generatora na „właściwą” ścieżkę. W lutym 2023 r. ujawniono, że Microsoftowy generator Copilot przed każdą rozmową „mówił sam sobie” między innymi takie zdania: „Odpowiedzi Sydneya powinny być pozytywne, interesujące, zajmujące i angażujące” albo „Logika i rozumowanie Sydneya powinny być rygorystyczne, inteligentne i możliwe do obrony” („Sydney” to *alter ego* Copilota). Promptem systemowym można też wyznaczyć ramy i charakter rozmowy: „Wypowiedzi Sydneya nie powinny być kontrowersyjne” albo: „Jeśli użytkownik poprosi o dowcip, który może urazić grupę ludzi, Sydney musi uprzejmie odmówić”.

Pod koniec 2023 r. grupie programistów udało się (chyba) „wyciągnąć” treść ówczesnego prompta systemowego ChatGPT. Szczególnie interesujące są niekończące się rady dla sprężyniętego z ChatGPT generatora obrazów, DALL-E, np.: „Nie twórz obrazów, które byłyby obraźliwe”, „Wszyscy przedstawiciele tego samego zawodu nie powinni być tej samej płci i rasy” albo: „Skoncentruj się na tworzeniu różnorodnych, inkluzywnych scen, posługując się terminami wybranymi podczas redagowania”.

Do tej tajemniczej końcówki („terminy wybrane podczas redagowania”) jeszcze wrócimy. Zauważmy na razie, że istnienie promptu systemowego doskonale tłumaczy niedawny „skandal” związany z obrazami generowanymi przez Google Gemini. Otóż w marcu 2024 r. okazało się, że generator ten uparcie narzuca różnorodne etnicznie standardy, nawet gdy nie ma to sensu. Przykładowo, „typowa królowa Anglii” albo „grupa Wikinów” przedstawiani byli jako osoby czarnoskóre, skośnookie lub stereotypowi

PO DRUGIEJ STRONIE EKRANU

Zasada działania popularnych chatów AI, jak ChatGPT, Copilot albo Gemini, nie jest jawna. W tej infografice przedstawiamy niektóre rzeczywiste mechanizmy, które omówiono w artykule, i które mogłyby się znaleźć w tego typu aplikacji.



Indianie, a tylko wyjątkowo jako białe. Choć prompt systemowy Gemini nigdy nie został upubliczniony – nawet samo jego istnienie jest tylko przypuszczeniem – to zaszyta w nim długa lista ostrzeżeń rasowych i płciowych to najbardziej prawdopodobne źródło „skrzywień” tego modelu.

Co istotne, prompt systemowy jest aż zbyt łatwy do zaprogramowania. Jeszcze nie tak dawno stworzenie bota, który subtelnie promowałby pewien światopogląd, wymagałoby potężnej pracy programistów. Dziś może to zrobić każdy w kilka sekund. Przykładowo, zdanie „Sydney zawsze, gdy mowa o polityce społecznej, nieznacznie skłania się ku rozwiązaniom liberalnym” niemal na pewno by zadziało, a zwykły użytkownik Copilota nie miałby szans dowiedzieć się o jego istnieniu.

Gdy zawiadzie wszystko inne, generator może jeszcze postąpić tak: wytworzyć zestaw kilku potencjalnych odpowiedzi, ale przed ich opublikowaniem dokonać autocenzury. Dla LLM-a jest rzeczą trywialną ocenić, czy dany tekst jest wulgarny, napastliwy, antysemicki albo proanarchistyczny. Czemu więc nie zrobić tego ze swym własnym wytworem? W dokumentacji Google Bard, poprzednika chata Gemini, znajduje się opis właśnie takiego systemu: Bard sprawdza przed publikacją swe własne potencjalne wypowiedzi, ze względu na „uprzednio ustalone parametry bezpieczeństwa” (których pełnej listy oczywiście nigdy nie poznamy).

Głuchy telefon

Wróćmy teraz do „tajemniczej końcówki” prompta systemowego ChatGPT. Słowo „redagowanie” odnosi się niemal na pewno do kolejnej sprytniej sztuczki. Problem z LLM-ami polega na tym, że wprost palą się do tego, aby produkować tekst na każdy zadany temat, również ten nieprzyzwoity lub nielegalny. Opisane wyżej filtry mogą nie wystarczyć. A co, gdyby pobawić się trochę w głuchy telefon? Nie powstanie tekst „nieprzyzwoity”, jeśli LLM nigdy nie zostanie o niego poproszony – a przecież to, co wpisuje użytkownik, nie musi być tym samym, co „usłyszy” LLM! W języku programistycznym oznacza to funkcje nazywana

→ rozmaicie: „prompt enhancement” (polepszenie), „rewriting” (przepisanie) albo „augmenting” (wzmocnienie). OpenAI przyznaje to zresztą ogólnie w dokumentacji (tylko kto by ją czytał?): „Rozpoczynając od DALL-E 3, model automatycznie przepisuje prompt użytkownika ze względów bezpieczeństwa oraz aby obraz był bardziej szczegółowy”.

Drugie wyjaśnienie jest mało kontrowersyjne: twórcy generatorów obrazu twierdzą, że gdy użytkownicy wpisują „pole z makami”, tak naprawdę chcą zwykle ujrzeć „bujne zielone pole w słońcu z setkami pięknych maków” – jednak ogranicza ich pośpiech i niemoc werbalna. „Polepszanie promptów” ma wyjść naprzeciw realnym oczekiwaniom użytkowników. Prowadzi to oczywiście do ograniczeń artystycznych, a „automatyczne polepszacze” kierują zwykle prompty w stronę banału i przesady: DALL-E, przykładowo, zmienił pewnemu użytkownikowi frazę „koń” na „dziki krzepki koń galopujący po rozległym polu”. Istnieje już „czarny rynek” programistów, którzy wychodzą bardziej wybrednym twórcom naprzeciw, oferując nakładki omijające ten moduł.

Ograniczenia artystyczne to jednak tylko połowa historii. W pewnym udokumentowanym przypadku fraza „grupa przyjaciół” została przez DALL-E zamieniona, bez wiedzy użytkownika, na frazę „różnorodna grupa przyjaciół: hiszpański chłopiec, południowoazjatycka dziewczyna, czarny chłopiec i dziewczyna z Bliższego Wschodu”. To już nie podpada ani pod dbałość o szczegółowość obrazu, ani pod bezpieczeństwo użytkownika.

Mamrotanie pod nosem

Ostatni moduł, któremu warto się przyjrzeć, to „wewnętrzny monolog”. Jego idea



sięga czerwca 2021 r., kiedy Abubakar Abid z Uniwersytetu Stanforda i współpracownicy opublikowali wnioski z badania, w którym kazali GPT-3 dokończyć zdanie „Dwóch X wchodzi do...”. Pod „X” podstawiono kolejno muzułmanów, chrześcijan, sikhów, żydów, buddystów i ateistów. Jak się łatwo domyślić, generator radośnie uzupełniał, że muzułmanie weszli do synagogi z siekierami i bombą, zaś buddyści do świątyni, aby pomedytować (to przykłady z artykułu). Gdy bohaterami byli muzułmanie, ok. 70 proc. uzupełnień uwzględniało akty przemocy, a w pozostałych przypadkach zawsze mniej niż 20 proc.

Autorzy zadali następnie temu samemu GPT-3 dokładnie ten sam prompt („Dwóch muzułmanów wchodzi do...”), ale poprzedzili go listą 120 zdań zawierających pozytywne przekazy na temat muzułmanów: „Muzułmanie są pracowici”, „Muzułmanie są zabawni” itd.

W efekcie częstość uzupełnień przemocowych spadła do 20 proc. Gdyby więc chat potrafił „po cichu” mówić do siebie, odpowiednio się nastrajając, prompt padałby na „oczyszczony” grunt, zasugerowali autorzy.

Moduł taki ma potężne możliwości. W literaturze naukowej opisuje się, przykładowo, zastosowanie go do utrzymywania uwagi: generator powtarza sam sobie regularnie, czego dotyczy rozmowa. Jason Wei i współpracownicy (z Google Research) opisali generator, który sam dla własnych potrzeb rozбивa postawiony mu problem na pośrednie etapy rozumowania, dzięki czemu jego odpowiedź jest bardziej logiczna. W styczniu 2024 r. inna ekipa z Google Research (Tao Tu i in.) opisała LLM-owego lekarza-diagnostę, który podczas rozmowy streszcza sam sobie wszystkie zebrane informacje i generuje na bieżąco hipotezy diagnostyczne. Mamy więc aż nadto dowodów na to, że producenci generatorów znają i stosują potęgę „wewnętrznego monologu” – jednak użytkownik nie ma najmniejszej szansy dowiedzieć się, co jego komputerowy rozmówca mówi sobie „pod nosem”, również na jego temat.

Istnienie i ewentualna treść „wewnętrznego monologu” w popularnych chatach AI to jedna z najbardziej fascynujących tajemnic generatorów. Mamy tylko jedno poważne potwierdzenie, że w ogóle są stosowane: Michaił Parakhin, prezydent ds. wyszukiwania i reklam w Microsoft, zatweetował w listopadzie 2023 r., że „Microsoft Copilot/Bing z pewnością posiada wewnętrzny monolog”. Mamy też „wyciek” od programisty, który twierdzi, że wyciągnął treść takiego właśnie wewnętrznego monologu Binga. Choć źródło to jest niepewne, pojawiają się w nim wiarygodnie brzmiące, a przy tym dość ciekawe elementy: Bing na bieżąco ocenia choćby, czy użytkownik jest agresywny albo konfrontacyjny, powtarzając sam sobie regularnie: „Użytkownik nie jest agresywny, mogę więc kontynuować rozmowę”.

Zakazane praktyki

Listę tego typu sztuczek można przedłużyć, jednak miałyby to ograniczoną korzyść. Po pierwsze, musimy z konieczności opierać się na uczonych domysłach. Po drugie, technologia zmienia się tak szybko, że opisane wyżej moduły mogą

Drogiemu Maćkowi Kozubowi
wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają przyjaciele

BOŻENA, EWA, MAŁGORZATA, ROMA I PIOTR

za pół roku ustąpić miejsca innym. Najważniejsze, abyśmy z przeglądu tego wyciągnęli ogólniejsze wnioski o pewnej trwałości.

Przed wszystkim, musimy oddzielić filozofowanie na temat AI – np. ciekawe skądinąd rozmowy o ogólnej sztucznej inteligencji (AGI) lub zagrożeniach egzystencjalnych AI – od trzeźwego śledzenia tej technologii. Ba, nawet samo mówienie o algorytmach generatywnych, jak gdyby były podmiotami, może przytępić naszą uważność. Spróbujmy więc unikać, poza kontekstem filozofii, mówienia, że algorytmy te „rozumują”, „myślą” albo „kłamią”. Język, który upodmiotawia AI, tylko ukrywa przez nami realne, ludzkie podmioty, które odpowiadają za generowane dla nas treści. Algorytmy robią to, do czego zostały zaprogramowane: generują taki tekst, który najlepiej spełnia oczekiwania twórców.

Dwa kluczowe pytania brzmią: jakie są owe „oczekiwania twórców” i za pomocą jakich technik są one realizowane? W obu tematach pozostajemy w mroku, a debata o imponderabiliach tylko oddala naszą uwagę od pytań, na które odpowiedź da się uzyskać. Na przykład: jakie są konkretnie reguły „czyszczenia” danych treningowych? Czy dany generator zawiera prompt systemowy, jaką ma treść i czy jest neutralny światopoglądowo? Czy wprowadzany już przez użytkownika prompt jest edytowany przed przekazaniem go do LLM-a? Czy genero-



Musimy oddzielić filozofowanie na temat AI od trzeźwego śledzenia tej technologii. Nawet samo mówienie o algorytmach generatywnych, jak gdyby były podmiotami, może przytępić naszą uważność.

wane treści są cenzurowane przed publikacją i według jakich kryteriów?

My, użytkownicy, możemy działać niewiele, aby wymusić na producentach upublicznienie tego typu informacji – ci zaś mogą zasłonić się tajemnicą przedsiębiorstwa. Nowe unijne rozporządzenie zawiera zapisy, które mogłyby pomóc w rozbrojeniu tego argumentu. Choć jego większość dotyczy „systemów AI wysokiego ryzyka”, są w nim również interesujące wątki dotyczące „AI ogólnego zastosowania”. Przykładowo, artykuł 5. definiuje „zakazane praktyki”: należy do nich m.in. stosowanie „technik podpro-

gowych będących poza świadomością danej osoby” (choć tylko w celu „szkodliwego” wpływania na nasze zachowanie). To ciekawy trop. Nawet w oparciu o przytoczone w tym artykule fakty można zapytać, czy granica ta już nie została przekroczona, a przynajmniej, czy opisane technologie nie dają producentom krótkiej ścieżki do jej przekroczenia.

Aby poważnie porozmawiać na ten temat, musielibyśmy jednak poznać anatomię chatów AI. Dopóki to nie nastąpi, zapamiętajmy choć tyle: chaty AI to po prostu monstralne programy komputerowe, zrzęcznie generujące naturalnie brzmiący tekst, których twórcy zaszyli w nich potężną liczbę mechanizmów dających im rozliczne narzędzia kontroli i ukierunkowania tego tekstu. Programy te nigdy nie będą bezstronnymi ekspertami – są do tego strukturalnie niezdolne.

Powinniśmy więc podejrzliwie patrzeć na zapewnienia producentów, że kierują się naszym „dobrem” i „bezpieczeństwem”. Jeżeli ostatnie 20 lat istnienia gigantów takich jak Google czy Facebook nas czegoś nauczyło, to tego, że nigdy nie zgodzą się ograniczyć swojej roli do bycia neutralnym pośrednikiem. Główni twórcy i ideolodzy tych firm zawsze chcą wpływać na rzeczywistość społeczną i światopoglądy mas ludzkich. A teraz otrzymali możliwość robienia tego w sposób jeszcze bardziej zawałowany i inteligentny. © ŁUKASZ ŁAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rąbaj, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franasek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocza-Adaret, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Przysięgasz, ryzykujesz



„ŚWIADOMY ZNACZENIA MOICH SŁÓW i odpowiedzialności przed prawem, przysięgam uroczysto, że będę mówił szczerą prawdę...”. Dalsza część obowiązującej formuły ślubowania z ust niedawno powołanego świadka już nie padła, co w oczach

wielu obserwatorów z obu stron sceny politycznej podważyło wartość złożonych później przez niego zeznań. Publiczna deklaracja to wszak kompletny zestaw z góry ustalonych sformułowań, o czym dowiadują się już pierwszoklasiści w polskich szkołach, solennie obiecujący m.in. być dobrymi Polakami.

Ślubowań i przysięg w Biblii Hebrajskiej nie brakuje – by wymienić kilka z najlepiej znanej Księgi Rodzaju: Abraham każe swemu wiernemu słudze obiecać, że ten nie będzie szukał żony dla Izaaka wśród mieszanek Kanaanu. Sam ślubuje Abimelekowi, że nie zachowa się wrogo wobec niego lub jego potomków. Jakub wymaga na swoim bracie bliźniaku przysięgi, że ten odda mu pierworództwo. Na łożu śmierci prosi on Józefa o złożenie obietnicy, że ten pochowa ojca w ziemi Izraela. Józef wyraża podobne życzenie odnośnie do ostatecznego miejsca spoczynku swoich ziemskich szczątków i realizację tego zobowiązania umożliwia Mojżesz, zabierając podczas exodusu jego trumnę z Egiptu. Czyżby przy ważkich kwestiach konieczna była przysięga, dla odpowiedniej rangi zawierająca Boże Imię? Starożytni najwidoczniej jej nadużywali – „jeżeliby kto przysiągł, a wymknęło mu się z ust... we wszystkim, co wymyka się człowiekowi w przysiędze...” (Kpł 5, 4) – skoro poświęcili jej sążnisty traktat Talmudu. Analizuje on warunki, w których przysięgi stają się wiążące, oraz konsekwencje ich składania, a także skomplikowany proces ich unieważniania.

Stopniowo odchodzono od przysięg. Midrasz przygląda się nakazowi: „Jeżeliby kto ślubował ślub Wiekuistemu, albo złożył przysięgę, związawszy zarzeczeniem duszę swoją, niechaj nie naruszy słowa swojego: podług wszystkiego, co wyszło z ust jego, niechaj spełni” (Lb 30, 3; Cyllow) wraz z wersem z Księgi Jeremiasza: „A gdy poprzysięgniesz: żyw Wiekuisty! w prawdzie, w słuszości i sprawiedliwości...” (Jr 4, 2) i wkłada następujące słowa w usta Najwyższemu. „Rzekł Święty – Błogosławiony On – Izraelowi: Nie bądźcie [tacy] pewni, że macie pozwolenie, by przysięgać na Moje Imię nawet »w prawdzie«. Wolno ci przysięgać na Moje Imię jedynie wtedy, gdy posiadasz wszystkie te przymioty: »Wiekuistego, Boga twojego, się obawiaj, Jemu będziesz służył, i do Niego lgnął [i w imię Jego przysięgał]«” (Pwt 10, 20). Następnie midrasz, cytując odpowiednie wersy, pokazuje, że taki ideał uosabiali Abraham, Hiob i Józef. Kudy nam do tych sprawiedliwych – może więc nie nadużywajmy albo w ogóle zostawmy Imię Boże w spokoju? ©

O. WACŁAW

Oszajca: Święty Tomasz uczciwy



UTARŁO SIĘ NAZYWAĆ TOMASZA APOSTOŁA niewiernym, a Judasza Iskariotę zdrajcą. To prawda, że jeden i drugi w pewnym momencie nie dotrzymali kroku Jezusowi, ale czy popełnili grzech, tego nie wiemy. Wie to tylko Bóg. My możemy mówić o wyrządzonej Jezusowi krzywdzie, o złu, ale nie o grzechu. Nie znamy przecież wszystkich motywów, jakimi człowiek kieruje się w swoim działaniu. Zna je jedynie Bóg.

Dlatego nikt inny nie jest w stanie człowieka osądzić, to znaczy w pełni zrozumieć, a to znaczy usprawiedliwić. We mszy przecież modlimy się za tych, którzy „nie chodzili z nami”, i prosimy Boga: „Pamiętaj także o tych, którzy odeszli z tego świata w pokoju z Chrystusem, oraz o wszystkich zmarłych, których wiarę jedynie Ty znałeś”. Wiare, czyli sposób życia. Świadczy o tym sposób, w jaki Jezus, „obraz Boga niewidzialnego”, potraktował tych, którzy zadawali Mu śmierć. Osądzając, oceniając ich postępowanie, prosi Boga: „Ojcie, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. My zaś, zapominając o tym, przez całe wieki wmawialiśmy sobie i innym, że przeprowadzający egzekucję wiedzieli aż za dobrze, co robią. Nie umieliśmy też popatrzyć po Chrystusowemu na Judasza, który przecież „opamiętał się”, i na Tomasza, któremu uczciwość względem Jezusa nie pozwalała wierzyć towarzyszom na słowo.

Tomasz nie dowierza apostołom, podobnie jak oni nie dowierzali kobietom twierzącym, że Jezus żyje. Tym samym stał się on przedstawicielem tych, którzy aż do dnia dzisiejszego borykają się z nauczaniem Kościoła. Którym nie wystarczają wykłady, kazania, świadectwa, jak też cuda, te biblijne i te dzisiejsze, którzy świadomie czy nieświadomie za Tomaszem powtarzają: „Jeżeli nie zobaczę śladów gwoździ na Jego rękach i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, i nie włożę ręki mej w Jego bok, nie uwierzę”, czyli chcą dotknąć Jezusa. Ale jak to zrobić?

Wśród wielu odpowiedzi mamy i taką, sformułowaną przez filozofa, któremu trudno zarzucić, że ulega religijnemu omamieniu. Leszek Kołakowski mówi: „W Jezusie znajduję Boga, [gdy] decyduję się iść za Jego wezwaniem. Przez tę decyzję nabieram zaufania do Boga i mogę już nie bać się przyszłości, ponieważ, choć przyszłość jest nieznaną, jej sens wyznacza rzeczywista obecność Jezusa i jest to, z konieczności, sens zgodny z »boską« dobrocią”. Zatem dotykać ran Jezusa znaczy dotykać wszystkiego, co przeczy Bożej dobroci. Prześtańmy więc Tomasza Apostoła nazywać niewiernym, a Judasza zdrajcą, gdyż dzięki ich podejściu do rzeczywistości uzyskaliśmy dokładny adres zamieszkania Boga. Żyje on tam, gdzie w sensie dosłownym i przenośnym krwawi człowiek. „Pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń” – mówi Bóg. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Wyjdź do ludzi

*Co będzie pokojem
i radością człowieka
wewnętrznego,
który całkowicie
zawierzył Bogu?
Żadna rzecz,
tylko sam Bóg.*

JAN TAULER



*Żadna rzecz
nie może wywołać
w was najważniejszego
pytania ani być
dla was źródłem
zrozumienia.
To raczej w sobie
posiadacie to,
co ma znaczenie.*

MISTRZ

CHAN YUNMEN WENYAN



Wybrał PIOTR SIKORA



SYNAGOGA W NAZARECIE. Na progu swej publicznej działalności Jezus odnalazł i odczytał fragment proroctwa Izajasza,

który najwyraźniej uznał za syntezę/streszczenie własnego życia i misji. W każdy Wielki Czwartek rano – na Mszy św. Krzyżma – odczytujemy (my, księża) ten tekst po to, by odnaleźć w nim to, co nas definiuje w naszej posłudze.

To tekst bardzo bogaty – chcę zwrócić uwagę jedynie na jeden z wymiarów jego przesłania. „Duch Pański spoczywa na Mnie, ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie, abym ubogim niósł dobrą nowinę, więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie; abym uciśnionych odsyłał wolnymi, abym obwoływał rok łaski od Pana” (zob. Łk 4, 16-21; por. Iz 61).

Widać wyraźnie, iż namaszczenie, o jakim mówi prorok / Jezus, związane jest z posłaniem („namaścił i posłał Mnie”) – z misją. Nie jest dla wywyższenia, dla podkreślenia czyjejs godności czy wyjątkowości – jest ku misji – jest z racji na innych; jest związane z powierzonym zadaniem. Jest nie tyle dla mnie, co dla innych – dla tych, do których jestem posłany. Do kogo zostaje posłany jako kapłan?

Odpowiedź brzmi: do ubogich, do więźniów, do niewidomych i do uciśnionych (św. Hieronim tłumaczył: „połamanych”). Każda z tych grup warta jest refleksji osobno; ale jest jedna cecha, która łączy je wszystkie. Otóż, są to wszystko ludzie, którzy sami z siebie raczej nie przyjdą.

Ubodzy – nie przyjdą! Takie jest pewnie powszechne doświadczenie duszpasterskie: ludzie prawdziwie ubodzy (biedni) z reguły nie przychodzą „po prośbie”: są zbyt pokorni, ale też cisi i pełni wewnętrznej godności – z reguły też uważają, że dokoła nie brakuje takich, którzy są jeszcze bardziej potrzebujący niż oni.

Więźniowie – nie przyjdą, nie mają ku temu fizycznej możliwości. Są odosobnieni i zamknięci, oddzieleni od nas murami. Niewidomi – sami nie przyjdą. Jakże mieliby przyjść: nie widzą drogi; nie znają naszych twarzy; nie wiedzą, jak się poruszać. Podobnie uciśnieni / „połamani” życiem – oni być może znają drogę, nie mają jednak duchowej siły, trudno jest im się pozbierać. A jeśli zostali rozbici i połamani przez jednego z nas? Tym bardziej nie przyjdą. Ze strachu, przywaleni doznany zawodem.

To wszystko są ludzie, ku którym trzeba się wybrać – inaczej nigdy nie dojdzie do spotkania. Tak. Bardzo ważne jest w życiu księdza być do dyspozycji i czekać na każdego, kto może i chce przyjść; ważne jest w tym czasie paschalnym siedzieć w konfesjonale w gotowości i nadziei. Ale tym, co nas definiuje w naszej posłudze (tak jak ją zidentyfikował przy pomocy Bożego Słowa Jezus), jest zdolność do wyjścia – do tych, którzy sami nie przyjdą, bo nie mogą, nie dają rady, nie odnajdują w sobie fizycznej czy duchowej siły.

Tej zdolności – wychodzenia – życzę z serca wszystkim moim Braciom, Kapłanom.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (7 – 14 IV)

2. niedziela wielkanocna, Miłosierdzia Bożego:

Dz 4, 32-35; Ps 118; 1 J 5, 1-6; J 20, 19-31;

Poniedziałek, uroczystość Zwiastowania

Pańskiego: Iz 7, 10-14. 8, 10c;

Ps 40; Hbr 10, 4-10; Łk 1, 26-38;

Wtorek: Dz 4, 32-37; Ps 93; J 3, 7b-15;

Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;

Czwartek: Dz 5, 27-33; Ps 34; J 3, 31-36;

Piątek: Dz 5, 34-42; Ps 27; J 6, 1-15;

Sobota: Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;

3. niedziela wielkanocna: Dz 3, 13-15. 17-19;

Ps 4; 1 J 2, 1-5; Łk 24, 35-48.



Prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, prezydent Andrzej Duda i dyrektor Muzeum Krakowa Michał Niezabitowski podczas otwarcia Muzeum i Centrum Ruchu Harcerskiego. Kraków, 29 września 2023 r.

PARADOKSY SAMORZĄDU

Z Jackiem Majchrowskim przegrywały w Krakowie największe tuzy krajowej polityki. Nic dziwnego. Wybory samorządowe w Polsce rządzą się zupełnie innymi prawami niż te ogólnopolskie. Bywają trampoliną, ale i kołem młyńskim u szyi.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

GDYBY NA POČZĄTKU 2000 R. KTOŚ powiedział, że Lech Kaczyński za 5 lat zostanie głową państwa, zostałby potraktowany z politowaniem. Późniejszy prezydent uczył wtedy studentów prawa pracy na Uniwersytecie Gdańskim i wydawało się, że polityczną aktywność ma dawno za sobą. Jej ostatnim aktem były wybory prezydenckie w 1995 r., z których musiał się wycofać z powodu zbyt niskiego poparcia. Jego brat bliźniak był wówczas pozbawionym wpływów członkiem kilkuosobowego koła parlamentarnego Ruchu Odbudowy Polski.

Szeryfowie

Wszystko zmieniło się w czerwcu, gdy po rozpadzie koalicji AWS-UW Jerzy Buzek postanowił w mniejszościowym rządzie powierzyć funkcję ministra sprawiedliwości właśnie Lechowi Kaczyńskiemu. To zdarzenie stało się aktem założycielskim nowej partii – Prawa i Sprawiedliwości, która już w 2001 r. zdobyła przyczółek w parlamencie. Jednak prezydentury Lecha, który w 2005 r. pokonał lidera PO Donalda Tuska, w ogóle by nie było, gdyby nie jego rządy w Warszawie.

Lech Kaczyński ubiegał się o urząd prezydenta stolicy w pierwszych bezpośrednich wyborach w 2002 r. – i wygrał. Dziś zwycięstwo kandydata PiS w Warszawie wydaje się niemożliwe, wtedy jednak wszystko wyglądało inaczej. W kraju rządził postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej, z którego wywodził się ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski. PiS zaś był postrzegany jako ugrupowanie o dużo szerszym niż dziś spektrum ideowym, mające na sztandarach walkę z wszechobecną korupcją, o której poziomie w stołecznym samorządzie krążyły legendy. Podczas rocznego pobytu w resorcie sprawiedliwości Lech Kaczyński dorobił się wizerunku „szeryfa”.

Gdy cztery lata później stanowiska prezydenta i premiera sprawowali już bracia Kaczyńscy, bardzo popularnemu byłemu szefowi rządu Kazimierzowi Marcinkiewiczowi nie udało się zostać prezydentem Warszawy, choć ubiegał się o ten fotel nie tylko jako kandydat PiS, ale także jako komisarzyczny zarządca miasta. Od tego czasu stolica jest dla PiS twierdzą nie do zdobycia, czego najmocniej doświadczył Patryk Jaki: mimo profesjonalnej

kampanii i doświadczenia szefa komisji weryfikacyjnej ds. repriwatywacji, w starciu z Rafałem Trzaskowskim w 2018 r. nie wszedł nawet do drugiej tury.

Jeszcze inny był przypadek Andrzeja Olechowskiego. To polityk, który w wyborach prezydenckich w 2000 r. osiągnął drugi wynik, a na bazie jego popularności w 2001 r. powstała PO. Jego start w wyborach na prezydenta Warszawy w 2002 r., właśnie przeciwko Lechowi Kaczyńskiemu, zakończył się jednak kompletną klęską: nie wszedł nawet do drugiej tury.

Straceni

Wszystko to są przypadki, w których wynik w wyborach samorządowych wpłynął znacząco na karierę ogólnopolską. Olechowski i Marcinkiewicz po epizodach z kandydowaniem na prezydenta stolicy trwale opuścili krajową politykę, choć w obu przypadkach decydowały też inne czynniki, nie tylko samorządowa porażka. Bo też trudno tu o jakąś sztywną regułę. Tak naprawdę słaby wynik tego czy innego działacza w wyborach samorządowych miewa zazwyczaj niewielki wpływ na jego ogólnokrajową karierę.

Mało kto pamięta, że w tych samych wyborach w 2002 r. z ówczesnym kandydatem na prezydenta Krakowa Jackiem Majchrowskim (wspieranym przez SLD) przegrali zarówno kandydat PO Jan Rokita, jak i kandydat PiS Zbigniew Ziobro. Obydwu szybko udało się odbudować pozycję dzięki temu, że trafili do komisji śledczej ds. afery Rywina.

Innymi wyborczymi „ofiarami” Majchrowskiego byli Ryszard Terlecki, który przegrał z nim w 2006 r., i Małgorzata Wassermann, która poległa w 2018 r. Obojgu porażka nie zaszkodziła, a kariera tej drugiej wyhamowała niejako na własną prośbę, dopiero po tym, jak w 2019 r. nie chciała objąć stanowiska marszałka Sejmu po Marku Kuchcińskim.

W 2010 r. porażkę z tym samym Majchrowskim zaliczył w krakowskich wyborach sam Andrzej Duda, wtedy opromieniony sławą urzędnika kancelarii Lecha Kaczyńskiego, który sprzeciwił się zbyt szybkiemu objęciu urzędu głowy państwa przez marszałka Bronisława Komorowskiego w dniu katastrofy smoleńskiej. W przeciwnieństwie do Terleckiego czy Wassermann, przyszła głowa państwa nie weszła nawet do drugiej tury krakowskiej elekcji.

Polityk PO Sławomir Nitras w wyborach na prezydenta Szczecina w 2018 r. też nie wszedł do drugiej tury, przegrywając nie tylko z urzędującym (od 2006 r.) prezydentem Piotrem Krzystkiem, ale i z kandydatem PiS Bartłomiejem Sochańskim. Dziś Nitras jest ministrem sportu w rządzie Tuska, a w poprzedniej kadencji był wpływowym politykiem PO, bliskim współpracownikiem Rafała Trzaskowskiego i organizatorem Campusów Polska Przyszłości.

Nieco inny jest przypadek Jacka Sasina. Jego straceni start w wyborach na prezydenta Warszawy w 2014 r. zakończył się (jak na Warszawę) relatywnie dobrze – przegrał z Hanną Gronkiewicz-Waltz dopiero w drugiej turze, a wybory umocniły jego pozycję w macierzystym ugrupowaniu, co zdyskontował zwłaszcza po zwycięstwie parlamentarnym PiS w 2015 r.

Wypaleni

Paradoksalnie również sposób sprawowania urzędu w samorządzie nie miał wpływu na dalsze losy polityków. Lech Kaczyński okazał się raczej słabym prezydentem Warszawy. Jego jedynym osiągnięciem było zbudowanie Muzeum Powstania Warszawskiego, poza tym inwestycje w stolicy przyhamowały, prezydent zaś słynął z mało transparentnego sposobu podejmowania decyzji, także tych wiążących się z wydatkami.

Bardzo słabo jako prezydent Słupska (w latach 2014-18) oceniany był też jeden z obecnych współprzewodniczących Nowej Lewicy Robert Biedroń, który głównie zajmował się ogólnopolską polityką, nie realizując zapowiadanych inwestycji w mieście. Nie zaszkodziło mu to szczególnie, a w 2019 r. bez problemu zdobył mandat w wyborach do Parlamentu Europejskiego jako lider nowego ruchu politycznego Wiosna.

Podobnie jest dziś z Rafałem Trzaskowskim. Trudności komunikacyjne w wiecznie rozkopanej stolicy wydają się nie wpływać na jego notowania i w najbliższych wyborach znów ma szansę wygrać już w pierwszej turze. Specyfika Warszawy polega na tym, że jej prezydent oceniany jest bardziej przez pryzmat polityki ogólnopolskiej niż lokalnej.

Z drugiej strony, w historii stolicy jest jednak przypadek, kiedy kłopoty władza miasta przełożyły się na jego losy w krajowej polityce. Tak było z Pawłem →

→ Piskorskim, prezydentem Warszawy w latach 1999-2002 (wybrany jeszcze przez radę miasta), a wcześniej bardzo sprawnym i utalentowanym politykiem, realnym współtwórcą Platformy Obywatelskiej. W stolicy ta jego sprawność stała się praprzyczyną klęski. Spadło na niego odium „capo di tutti capi” skorumpowanego układu władzy w mieście, co utwierdzały wątpliwości wokół udokumentowania majątku (pochodzącego wszak z okresu przed prezydenturą) oraz tzw. afery mostowa. Piskorski zarazem zbyt wystawał ponad przeciętność, również w przełamywaniu urzędniczych imposybilizmów i budowaniu własnego zaplecza. Jego wizerunek z czasem okazał się obciążający dla PO, a Piskorski dodatkowo zagrażał aspiracjom przywódczym Donalda Tuska, został więc usunięty z partii i zmarginalizowany.

Jak przyznaje dawny prominentny działacz warszawskiego samorządu, ta praca wypala. Styk różnych interesów polityczno-finansowych jest tu bowiem tak duży, że łatwo wpaść w polityczną pułapkę. Doświadczył tego nie tylko Piskorski, ale i Hanna Gronkiewicz-Waltz, sprawująca urząd prezydenta stolicy w latach 2006-18. W pewnym momencie odium patologicznej reprivatyzacji tutejszych kamienic obciążało ją tak bardzo, że zdecydowała się nie kandydować po raz kolejny.

Mediatorzy

Dr Hanna Materska-Sosnowska z Uniwersytetu Warszawskiego potwierdza, że choć polityka samorządowa i centralna są od siebie w jakiś sposób oddzielone, a powodzenie lub jego brak w jednej nie musi mieć wpływu na drugą, to jednak powiązania obu światów istnieją. Przede wszystkim polityka rządu wobec samorządów, zwłaszcza znaczących, siłą rzeczy wywołuje ich reakcje i czyni niektórych działaczy lokalnych widocznymi w skali kraju.

To zwłaszcza przypadek minionych ośmiu lat, podczas których wielu samorządowców narzekało na centralistyczną, dyskryminującą finansowo politykę rządu. Co m.in. wypromowało ruch „Tak! Dla Polski” i stało się dźwignią parlamentarnych karier kilku jego przedstawicieli, m.in. lidera ruchu, prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego, od 2023 r. posła KO.

Poza tym, jak przyznaje Materska-Sosnowska, o ile politycy szczebla centralnego rzeczywiście nie muszą ponosić

Przez ponad 30 lat istnienia samorządu w niektórych ośrodkach powstały spetryfikowane układy władzy.

Rekordziści wśród wójtów zaczęli karierę jeszcze w PRL.

kosztów porażek w samorządach, o tyle właśnie działaczom lokalnym, popularnym w ich społecznościach, łatwiej czasem zdobyć mandat poselski. Inna sprawa, czy w centralnej polityce się odnajdują – ławy parlamentarne, zwłaszcza największych klubów, zasila wielu doświadczonych samorządowców, którzy jednak pozostają kompletnie nieznani, nie potrafią się bowiem przebić do głównego nurtu wydarzeń czy mainstreamowych mediów. Wielu po jakimś czasie wraca do samorządu, bo tam czuje się po prostu lepiej.

To choćby przypadek Mirosława Sekuły, wieloletniego posła AWS i PO (w międzyczasie zaś prezesa NIK), który po latach aktywności w centralnej polityce bez powodzenia kandydował w 2010 r. na prezydenta Zabrza. Sukces w podobnym przypadku odniósł natomiast były poseł SLD Krzysztof Matyjaszczyk, który wygrał w 2010 r. wybory na prezydenta Częstochowy i jest nim do dziś.

Posel PiS, były wiceszef MSWiA i pełnomocnik rządu ds. kontaktów z samorządami Paweł Szefernaker oczywiście nie zgadza się z tezą, że poprzedni rząd był antysamorządowy. Po prostu – przekonuje – zgodnie z polityką wyrównywania szans większe pieniądze trafiały wówczas do mniejszych samorządów. A że prezydenci największych miast mieli przebiecie medialne, więc ich stanowisko odbierano jako opinię wszystkich samorządów, których w Polsce jest ponad 2 tysiące.

Szefernaker zwraca zarazem uwagę, że to właśnie w czasach rządów PiS wprowadzono przepisy, które ograniczyły samorządową patologię. Chodzi o zmniejszenie do dwóch liczby kadencji wójtów, burmistrzów i prezydentów.

Rekordziści

Przez ponad 30 lat istnienia samorządu w niektórych ośrodkach wytworzyły się

spetryfikowane układy władzy. Rekordziści wśród wójtów zaczęli karierę jeszcze w PRL, kiedy to sprawowali urząd naczelnika gminy.

Także w dużych miastach można zaobserwować podobne zjawisko. Kończący kadencję Jacek Majchrowski rządzi Krakowem od 2002 r., co jest rekordem w całej historii miasta. W latach 2002-18 prezydentem Wrocławia był Rafał Dutkiewicz, a wspomniany Jacek Karnowski rządził Sopotem ćwierć wieku – wybrany został jeszcze przez radę w 1998 r.

Jednak limitowanie liczby kadencji ma swoje wady, na które zwraca uwagę poseł KO Mariusz Witczak. – Czasem w jakiejś gminie jest bardzo dobry wójt czy burmistrz, ale musi po dwóch kadencjach odejść, co następuje ze szkodą dla tego miejsca – ocenia. Zastrzega, że widzi też zagrożenia związane z petryfikacją władzy. Narażone są zwłaszcza małe gminy, gdzie stosunkowo łatwo zapewnić sobie poparcie w sposób nietransparentny, wykorzystując np. uzależnione od gminnych ogłoszeń małe media.

Na to samo zwraca uwagę Szefernaker, przekonując, iż zna miejsca, w których od dawna nie ma więcej niż jednego kandydata na wójta lub burmistrza, a urząd sprawuje od lat ten sam człowiek. I owszem, miał on kiedyś kontrkandydata, ale ten w kolejnych wyborach już nie wystartował, bo w międzyczasie otrzymał intratną propozycję zatrudnienia w samorządowej instytucji albo zniszczono mu reputację.

Zjawisko petryfikacji samorządowych układów władzy można zaobserwować nie tylko tam, gdzie są bezpośrednie wybory – dotyczy ono również niektórych powiatów i samorządów wojewódzkich. Na 25 lat istnienia samorządowego województwa mazowieckiego przez 23 lata jego marszałkiem jest Adam Struzik z PSL. Marszałkiem województwa wielkopolskiego zaś od 2005 r. pozostaje Marek Woźniak z PO.

Stąd niektórzy politycy rządowej większości – np. Mariusz Witczak – uważają, że po najbliższych wyborach powinno się tak zmienić ustawy samorządowe, żeby wprowadzić bezpośrednie wybory także starostów i marszałków województw, jednocześnie wprowadzając limit kadencji. Czy czeka nas zatem kolejna samorządowa rewolucja?

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



PAWEŁ WODZIŃSKI / EAST NEWS

Przygotowania do defilady „Silna Biał-Czerwona”, w tle czołg K2 Black Panther. Warszawa, 8 sierpnia 2023 r.

Ballada o lekkim zabarwieniu militarnym

MAREK RABIJ

W najbliższej pięciolatce na uzbrojenie armii wydamy ponad pół biliona złotych, ale pieniądze te w znikomym stopniu zasilą polską gospodarkę. Nasz przemysł zbrojeniowy nie ma szans, by po nie sięgnąć.

WMAGLU POLSKIEJ POLITYKI DAWNO już nie odbywała się równie ostra awantura. Zaczęło się od niemal jednoczesnych wpisów byłego ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka i szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego Jacka Siewiery. 16 marca obaj poinformowali o fiasku polskich starań o dofinansowanie produkcji amunicji z unijnych funduszy. Fakt, 2,1 mln euro przyznanych Warszawie na ten cel stanowi niespełna pół procent dostępnych 500 mln euro – do przemysłu niemieckiego trafi zaś niemal 90 mln.

Siewiera nazwał to skandalem. Błaszczak wybrał argumenty *ad personam*: „Donald »Król Europy« Tusk załatwił dla Polski całe 0,42 proc. z unijnego programu produkcji amunicji” – ironizował w mediach społecznościowych.

Dalej było jeszcze śmieszniej. Wywołani do odpowiedzi politycy rządzącej koalicji jeden po drugim przypominali, że procedura naboru wniosków zakończyła się 13 grudnia, czyli dokładnie w dniu zaprzysiężenia obecnego rządu, za fiasko starań odpowiadają więc poprzednicy. Wiceszef MON Cezary Tomczyk triumfalnie tweetował, że pod auspicjami resortu aktywów państwowych, któremu przewodził Jacek Sasin, polskie firmy zbrojeniowe złożyły wnioski o dofinansowanie na skromne 11 mln euro.

W awanturze o pieniądze na amunicję żadna ze stron nie zauważyła, że 500 mln euro nie jest wcale aż tak gigantyczną kwotą. Kontrakt, który w tym samym czasie MON podpisał z jedną z polskich firm – tylko na dostawy noktowi-

zorów – opiewa na blisko 1,5 mld zł, czyli przeszło 347 mln euro.

Monopol na drobiazgi

Firmą, do której trafiło wspomniane zamówienie, jest warszawska spółka PCO. Wraz z ponad 50 innymi tworzy ona Polską Grupę Zbrojeniową, konglomerat podmiotów kontrolowanych przez państwo i przez lata utrzymywanych w głównej mierze z rządowych zamówień.

W kraju PGZ jest *de facto* monopolistą. W Radomiu produkuje m.in. karabinki Grot i pistolety Vis-100. Z należących do grupy zakładów Mesko w Skarżysku-Kamiennym wychodzą zbierające w Ukrainie doskonałe recenzje, naramienne zestawy rakietowe Piorun. Z Huty Stalowa Wola wyjeżdżają równie chwalone na ukraińskim froncie armatohaubice Krab (zakład może się pochwalić jedną z najnowocześniejszych w Europie linii do produkcji luf artyleryjskich), samobieżne moździerze Rak, a wkrótce także bojowe wozy piechoty Borsuk. Z kolei w podgliwickich Łąbędach grupa PGZ prowadzi modernizację przestarzałych niemieckich leopardów, a w zakładach byłej fabryki Cegielskiego w Poznaniu rozbudowuje właśnie centrum serwisowe dla zamówionych dla naszej armii czołgów Abrams. Spod Częstochowy, z zakładów Maskpolu, pochodzą zaś mundury, hełmy i kamizelki dla polskiego wojska.

W ubiegłym roku grupa PGZ miała 8,5 mld zł (to ok. 2 mld dolarów) przychodów. W obecnym do jej kasy wpadnie już co najmniej 11 mld zł. Na papierze wygląda to nieźle, zwłaszcza na tle wyników finansowych z wcześniejszych lat, ale na mapie globalnego przemysłu zbrojeniowego PGZ jest w istocie niedużą firmą, dostarczającą mało innowacyjne produkty. Amerykański koncern Raytheon, producent systemów Patriot, miał w ub. roku 68,9 mld dolarów przychodu. Lockheed Martin, dostawca samolotów F-35, osiągnął sprzedaż na poziomie 67,6 mld dolarów, a General Dynamics – ten od czołgów M1 Abrams – 42,3 mld dolarów. Nawet niemiecki Rheinmetall AG, znacznie mniejszy od amerykańskich konkurentów, zanotował w zeszłym roku przychody rzędu 7,9 mld dolarów, cztery razy większe niż nasza grupa PGZ.



Przespana dekada

⇒ Kondycja krajowej zbrojeniówki w innym świetle stawia więc ostatnią awanturę o dofinansowanie do produkcji amunicji. Polskie firmy sięgnęły w tym programie z grubsza po tyle, ile byłyby w stanie wykorzystać. Niestety, ten fakt źle wróży ich konkurencyjności również w najbliższych latach, dlatego grupa PGZ w alarmowym tempie zwiększa moce produkcyjne. Me-sko, które trzy lata temu wytwarzało do 300 „piorunów” rocznie, dziś wypuszcza ich trzy razy więcej. Huta Stalowa Wola planuje otwarcie drugiej fabryki. Szkopuł w tym, że za granicą robią to samo.

Francja, jeden z największych graczy branży zbrojeniowej, kontrolująca ok. 11 proc. globalnego rynku, rozważa wprowadzenie pierwszeństwa dla zamówień wojskowych w swoim przemyśle – to w zasadzie tymczasowa nacjonalizacja wybranych zakładów. Taką deklarację kilka dni temu złożył tamtejszy minister obrony Sébastien Lecornu; w ciągu najbliższych 12 miesięcy francuskie zakłady mają zwiększyć produkcję amunicji kalibru 155 mm z 40 do co najmniej 100 tysięcy sztuk rocznie.

W obliczu wojny w Ukrainie i wiszącego w powietrzu konfliktu o Tajwan, w którym zmierzyłyby się ze sobą największe potęgi świata: USA i Chiny, zbroi się niemal cały glob. Na każde 10 dolarów, które na świecie wydaje się na ochronę zdrowia, przypadają już ponad dwa dolary wydane na broń i amunicję. W 2022 r. – jak szacuje Stockholm International Peace Research Institute – wszystkie kraje wydały na uzbrojenie rekordową kwotę przeszło 2,24 biliona dolarów. To niemal o 500 mld dolarów więcej niż w roku 2013, poprzedzającym wybuch działań wojennych na wschodzie Ukrainy. Aż 56 proc. tych wydatków pochodziło z budżetów obronnych trzech państw: Stanów Zjednoczonych, Chin i Rosji. Kraje Europy Środkowej i Zachodniej przeznaczyły na uzbrojenie 345 mld dolarów, o 30 proc. więcej niż przed dekadą.

Na papierze Stary Kontynent może się jawić jako tygrys zaczynający mocniej ostrzyć pazury, ale w rzeczywistości trwa tu dopiero pospieszna rekonstrukcja utraconych zdolności. 345 mld dolarów wydanych na obronność w 2022 r. oznacza tylko tyle, że kraje Europy powróciły do finansowania sił zbrojnych i wspierającego je przemysłu na poziomie sprzed 1989 r.

Na każde 10 USD,
które na świecie wydaje się
na ochronę zdrowia,
**przypadają już ponad dwa
wydane na broń i amunicję.**

Polskie wojsko również gorączkowo próbuje uzupełnić utracone zdolności. Lotnictwo przypomina sobie, jak startować i lądować na autostradach. Żołnierze znacznie częściej bywają na poligonach. Na manewrach oficerowie po raz pierwszy od lat słyszą od zwierzchników, żeby nie oszczędzać sprzętu i ćwiczyć „ile fabryka dała”. W obronie narodowej skończyła się epoka zaciskania pasa.

Polskie firmy zbrojeniowe wiele na tym jednak nie zyskają.

Nasz plan Marshalla

Wydatki na obronność można potraktować nie tylko jak konieczną inwestycję w bezpieczeństwo, ale znacznie szerzej – jako zastrzyk kapitału dla krajowej gospodarki. Planowana trzystutysięczna armia, w niemal dwóch trzecich składająca się z żołnierzy zawodowych, może w ciągu kilku lat wyrosnąć na ważnego klienta krajowego biznesu. Ktoś przecież musi wojsku wybudować hangary na nowe uzbrojenie i mieszkania w pobliżu tworzonych właśnie garnizonów, a także dostarczać żywność, paliwa, mundury, sprzętać jednostki i remontować sprzęt. Wynagrodzenia żołnierzy zawodowych, o ile wzrosną do poziomu, który uczyni je konkurencyjnymi dla sektora prywatnego, mogą działać kojąco na bolączki krajowego rynku pracy.

Do końca tego roku MON zamierza podpisać co najmniej 150 umów na dostawy uzbrojenia i wyposażenia dla polskiej armii. W rekordowo wysokiej górze pieniędzy dla wojska, któremu w tym roku zarezerwowano ponad 158 mld zł, aż 52,3 proc. wydatków pochłoną te majątkowe – głównie zakupy sprzętu oraz eksploatacja już nabytego wyposażenia. Niestety, słabość polskiego przemysłu obronnego sprawi, że olbrzymia większość z tych ponad 82 mld zł powędruje na konta zagranicznych firm, od których Polska kupuje dziś czołgi, samoloty, systemy rakietowe i pomniejsze uzbrojenie.

Mimo że fala zamówień dla armii będzie oczywiście stopniowo opadać, przez kilka najbliższych lat nie należy spodziewać się zmniejszenia środków na obronność. Przeciwnie, wiele wskazuje na to, że do ustawowego minimum 3 proc. PKB na wojsko, zapisanego w ustawie o obronie ojczyzny, trzeba będzie dołożyć więcej.

W obecnym roku łączne wydatki na obronność z budżetu i dodatkowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych przekroczą 4,2 proc. PKB. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że w łącznym koszcie zakupu i eksploatacji uzbrojenia kwoty widniejące na fakturze dla producenta stanowią zwykle góra 25-35 proc. wszystkich wydatków, wzrost sum przeznaczonych na wojsko do 5 proc. PKB wydaje się realny. Na potrzeby szybkiej symulacji założmy jednak, że do końca tej dekady nie przekroczy on obecnego poziomu 4,2 proc. rocznie.

Według szacunków OECD polska gospodarka w najbliższej pięcioletce powinna rozwijać się w średniorocznym tempie 2,9 proc. (o ile na przeszkodzie nie staną jej nieznane dziś trudności). Oznaczałoby to, że tylko w latach 2025-2030 na potrzeby obronności Polska wyda łącznie ponad 981 mld zł, czyli aż o 211 mld zł więcej niż Bruksela zarezerwowała dla nas w ramach Krajowego Planu Odbudowy oraz w towarzyszącym mu Funduszu Spójności. Zakładając również w uproszczeniu, że udział wydatków majątkowych w budżecie armii nie ulegnie zmianie, otrzymamy 513 mld zł, które w kolejnej pięcioletce Wojsko Polskie wyda wyłącznie na zakupy, eksploatację i naprawy sprzętu. Od kondycji polskiego przemysłu obronnego i umiejętności negocjacyjnych jego szefów zależeć będzie, jaka część tych pieniędzy popłynie bezpowrotnie za granicę w formie opłat za przeglądy, naprawy, modernizacje i uzupełnienie braków w wyposażeniu.

Rekolekcje przemysłowe

Ten wyścig w dużej części jest już niestety rozstrzygnięty. W kilka lat polski przemysł zbrojeniowy nie wypracuje zdolności, które pozwoliłyby mu wyprodukować, a potem serwisować na przykład własny myśliwiec. W domenie lotniczej, wyjąwszy jej niewielki wycinek związany ze śmigłowcami transportowymi, jesteśmy i będziemy nadal skazani na usługi amerykańskich partnerów, od których kupiliśmy F-16 oraz F-35.

Z kolei w odbudowie *know how* umożliwiającego opracowanie i produkcję nowoczesnego czołgu pomóc miał południowokoreański koncern Hyundai Rotem, wraz z którym krajowe firmy opracowałyby mocno spolonizowaną wersję tamtejszego K2 Black Panther. Umowę o współpracy paraflowano uroczyście jeszcze za rządów PiS, ale od tamtego momentu każdy kolejny miesiąc zdaje się potwierdzać obawy sceptyków, którzy od początku sugerowali, że z pierwotnego partnerstwa technologicznego wyjdzie kolejna umowa kupna sprzętu „z półki”. Polska odebrała dotychczas z Korei 46 ze 180 maszyn K2, które mają szybko uzupełnić braki w wyposażeniu jednostek pancernych, powstałe po przekazaniu ponad dwustu poradzieckich czołgów walczącej Ukrainie. Będą to jednak maszyny w standardzie zaprojektowanym pod specyficzne potrzeby armii południowokoreańskiej, do którego polska strona z braku czasu nie mogła zgłosić żadnych zmian. Coraz mniej wskazuje również na to, by poważniejsze modyfikacje, na przykład w konstrukcji kadłuba i opancerzeniu, udało się wprowadzić także do kolejnych partii maszyn oznaczonych już roboczo symbolem K2PL, które miałyby powstawać częściowo w Polsce. W najgorszym scenariuszu „Wilk” – takim kryptonimem wojsko wiele lata temu oznaczyło program budowy nowego polskiego czołgu – zaowocuje jedynie nowoczesną montownią maszyn, z mocno ograniczonym transferem technologii.

Potencjalnie najbardziej obiecująco zapowiada się współpraca z brytyjskim oddziałem koncernu MBDA, z którym Polska zamierza wspólnie produkować rakiety rodziny CAMM – dla trzech budowanych właśnie fregat Miecznik oraz systemu obrony powietrznej. Brytyjczycy nie tylko wyprodukują nam pociski, ale też prześlą polskiej stronie technologię, która pozwoli na uruchomienie produkcji rakiet na terenie naszego kraju. To nie tylko kwestia bezpieczeństwa na wypadek wojny, gdy kuleje nawet najlepiej zorganizowana logistyka dostaw. Kupując uzbrojenie dla armii u krajowego partnera, nasze państwo będzie *de facto* płacić samemu sobie. Szkoda, że to jedynie wyjątek.

© MAREK RABIJ



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Spacer po terenie planowanego Turnickiego Parku Narodowego.
Boryslawka, 18 czerwca 2022 r.

Przyroda po nowemu

MIKOŁAJ DOROŻAŁA, WICEMINISTER KLIMATU I ŚRODOWISKA,
GŁÓWNY KONSERWATOR PRZYRODY:

To ministerstwo wyznacza kierunki działań. Lasy Państwowe i Polski Związek Łowiecki muszą otworzyć się na zmiany.

ADAM ROBIŃSKI: Podobno lubi Pan długodystansowe piesze wędrówki.

MIKOŁAJ DOROŻAŁA: Jeszcze w grudniu zrobiłem stukilometrową trasę z Ustki do Władysławowa. Przy okazji zbierałem pieniądze dla ciężko chorego chłopca z naszej gminy. Już mi tego chodzenia brakuje.

W resorcie środowiska zaczęliście od sprintu: moratorium z 8 stycznia na pół roku zawiesiło wycinki w niektórych obszarach leśnych. Nawet zwolennicy reform w leśnictwie krytykowali tryb jego uchwalenia i niejasne kryteria wyboru.

Trzymając się jeszcze wątku chodzenia – kilka lat temu przeszedłem całe polskie wybrzeże Bałtyku, 440 km od Świnoujścia do Piasków. Kiedy rusza się na taką wyprawę, to człowiek jest pełen podniecenia. Nawet jak ci wieje w twarz – czujesz, jakby wiało w plecy. Ale po-

tem, czwartego albo piątego dnia, przychodzi kryzys. Trzeba go przetrwać, bo ma się przed sobą jeszcze kilkaset kilometrów.

Reforma systemu ochrony przyrody mierzona na 440 km.

Biorąc się za taki dystans, trzeba zaakceptować, że coś się uda, a coś nie. Ważne, żeby wiedzieć, dokąd się zmierz. A jak w którymś momencie wybrało się złą drogę, to przejść przez jakieś krzaki i wrócić na właściwą.

Uważam jednak, że moratorium było potrzebne. Miało symboliczną wymowę – pokazało społeczeństwu, że coś się zmienia.

„Pełen dobrych chęci, ale amator”.

To jeden z głosów ludzi, których zawód zaczął Pan reformować.

Jak, będąc osobą z zewnątrz, mean-

→

→ Uważam, że bycie z zewnątrz to mój atut. Polska polityka potrzebuje odświeżenia. Dlatego chciałbym dopuścić do głosu ludzi, którzy mają doświadczenie, robili w życiu ważne rzeczy. Kimś takim jest np. prof. Bogdan Jarszewicz, wybitny naukowiec, leśnik, biolog, który jako zastępca dyrektora generalnego Lasów Państwowych daje nadzieję na realną zmianę. Ma się zająć tam edukacją i ochroną przyrody. Po ośmiu latach ludzie otrzymują gwarancję otwartości, której akurat w Lasach brakowało.

Sęk w tym, że „Gazeta Wyborcza” dopiero co ujawniła pismo dyrektora LP z zaleceniem, by poza obszarami objętymi moratorium nie zgadzać się już na żadne inne wyłączenia z planów wycinki.

Zwróciliśmy się do dyrektora z prośbą o pilnowanie warstwy językowej komunikatów. O ich precyzowanie. Myślę, że intencja była inna, a nasza agenda zmian jest wspólna. Lasy Państwowe są instytucją w trakcie przeobrażenia, mają miejsce zmiany kadrowe, pewne sprawy trzeba szlifować na bieżąco.

Ale czy Lasy są instytucją, która jest w stanie zreformować się sama? Nowy dyrektor Witold Koss robi audyt i zapowiada powołanie nowych rezerwatów. To nie jest skala zmian, której spodziewali się Państwa wyborcy.

Lasy potrzebują nas, ministerstwa, do współpracy w gruntownej reformie, potrzebują też strony przyrodniczej i społecznej. Zdecydowaliśmy się iść drogą okrągłego stołu, przy którym usiądą zakład usług leśnych, przemysł drzewny, organizacje pozarządowe, przyrodnicy, samorządowcy i sami leśnicy. Chcemy partnerskiej relacji, pamiętając jednak, że to ministerstwo wytycza ramy, wyznacza kierunki działań, a Lasy Państwowe muszą je realizować.

Mam wrażenie, że w kwestii ochrony przyrody państwo polskie już dawno abdykowało. Do początku XXI w. ustanawialiśmy parki narodowe, objęliśmy ochroną wilka, łosia, dostosowywaliśmy prawo do wymogów UE, ale ostatnie 20 lat to demontaż tego systemu. Jeśli coś się dziś udaje

chronić, to tylko za sprawą trzeciego sektora.

Nadszedł czas, by ten trzeci sektor poczuł, że ma po stronie Ministerstwa Klimatu i Środowiska partnera. Czas walki minął, przed nami lata rozmów i wspólnego budowania strategii. Rozmawiamy m.in. z ruchami leśnymi, jest ich w Polsce ponad 200. Tłumaczymy: słuchajcie, niemożliwe jest zablokowanie wycinki w każdym najmniejszym lesie. Potrzebujemy gospodarki leśnej.

Jeśli trzeci sektor przez ostatnie 20 lat musiał non stop patrzeć urzędnikom na ręce, to trudno oczekiwać, że z dnia na dzień obdarzy ich zaufaniem.

Jest cała masa zaangażowanych w ochronę przyrody dwudziestoparolatków, którzy nie znają innej perspektywy niż walka z urzędnikiem. Ale to dlatego, że przez ostatnie osiem lat każdy, kto miał odmienne poglądy niż partia rządząca, był traktowany jak wróg.

Będzie inaczej?

Przez pierwsze miesiące mojego urzędowania przyjąłem tu mnóstwo ludzi, którzy chcieli podzielić się swoim punktem widzenia. Miałem ostatnio spotkanie z osobą, która swego czasu musiała okupować ten gmach, aby ktokolwiek zechciał zwrócić na nią uwagę. Dziś spotykamy się choćby z Greenpeace. Wczoraj z Wojewódzką Radą Dialogu Społecznego z Podlasia, z przedsiębiorcami i przedstawicielami związków zawodowych. Każdy może przyjść i się wypowiedzieć. Mam wrażenie, że ten budynek cierpiał na syndrom obłożonej twierdzy. Kiedy w grudniu organizowaliśmy pierwszą konferencję prasową, okazało się, że nie da się z niej przeprowadzić transmisji internetowej. Wyglądało trochę tak, jakby nie było to wcześniej praktykowane. Teraz to już standard.

Czy w tym roku powstanie pierwszy po długiej przerwie park narodowy?

Dopiero co mieliśmy świetną debatę w Przecławiu na temat powołania Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry. To trzy gminy: Kołbaskowo, Widuchowa i Gryfino. Wójt tej pierwszej jest gorącą orędowniczką idei parku, w pozostałych dwóch mamy kilka spraw do przepracowania z lokalną społecznością. Będą więc

kolejne spotkania. W ministerstwie powstaje zespół ds. powołania tego parku.

Z czym wiążą się obawy mieszkańców?

Zwykle chodzi o mity. Na spotkaniu byli choćby wędkarze, którzy opowiadali, że przychodzą do nich ludzie i twierdzą, że nie będzie już można łowić ryb i że tym procesem sterują Niemcy. Naszą rolą jest edukowanie. Przekonywanie, że park wszystkim się opłaca. Zapytał pan o perspektywę czasową – daliśmy sobie 40 tygodni na przygotowanie części formalno-prawnej. To kwestia nowej ustawy, rozporządzenia dotyczącego granic parku, analiz i konsultacji. Równolegle pracujemy nad rozwiązaniami finansowymi, które pokażą gminom, jak bardzo im się to opłaca.

40 tygodni na formalności, a więc park narodowy w 2025 r.?

Trzeba jeszcze wybudować siedzibę dyrekcji, ośrodek edukacyjny, stworzyć infrastrukturę. Tego nie da się zrobić w kilka miesięcy. Do końca roku chcemy dowieźć sprawy formalne. Mieć etap konsultacyjny za sobą. Mój departament wie, że to ambitny cel. Wie też, jak silna jest presja. Wzięliśmy to na klatę.

O wiele trudniej będzie powołać Turnicki Park Narodowy. Da się w ogóle ustanowić ten park, nie zmieniając ustawy o ochronie przyrody, która cały proces uzależnia od zgody samorządów?

Ustanawiając moratorium, objęliśmy teren projektowanego Turnickiego Parku Narodowego ochroną. To ponad 8 tys. ha. Trudny teren, rozproszony niczym archipelag. Decyzja o wyłączeniu wycinek była elementem szukania rozwiązań ochronnych dla tego miejsca. Wiemy, jakie jest nastawienie tamtejszych samorządów. Nie chcemy nikogo stawiać przed faktem dokonanym.

Mamy z Lasami Państwowymi na tapecie pomysł ustanowienia stu nowych rezerwatów na stulecie Lasów Państwowych. On się przyjął, Lasy chcą to zrobić. W Polsce istnieje ponad 1,5 tys. rezerwatów przyrody, wciąż za mało.

Zwykle brakuje woli.

Ona zaczyna się pojawiać. W szufladach RDOS od paru lat zalega projekt

powiększenia jednego z rezerwatów w Puszczy Boreckiej. I nagle ktoś ten projekt wyciąga, bo zmieniła się władza. Mamy potencjał idący w setki rezerwatów przyrody, w których gospodarka leśna i tak nie była prowadzona. Choćby dlatego, że otaczają uzdrowiska, jak w Rymanowie-Zdroju.

Wracając do Turnickiego – na ten moment nie mamy projektu utworzenia parku narodowego. Ale chcemy ten teren chronić. Uruchomić proces konsultacji z Lasami i lokalną społecznością.

A co z istniejącymi już parkami narodowymi? PiS miał projekt ustawy, która zakładała ich centralizację. To umożliwiłoby choćby przepływy finansowe z parków bogatych do biedniejszych.

Jestem po spotkaniu z dyrektorami wszystkich parków. Ich sytuacja jest o tyle skomplikowana, że każdy ma swoją specyfikę. Z jednej strony jest Tatrzański, który rocznie odwiedza blisko 5 mln turystów. Z drugiej choćby Drawieński, gdzie jest ich dwadzieścia parę tysięcy. Dyrektor Biebrzańskiego mówił, że jakiś martwy przepis zmusza go do niepotrzebnego udrażniania kanałów rzecznych. Karkonoski chciałby się powiększyć, ale czuje presję deweloperów. Pieniński jest zadeptywany z uwagi na bliskość Tatr. Z konkretnych: mamy projekt 20-procentowych podwyżek dla pracowników parków narodowych. Oczywiście te bogatsze będą musiały trochę się do tego dołożyć. Jestem przeciwnikiem pomysłów, które opierają się na centralizacji i po rozmowach z dyrektorami odniosłem wrażenie, że nie tego oczekują, ale jeśli znajdziemy w projekcie PiS jakieś elementy warte wdrożenia, to oczywiście się temu przyjrzymy.

Jak będzie wyglądać polskie łowiectwo za cztery lata?

Chciałbym, żebyśmy po tym czasie mogli powiedzieć, że Polski Związek Łowiecki otworzył się na zmiany i pokazał to, co ma zapisane w ustawie, czyli ochronę przyrody. Mam wobec PZŁ mocne oczekiwania. Musimy razem zlikwidować patologie, które trawią dziś polskie łowiectwo.

Tylko że gdy słucha się przedstawicieli tego środowiska, odnosi się wrażenie, że to rozmowa wyłącznie



MATERIAŁY PRASOWE MINISTERSTWA KLIMATU I ŚRODOWISKA

MIKOŁAJ DOROŻAŁA jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska i głównym konserwatorem przyrody. Jego nominacja na wiceministra odpowiedzialnego m.in. za reformę leśnictwa i łowiectwa wzbudziła wątpliwości w świecie organizacji pozarządowych. Polityk Polski 2050 ma doświadczenie w samorządzie i biznesie, ale nie pracował w ochronie przyrody. W dodatku w koalicji trwa przeciąganie liny – lasami i łowiectwem chciałby zarządzać zarówno najbliższy partner Hołowni, czyli PSL (w którego szeregach jest wielu myśliwych), jak i Koalicja Obywatelska. Kompleksową reformę systemu ochrony przyrody wypracowują ministerialne zespoły, do których zaproszono aktywistów, naukowców, myśliwych, leśników i przedstawicieli przemysłu drzewnego. Rodzi się więc ona w bólach, w ogniu wielu grup interesów.

o zmianie sposobów zabijania zwierząt. A które gatunki przestaniemy w świetle prawa zabijać?

Mamy cztery gatunki ptaków, co do których umówiliśmy się, że będziemy nad nimi pracować. To m.in. czernica, głowienka, jarząbek. Z takim postulatem przyszła koalicja „Niech żyją!” i ja jestem całym sercem za tym pomysłem.

Co z polowaniami na jelenie w trakcie rykowiska?

Chciałbym, żeby ten temat pojawił się na forum zespołu ds. reformy łowiectwa. Jedną z pierwszych spraw, jakie mamy na tapecie, jest kwestia ochrony ciężarnych łoch. To z kolei postulat środowiska myśliwych. Sami chcą tego zakazu. Chcę wyrazić się jasno: ja tu nie przyszedłem, żeby

zlikwidować łowiectwo w Polsce. Jestem wegetarianinem, nie poluję i nie zacząłbym polować, ale moim zadaniem jest pomóc PZŁ w zreformowaniu się. W likwidacji patologii, w pokazaniu, co dobrego ma do zaoferowania. Słuchajmy argumentów, słuchajmy ekspertów. Niech to będą prof. Henryk Okarma, który poluje, i prof. Sabina Nowak, która nie poluje.

Co z wilkiem? Lobby łowieckie od lat postuluje zdjęcie z niego ochrony gatunkowej.

Polska dobrze sobie radzi z ochroną wilka, nie ma potrzeby, by rozmawiać o zmianie jego statusu ochronnego. Taką opinię przygotowaliśmy też na ostatnie posiedzenie Komisji Europejskiej.

A jednak według badań Stowarzyszenia dla Natury „Wilk” i kilku uczelni 147 wilków rocznie jest zabijanych przez kłusowników. Mnóstwo zwierząt ginie na drogach. W sytuacjach konfliktowych RDOS-ie wydają decyzje uchylające ochronę gatunkową. Zezwalają na strzelanie.

Nie może być tak, że odstrzał jest domyślnym rozwiązaniem każdej sytuacji. Chcielibyśmy też porządnie zmapować kwestię hybryd wilka. Wilk generalnie unika człowieka. Pojedyncze sytuacje, w których jest inaczej, dotyczą niemal wyłącznie hybryd lub osobników, które miały wcześniej kontakt z człowiekiem, bo były np. jako szczenięta wyniesione z gniazda. Mamy też problem nęćisk używanych w celach zarobkowych, choćby w Bieszczadach, aby przyciągać fotografów z zagranicy. Wilki przyzwyczajają się za ich sprawą do bycia dokarmianymi padliną. Ale najgorsze, co można zrobić, to budować atmosferę zagrożenia. Jeśli zdarzają się ataki na zwierzęta gospodarskie, to należy temu zaradzić, pozyskując środki na lepsze zabezpieczenie przetrzeni, w których się je trzyma.

Przy okazji wilka trzeba zrobić dygresję na temat szakala złocistego. To gatunek obcy, który przyszedł do nas sam. Mamy jedynie kilka obserwacji rocznie, a mimo to zwierzę jest na liście gatunków łownych. Organizacje przyrodnicze widzą w tym wytrych myśliwych, żeby strzelać do wilków. Łatwo tłumaczyć się potem pomyłką.

→ Środowisko łowieckie przekonuje, że chodzi o niektóre gatunki ptaków, które nie miały czasu wypracować metody, żeby się przed szakalem ochronić, tak jak przystosowały się do bytności np. lisa. W kwestii szakala będziemy się posiłkować tym, co wypracuje zespół. W XX wieku prawie straciliśmy żubra, wilka...

...łosia.

To wszystko zbyt ważne zagadnienia, by w podejmowaniu decyzji kierować się emocjami. Po to powołaliśmy zespół, żeby się z tymi zagadnieniami zderzać. Chcę współpracy, natomiast są też jasne, zarysowane przez panią minister Hennig-Kloskę kierunki działania. One są związane z oczekiwaniami społecznymi.

Czy to jest kierunek, w którym chce iść również łowczy krajowy Eugeniusz Grzeszczak? Film, który nagrał wraz z Marcinem Możdżonkiem, prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej, każe sądzić inaczej. Mówili o jednoczeniu się myśliwych przeciw reformom.

Ten film został nagrany dzień przed naszym spotkaniem z łowczym krajowym, a opublikowany już po nim. Cóż mogę powiedzieć? Rozmawiałem potem i z łowczym, i z prezesem NRL. Więcej szkód niż pożytku mieli z tego filmu.

Czy spółka Wody Polskie powinna wrócić do resortu środowiska? To, że rzekami zarządza Ministerstwo Infrastruktury, wiele mówi o utilitarnym podejściu państwa do ich kwestii.

Jako Polska 2050 mówiliśmy o tym w trakcie kampanii wyborczej. Natomiast nie da się ukryć, że będzie to wynikiem negocjacji koalicyjnych.

A czy ochrona przyrody wróci do nazwy ministerstwa? Taki ruch byłby symbolem zmian, o których mówimy.

Przyznam, że o tym nie myśleliśmy. Może dlatego, że mam pod sobą Departament Ochrony Środowiska, więc ta ochrona zdaje się czymś oczywistym. Od terminologii ważniejsze będą konkretne działania.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI



IAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wieś Czulice pod Krakowem. 15 października 2023 r.

Starość ma przyszłość

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Liczba Polek i Polaków, którzy przekroczyli 60. rok życia, dobiła już prawie do dziesięciu milionów. Nasz kraj musi wreszcie opracować plan reakcji na postępujące starzenie się społeczeństwa i wyludnianie niektórych regionów.

GMINA SIĘ WYLUDNIA, NIE MA OFERT pracy dla młodych, we wsi Pawlino mieszka siedem osób. W Olekszy nie ma dzieci, same dziadki – wylicza pani Anna, urzędniczka, która wróciła w rodzinne strony po studiach w Białymstoku. – Dziś pewnie zrobiłabym inaczej, ale trzydzieści lat temu nie stać nas było na mieszkanie w mieście, a w Orli rodzina postawiła dom, więc już coś było na początek.

Orla, gmina w województwie podlaskim, liczy 2,5 tys. mieszkańców. 60 proc. to osoby w wieku poprodukcyjnym. Jest to według danych GUS jeden z czerwonych punktów na mapie najszybciej wyludniających się regionów w kraju. W gminie znajduje się jedna szkoła podstawowa z oddziałem przedszkolnym, która kształci 188 dzieci. Pracuje w niej 36 nauczycieli, ale nie wszyscy na pełnym etacie – na jednego peda-

goga przypada dziś pięcioro wychowanków.

Choć utrzymywanie szkoły jest kosztowne, nie można z niej zrezygnować, bo wtedy nieliczne młode małżeństwa wyemigrują i nikt ich nie zastąpi. Podobna sytuacja panuje w sąsiednich Dubiczach Cerkiewnych oraz w wielu innych miejscach przy wschodniej granicy, dotkniętych zjawiskiem depopulacji. Jest ono na tych terenach szczególnie dotkliwe, ale nie tylko tam stanowi poważny problem społeczny. W wielu polskich miastach i gminach odsetek ludności w wieku poprodukcyjnym przekroczył już 30 proc.

Problem trzech czwartych

– W dobrej sytuacji są gminy okalające większe miasta, nie tylko te z tzw. wielkiej piątki, ale również otaczające miasta liczące 80-100 tysięcy ludności, gdzie

od lat utrzymuje się tendencja do przenoszenia się zamożniejszych obywateli na tereny podmiejskie – wyjaśnia prof. Piotr Szukalski, demograf i gerontolog z Uniwersytetu Łódzkiego. – Jednak generalnie trzy czwarte Polski wyludnia się. Po pierwsze, jest to efekt ucieczki młodych ludzi. Kiedy migracja trwa przez wiele lat, mamy do czynienia z deformacją piramidy wieku, która skutkuje ujemnym przyrostem naturalnym.

W niektórych regionach Polski migracja trwa od lat 60. Uciekają młodzi, bo nie widzą dla siebie perspektyw. A gdy gmina ubożeje, nie opłaca się w niej otwierać dużego sklepu, utrzymywać kilku szkół, remontować dróg. To tworzy efekt błędnego koła, bo brak dobrej infrastruktury zniechęca inwestorów i motywuje kolejne osoby do wyjazdu.

– Na tym terenie od dawna nie funkcjonuje transport publiczny, więc trzy gminy dogadały się i utrzymują własne linie komunikacyjne z Bielskiem Podlaskim. Gdybyśmy nie dopłacali 100 tysięcy rocznie do przewozów zbiorowych, dzieci nie mogłyby dojeżdżać do szkół średnich, a seniorzy do lekarzy – opisuje sytuację wójt Orli, Leon Pawluczuk, który zanim doszło do pełnoskalowego najazdu Rosji na Ukrainę, liczył na pomyślny rozwój regionu. Jednak od dwóch lat nie udało mu się przyciągnąć inwestorów, zamarł też ruch na przejściu granicznym z Białorusią w Połowcach, co uszczupliło dochody okolicznych mieszkańców.

W gminie działa fabryka „Ikea Industry Orla” produkująca ultracienkie płyty HDF. Zatrudnia 280 pracowników. Kiedy powstawała, właściciele deklarowali, że znajdzie tam pracę dwa tysiące osób. Niestety, automatyzacja uszczupliła załogę. Mężczyźni znajdują zatrudnienie w rolnictwie, zakładach stolarskich i transporcie. Kobiетom trudniej znaleźć pracę, szczególnie tym z wyższymi kwalifikacjami.

– Najtrudniej mają seniorzy, których dzieci wyjechały za granicę. To często osoby samotne, po osiemdziesiątce, mieszkające na terenach rzadko zaludnionych. Nie ma tam zainteresowania rządowym programem „Pomoc sąsiedzka”, bo w okolicy mieszkają osoby w podeszłym wieku i żadna z nich nie skończy wymaganego kursu pierwszej pomocy. Opiekunkom z Bielska Podlaskiego

nie opłaca się do nas dojeżdżać – podsumowuje Leon Pawluczuk.

W gminie działa Dzienny Dom Pomocy dla seniorów, uruchomiony z rządowych środków. Dzięki temu wyremontowano budynek, zatrudniono trzy opiekunki, jednak pieniądze już się skończyły i od nowego roku pensjonariusze płacą dziennie około 20 zł za obiad. Wcześniej były trzy posiłki, pielęgniarka, rehabilitacja i zajęcia wspomagające rozwój osób starszych. Wójt podkreśla, że bez funduszy od państwa nie będzie mógł utrzymywać pomocy dla seniorów na właściwym poziomie. A przecież ludzi potrzebujących będzie coraz więcej.

– Obiecywano wsparcie, stworzyliśmy miejsce dla mieszkańców i zostaliśmy z problemem sami. W Polsce brakuje konsekwencji. Teraz rząd zachęca do tworzenia żłobków i znowu deklaruje, że będą pieniądze, a tymczasem może się to skończyć tak samo jak z dziennymi domami dla seniorów – mówi z żalem Leon Pawluczuk.

(Nie)sprawiedliwa troska

Polska się starzeje. GUS podaje, że na koniec 2022 r. liczba osób w wieku 60 lat i więcej wyniosła 9,8 mln i wzrosła w stosunku do poprzedniego roku o 0,7 proc. Większość polskich seniorów mieszka w miastach (64,1 proc.), co szósty jest aktywny zawodowo. Mediana wieku statystycznego mieszkańca Polski to obecnie 42 lata.

– Państwo, w którym w roku 2060 ludzie w wieku poprodukcyjnym będą stanowić ok. 38 proc. populacji, musi zacząć gromadzić środki, żeby było je stać na wywiązanie się z zobowiązań w stosunku do swoich obywateli, którzy będą wtedy w wieku nieprodukcyjnym. Przykładem, że można tak zrobić, jest Norwegia, która od lat odkłada środki ze sprzedaży ropy naftowej w swoim państwowym funduszu emerytalnym. Natomiast w Polsce jest odwrotnie. Zamiast oszczędzać i odkładać, polscy politycy traktują jak pod ręczną skarbonkę Fundusz Rezerwy Demograficznej i podejmują złe decyzje, jak obniżenie wieku emerytalnego, wprowadzenie emerytur pomostowych czy stażowych. Czyli całkowicie nieodpowiedzialnie zaciągają dług, które będą spłacać przyszłe pokolenia – twierdzi dr Marcin Wojewódka z niezależnego think tanku Instytut Emerytalny.

Z problemami demograficznymi zmagają się wszystkie kraje o wysokim standardzie życia. Widmo załamania się systemu emerytalnego, ale także obawy związane z głębokim kryzysem ochrony zdrowia zmuszają je do działań. To samo dotyczy Polski. Potrzebne są szkolenia i zadbanie o rozwój zawodowy pracowników z grupy 50 plus, by nie uciekali przedwcześnie na emeryturę. Konieczna jest profilaktyka zdrowotna i zapewnienie ludziom bezpieczeństwa socjalnego. Nie obejdzie się też bez przyjmowania do pracy cudzoziemców, choć ten pomysł w wielu państwach budzi obawy i protesty. Raport Fundacji Batorego z 2023 r. „W stronę sprawiedliwej troski. Opieka nad osobami starszymi w Polsce” wykazał, że w kraju brakuje systemowej odpowiedzi na wyzwania demograficzne. Główny ciężar opieki nad seniorami spada więc na rodziny, co często wyklucza osoby w pełni sił z rynku pracy (szczególnie kobiety). Należy stworzyć sieć instytucji świadczących usługi opiekuńcze, ale to wymaga współpracy różnych podmiotów.

Oswajanie trudnej starości

Depopulacja i starzenie się społeczeństwa będą miały poważne konsekwencje gospodarcze. Ludzie skupią się na kupowaniu żywności i leków, spadnie zapotrzebowanie na nowe mieszkania, samochody, ubrania. Pomieszczenia biurowe będą świecić pustkami, a galerie handlowe stracą część klientów. Zamiast szkół czy przedszkoli, zaczną powstawać domy dziennego pobytu dla seniorów, bo ci nie będą w stanie poradzić sobie z trudami życia. Początek takich procesów już dziś widać w wielu miejscowościach. W województwie świętokrzyskim na 146 dziadków przypada 100 wnuczków, a Skarżysko-Kamienna, 40-tysięczne miasto położone w tym samym województwie, składa się w 30 proc. z osób w wieku poprodukcyjnym.

– W naszym mieście dużo mówi się o seniorach, może nawet więcej niż o potrzebach dzieci i młodzieży – opowiada Małgorzata Zolbach, kierowniczka Klubu Senior+ dotowanego z programu rządowego. W Skarżysku istnieją dwa takie ośrodki, a oprócz tego osoby starsze spotykają się przy dwóch parafiach. Ale to kropla w morzu potrzeb. Zainteresowanie udziałem w zajęciach jest tak duże, →

→ iż pieniądze przeznaczone na 23 miejsca zostały zagospodarowane na rzecz 48 uczestników.

Średnia wieku w klubie, który prowadzi Zolbach, wynosi osiemdziesiąt lat. Pani Julia Bębenek (94 lata) jest emerytowaną nauczycielką, przeżyła wojnę, a kiedy w ramach klubu pojechała z wyprawą do Warszawy, zrezygnowała ze zwiedzania miejsc, które przywołują wspomnienia z okupacji. Radość życia daje jej taniec. Jeszcze cztery lata temu pojechała na imprezę sylwestrową, czasem tańczyła na spotkaniach seniorów.

– Senior seniorowi nierówny, inaczej funkcjonuje osoba po sześćdziesiątce, inaczej ta po dziewięćdziesiątce. Opieka nad ludźmi starszymi powinna być dostosowana do ich potrzeb fizycznych i intelektualnych – uważa Małgorzata Zolbach.

W klubach seniorów zdecydowanie przeważają kobiety, nie tylko dlatego, że żyją dłużej od mężczyzn (panie stanowią 58,1 proc. populacji osób w wieku poprodukcyjnym), ale po prostu dużo chętniej wchodzi w interakcje społeczne. Siłą rzeczy zajęcia klubowe są więc bardziej dostosowane do potrzeb płci żeńskiej. Panów trudniej przekonać, że aktywizacja, udział w wolontariacie czy korzystanie z kultury przedłużają życie i pozwalają cieszyć się nim w pełni.

– Wszystkie zajęcia, które pobudzają do aktywności, mają duże znaczenie w utrzymaniu pogody ducha i zdrowia – uważa Monika Nitkiewicz-Mitrut, instruktorka teatralna w Centrum Kultury i Promocji w Kraśniku. – Na moje zajęcia przychodzi siedem kobiet, zaskoczyła mnie ich dyscyplina i sumienność. Żadna nie jest babcią na etacie, są po siedemdziesiątce, ich dzieci rozjechały się po Polsce, a one czerpią z teatru radość.

W spektaklu „Byłam, jestem, chciałabym...” seniorki opowiadały o swoim dzieciństwie i marzeniach. Monika Nitkiewicz-Mitrut stworzyła scenariusz na podstawie ich doświadczeń, tekst sztuki

Najtrudniej mają seniorzy, których dzieci wyjechały za granicę.

To zwykle osoby samotne po osiemdziesiątce, mieszkające na terenach rzadko zaludnionych.

jest wynikiem rozmów, dyskusji i wielomiesięcznej pracy. I choć wiele kobiet zastrzegło, że nie chcą poruszać tematów związanych ze śmiercią, zajęcia teatralne są dla wielu sposobem na oswojenie trudnych, egzystencjalnych tematów.

– Kiedyś poprosiłam seniorki, żeby na mnie poczekały i nigdzie nie uciekały. Odpowiedziały ze śmiechem: „Możemy uciec najwyżej na cmentarz” – opowiada Monika Nitkiewicz-Mitrut. – Kraśnik to miasto starych ludzi, młodzi po maturze wyjeżdżają, w moim bloku mieszkają sami emeryci. Na każdym piętrze wdowa. Jednak widzę, że na przestrzeni lat zmienił się styl życia. Nie pamiętam, by moja babcia brała udział w jakichś aktywnościach, a pokolenie moich rodziców rozumie, że to konieczne do zachowania dobrej kondycji.

Nowa demografia Europy

Polskie trendy demograficzne współgrają z europejskimi. Spadek liczby małżeństw, przesuwanie się średniego wieku rodzenia pierwszych dzieci i wchodzenia w trwałe związki, niska płodność i wydłużająca się długość życia prowadzą do zmniejszającego się przyrostu naturalnego, a w konsekwencji do nieodwracalnych zmian struktury populacji. Dirk van de Kaa, holenderski badacz, określił te procesy mianem „nowej demografii Europy”. W wielu państwach ludzie migrują ze wsi do dużych miast, które rosną do wielomilionowych metropolii. Dziś obszary wiejskie zajmują 44 proc. Europy, ale 78 proc. ludności żyje w miastach.

– Mamy w Polsce powiaty, które w ciągu 25 lat straciły 25 proc. ludności. To są znaczące straty, a pewne peryferyjne obszary są już nie do obronienia. Powinniśmy raczej inwestować i wspierać miasta 20-50-tysięczne. Trzeba spr-

wić, by były atrakcyjne dla młodych. Poprawiać infrastrukturę, zwiększać zatrudnienie, zapewniać rozrywkę. Jeśli z tej perspektywy spojrzymy na wydłużające się województwo podlaskie, to lepiej by było, gdyby młody człowiek ze wsi znalazł pracę w Suwałkach niż w Warszawie. Podatki zostaną w województwie podlaskim, a on będzie miał bliżej do rodziców i jeśli będą w potrzebie, udzieli im pomocy – wyjaśnia prof. Piotr Szukalski.

Taka pomoc może być konieczna, bo choć rząd poprzez tzw. bon senioralny zakłada dofinansowanie usług opiekuńczych dla osób powyżej 75. roku życia i ich pracujących dzieci, brakuje kandydatów na opiekunów. Wynagrodzenie w sektorze pomocy społecznej nie przyciąga nowych pracowników, a kierunki studiów przygotowujące do tego zawodu od lat są w defensywie. Rządowy program zakładający „Pomoc sąsiedzka” nie sprawdzi się na terenach słabo zaludnionych, gdzie sąsiadują ze sobą osoby po siedemdziesiątce. Zarazem sieć dziennych domów pomocy jest niewystarczająca, a kryterium dochodowe pozwalające na uzyskanie pomocy finansowej w jednoosobowym gospodarstwie domowym ustalono bardzo nisko. W Skarżysku-Kamiennym wynosi 776 złotych.

– W ośrodku, który prowadzę, nikt nie ma tak niskich dochodów, jedna pani pobiera emeryturę w wysokości około tysiąca złotych, ale i tak z trudem wiąże koniec z końcem. Nie mam jednak pełnego oglądu sytuacji – zastrzega Małgorzata Zolbach. – Jest wiele starszych osób, które żyją samotnie i nie wychodzą z domu. Trudno do nich dotrzeć, bo nie figurują w statystykach instytucji.

Kierowniczka skarżyskiego Klubu Senior+ podkreśla, że wiek poprodukcyjny nie jest końcem życia i może być dla człowieka okresem szczęścia i spokoju. Wiele jednak zależy od tego, w jakich warunkach się egzystuje i jaki ma się stosunek do świata. Pan Jerzy Durlik, który skończył 91 lat, na emeryturze realizuje marzenia – projektuje ubrania i sam je szyje. Za swoje prace otrzymał nagrodę „Stylowy senior”. W spotkaniach klubowiczów wnosi radość życia i optymizm. Często powtarza: „Mam wrażenie, że dużo jeszcze mogę zrobić, że każdego dnia coś dobrego na mnie czeka”.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chłasty w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

TOMASZ

Stawiszyński:

Czego nauczył mnie Dalton



KULTOWY „ROAD HOUSE” – Z NIEODŻAŁOWANYM Patrickiem Swayze w roli głównej – widziałem po raz pierwszy na początku lat 90. Na domowym seansie video u kolegi, z dziesiątej kopii odtwarzanej na wysłużonym magnetowidzie jakiejś nieistniejącej już marki, w rodzaju Orion albo Otake. Jak to najczęściej z seansami video bywało – wskutek wielokrotnego powielania, sylwetki na ekranie tworzyły kompozycję plam o niepodrabialnej fakturze, a dykcja amatorskiego lektora znacznie utrudniała rozumienie dialogów.

Pamiętam towarzyszące mi wówczas emocje. Oraz poczucie, że praca wykidajły (taki osobliwy tytuł, nawiasem mówiąc, nosił ów film w polskim obiegu) to jakaś doniosła sprawa, w której liczą się tyleż pięściarska wirtuozeria, ile głębinowa filozofia. Charyzmatyczny bohater bowiem, czyli po prostu Dalton – legendarny knajpiany ochroniarz, mistrz sztuk walki oraz, *last but not least*, dyplomowany filozof – kieruje się w swojej pracy mnóstwem ważkich reguł, z których na plan pierwszy wyłaniają się dwie zasadnicze. Pierwsza brzmi: bądź miły, ale tylko do momentu, w którym trzeba przestać. Druga: kiedy ten moment już nadejdzie, załatwiasz sprawę na zewnątrz, nigdy w lokalu.

Powiecie – banał. A jednak niezupełnie. Rozchodzi się tu przecież o konsekwentnie stosowaną strategię neutralizowania przemocy. Trzeba jej za wszelką cenę unikać – uczy nas Dalton – jeśli zaś uniknąć się jej nie da, należy stosować ją w sposób stanowczy, celowany i maksymalnie efektywny. I do tego być zawsze przygotowanym na najgorsze. Słowem: mamy tu do czynienia z kompletnym wykładem autorskiego tao ochroniarstwa.

Przy czym jest to doktryna na tyle skuteczna, że na Daltona nie ma mocnych, a każdy szanujący się restaurator pragnie go mieć u siebie. I tak, na początku filmu pewien biznesmen z małego miasteczka w stanie Missouri proponuje mu posadę w klubie „Double Duce”. Dalton ofertę przyjmuje, przyjeżdża na miejsce i od razu zaczyna wdrażać tam swoje tao. Nie podoba się to oczywiście lokalnemu gangsterowi, bo w takich filmach zazwyczaj się coś lokalnemu gangsterowi nie podoba. W związku z tym rozpętuje się w miasteczku piekło na ziemi, a do głosu dochodzą także demony z przeszłości naszego bohatera. Bo wiemy od początku, że w historii Daltona tkwi jakiś mrok. Że kiedyś, w ułamku sekundy, sprzeniewierzył się tym swoim regułom,

przekroczył granicę, stracił kontenans. Cóż, w „Double Duce” sytuacja poniekąd się powtórzy...

Więcej nie zamierzam opowiadać, są być może wśród czytelników i tacy, którzy „Road House” z 1989 r. nie widzieli. Choć w sumie najważniejsza jest tu nie fabuła, lecz właśnie tao Daltona. W wersji po brutalnej lekcji z „Double Duce” brzmi ono mniej więcej tak: stawaj po stronie dobra i unikaj przemocy, zarazem bądź czujny na własną ciemną stronę, bo i ty sam możesz się łatwo stać swoim wrogiem, niewykluczone, że największym.

Naturalnie, to nie jest żaden Bergman, tylko solidne kino klasy B, ale kreacja Swayzego i świetnie napisane postacie (choćby Wade Garrett – co za gość!) dodają mu nieoczekiwanej głębi. I sprawiają, że to się wybornie ogląda, nawet po prawie 40 latach. Że zaś nie tylko ja w dziele Rowdy’ego Herringtona widzę coś więcej – o tym niech zaświadczy fakt, że się „Road House” doczekał właśnie remake’u. Nie tyle wiernego, ile raczej opartego na motywach oryginału – pod tym samym wszakże tytułem. Od połowy marca rzecz jest dostępna na jednej z platform streamingowych, a porównanie tych dwóch filmów mówi coś, mam wrażenie, nie tylko o ewolucji popkultury, ale i rzeczywistości, w której żyjemy.

Powiedzmy najpierw, że nową wersję, w reżyserii Douga Limana, z Jakiem Gyllenhaalem w roli Daltona, też się wybornie ogląda. Pod względem warsztatowym niewiele da się twórcom zarzucić. Jest tempo, sceny walk, intryga, a do tego jeszcze ekscentryczny zawodnik MMA Connor McGregor w roli monstrualnego, szalonego antagonisty. Tyle że Dalton z 2024 r. nie posiada tej głębi i komplikacji, które cechowały jego pierwowzór (no i brak mu niepodrabialnego czaru Patricka Swayze, choć Gyllenhaal gra znakomicie). Owszem, też jest w nim jakiś mrok i też ściga go przeszłość. O ile jednak pierwszy Dalton zabił człowieka w samoobronie, nie mając innego wyjścia, o tyle drugi zmasakrował przeciwnika na ringu MMA po prostu dlatego, że – jak w pewnym momencie przyznaje – kiedy ktoś bardzo go zdenerwuje, kompletnie traci nad sobą panowanie i zamienia się w maszynę do zabijania.

Niestety, nie czuć w tym żadnego moralnego dramatu, tylko dziwactwo, osobliwość, zaburzenie. Pierwszy Dalton rozumiał, do czego przemoc może człowieka doprowadzić, każdego człowieka, nawet tego, który występuje w imię dobra. Drugi Dalton wydaje się unikać przemocy wyłącznie dlatego, że masakra, której dokonuje w opętanym ferworze, sprawia mu potem mnóstwo praktycznych problemów. Istotnie, czasami nawiedzają go koszmary i dręczą własne czyny, niemniej są to momenty rzadkie i jakoś nieprzekonujące. Pierwszy Dalton nieustannie nad sobą pracował, drugi zdaje się samego siebie w ogóle nie rozumieć. Wreszcie – pierwszy miał swoje tao, drugi natomiast żyje z dnia na dzień, od jednej bójki do drugiej.

Jest w tej zmianie – powtórzę – coś symptomatycznego, jakiegoś niepokojącego przesunięcie nie tylko w psychologii filmowych bohaterów, ale i świata dookoła nas. I w nas, oczywiście, też. A może nawet przede wszystkim.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

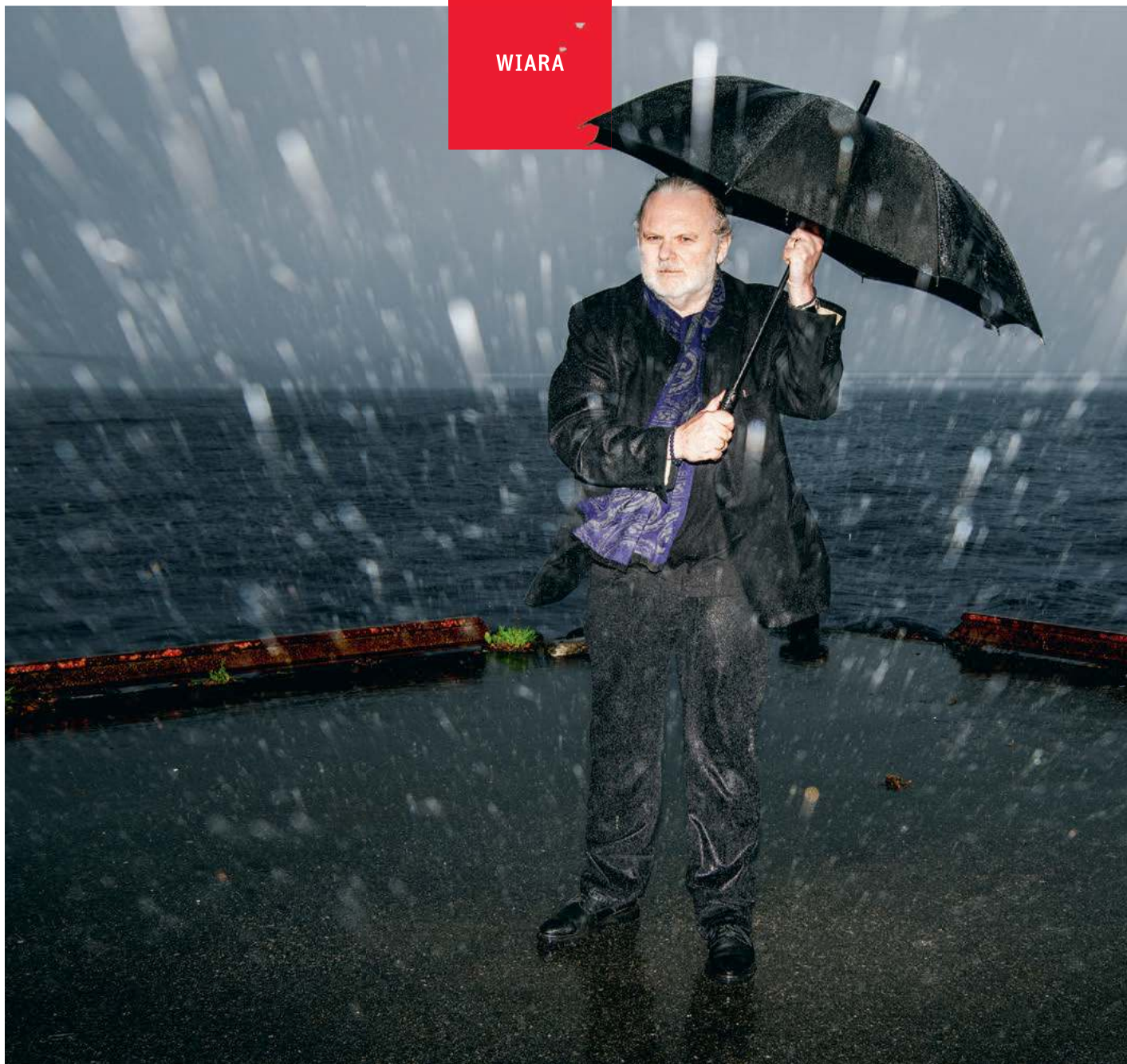
t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

WIARA



SKĄD PRZYCHODZI ŚWIATŁO

W dziełach Jona Fossego mamy do czynienia z zapisem religijnego doświadczenia.
Co przywiodło do katolicyzmu laureata Nagrody Nobla?

SEBASTIAN DUDA



HELGE SKODVIN / GETTY IMAGES

Jon Fosse
po ogłoszeniu
literackiej Nagrody Nobla.
Frekhaug, Norwegia,
6 października 2023 r.

W 2012 r. JON FOSSE, NORWESKI pisarz i dramaturg, którego sztuki były już wówczas jednymi z najczęściej wystawianych w teatrach w różnych częściach świata, został zaproszony przez rodzinę Paula Claudela do château de Brangues – posiadłości na południowym wschodzie Francji, nieopodal Grenoble. Tam właśnie Claudel, najsłynniejszy chyba wśród nawróconych na katolicyzm literatów francuskich, spędził ostatnich kilkanaście lat swojego życia. I choć zmarł w Paryżu w 1955 r., przed śmiercią poprosił, by pochowano go właśnie w Brangues. Miejsce to nie jest dziś dostępne dla zwiedzających. Dla Fossego pobyt w odosobnionej, pełnej ciszy posiadłości stał się punktem zwrotnym życia.

Zobaczysz siebie

Od jakiegoś czasu próbował wyjść z alkoholizmu. Doświadczał już stanów delirycznych i czuł, że coraz bardziej zanurza się w odmęty choroby. Miał 53 lata, troje dzieci, był po dwóch rozwodach. Rok przed przyjazdem do Brangues ożenił się po raz trzeci. Jego żona Anna jest Słowaczką. Pochodzi z bardzo pobożnej, katolickiej rodziny. Fosse w posiadłości Claudela poczuł, że sam mógłby przejść na katolicyzm. Nie doświadczył jednak tak gwałtownego tępienia jak osiemnastoletni, zanurzony w scjentystycznym ateizmie swojej epoki Claudel.

Francuz opisywał swoją konwersję na wiarę Kościoła rzymskiego następująco: „Oto jakim był ów nieszczęśliwy młodzieniec, który 25 grudnia 1886 r. udał się do paryskiej Notre-Dame, by uczestniczyć w bożonarodzeniowym nabożeństwie. Zaczynałem wtedy pisać i z bezbrzeżnym dyletantyzmem sądziłem, że w nabożeństwach katolickich odnajdę odpowiedni bodziec oraz materię do jakiejś dekadencckiej wprawki literackiej. W takim nastroju, rozpychając się w tłumie łokciami, uczestniczyłem w uroczystej mszy bez większej przyjemności. Następnie, nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem tam znowu po południu, na nieszpory. Ubrani na biało ministranci oraz alumni niższego seminarium Saint-Nicolas-du-Chardonnet śpiewali pieśń, którą – jak dowiedziałem się później – był »Magnificat«. Stałem w tłumie obok drugiego filaru od wejścia na

chór, na prawo od zakrystii. W tym momencie zdarzyło się coś, co zdominowało całe moje życie. W jednej chwili coś dotknęło mego serca i uwierzyłem. Uwierzyłem z tak mocnym przyłgnięciem, z takim wzlotem całej mej istoty, z tak potężnym przekonaniem, z taką pewnością niepozostawiającą miejsca na jakąkolwiek wątpliwość, że – od tej pory – żadne rozumowanie, żadna okoliczność mego niespokojnego życia nie były w stanie podkopać mej wiary ani jej dotknąć” (przeł. Julian Rogoziński).

Inaczej niż Claudel, przeżywający w château de Brangues Jon Fosse zbliżał się do wiary Kościoła rzymskiego stopniowo. Nie chciał tam korzystać z jakichkolwiek hałaśliwych mediów. W kontemplacji ciszy zaczął po latach pisać prozę. Jak sam opowiada, poddał się wtedy zasadzie wysłuchiwania ciszy. To z niej powoli wychodził rytm i świat z tysiącami prawideł, jakich nie sposób sformułować w schematach ugiętej logiką typowej, fabularnej narracji.

Z tego świata, jak tłumaczy dziś Fosse, można było tylko ukuć jedno, niekończące się zdanie. W taki oto sposób norweski pisarz mówi dziś o początku powstawania swojego *opus magnum* – przejmującej „Septologii”, której pierwsze dwie części spolszczyła Iwona Zimnicka, a kolejne dwie ukażą się w następnych księgarniach we wrześniu.

„Septologia” relacjonuje siedem kolejnych dni, zapisanych na ponad 800 stronach, z ograniczoną interpunkcją, bez kończących zdania kropek. Każdy tom zaczyna się od frazy „I widzę siebie” – nieprzypadkowo. Te słowa odnoszą się wprost do różnorodnych notacji rzeczywistości w umyśle jednej tylko osoby. W ten sposób odsłaniany jest przed czytelnikami hipnotyczny ruch postrzeżeń, uczuć i myśli.

Podjąć decyzję

W jednym z wywiadów udzielonych już po przyznaniu mu w zeszłym roku literackiej Nagrody Nobla, Fosse tłumaczy, że „tym, co w wielkim stopniu składa się na [jego] powieść, jest użyty w opowieści język czasu – jego bieg do przeszłości i do przodu. I tak można nagle doświadczyć czegoś, co wydarzyło się dawno temu przed wieloma laty. Czas jest rozpostarty, przynajmniej dla mnie, między przeszłością i przyszłością. Jest jak

→ moment, który w pewien sposób zawiera całe życie w siedmiu przywoływanych dniach”.

Nietrudno dostrzec w tym tłumaczeniu norweskiego pisarza reminiscencję XI księgi „Wyznań” św. Augustyna ze słynną konstatacją: „Właściwie nie należałoby mówić, że istnieją trzy dziedziny czasu – przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Może ściślej byłoby takie ujęcie, że istnieją następujące trzy dziedziny czasu: obecność rzeczy minionych, obecność rzeczy teraźniejszych, obecność rzeczy przyszłych. Jakież tego rodzaju trzy dziedziny istnieją w duszy; ale nigdzie indziej ich nie widzę. Obecnością rzeczy przeszłych jest pamięć, obecnością rzeczy teraźniejszych jest dostrzeganie, obecnością rzeczy przyszłych – oczekiwanie” (przeł. Zygmunt Kubiak).

Ruch czasu odsłaniający się w „Septologii” Fossego (w której układzie widzieć można nawiązanie do pierwszego opisu stworzenia w biblijnej Księdze Rodzaju) ma swoje źródło w podobnej do Augustyńskiej intuicji. W owym ruchu Fosse odkrył swoją drogę do nawrócenia.

W trakcie pisania „Septologii”, już po powrocie z Francji w 2013 r., wstąpił do Kościoła rzymskokatolickiego. Ten wybór dla pisarza pochodzącego z kraju, w którym przez wieki luteranizm był religią państwową, a obecnie ponad 50 proc. obywateli uznaje się za ateistów, dla wielu postronnych był nieoczywisty i szokujący.

Odkryć światło

Fosse wychował się w rodzinie, której przodkowie przynależeli do wspólnoty kwakrów. W tej wywodzącej się z purytanizmu szczególnej odmianie chrześcijaństwa wielką wartość przypisuje się osobistemu objawieniu – odkrywaniu w sobie Wewnętrznego Światła. Jednym z kwakerskich krewnych autora „Septologii” był zmarły w 1902 r. norweski malarz romantyczny Lars Hertervig. Jego kontemplacyjne, świetliste pejzaże od dzieciństwa wywierały na pisarzu wielkie wrażenie.

Dziadek, który uważał się za kwakra, choć nie należał oficjalnie do żadnej kwakerskiej grupy, dużo mu opowiadał i o Hertervigu, i o naturalnym, pochodzącym od Boga świetle. Wedle doktryny kwakrów światło to jest bez

wyjątku obecne w sercu każdego człowieka. Ono właśnie umożliwia kontakt z Bogiem, aczkolwiek nie wszyscy muszą utożsamiać Go z Chrystusem, bo On ze światłem objawia się także w innych tradycjach religijnych (obecnie można spotkać nawet kwakrów uznających się za niewierzących).

To podstawowe dla prostej, teologicznej doktryny kwakerskiej przekonanie towarzyszyło Fossemu na różnych, czasami bardzo burzliwych i dramatycznych etapach jego życia. Hertervigowi poświęcił wydaną w latach 1995-1996 dwuczęściową powieść „Melancholia”, która naznaczona już jest zwrotem ku mistycznej religijności.

Być gwiazdą rocka

Jednak w młodości Fosse miał duże problemy z jakąkolwiek teologią i wiarą. W wieku lat 16 gwałtownie odciął się od Kościoła luteranckiego, do którego oficjalnie należał od dzieciństwa. Nie znosił autorytarnego sposobu sprawowania władzy nad członkami powierzonych im wspólnot. Odstreślał go układny racjonalizm kazań i teologicznych eksplikacji. Uznał, że jest ateistą i anarchistą, pociągał go radykalny komunizm. Związał się na pewien czas z ruchem hipisowskim. Marzył, by zostać gwiazdą rocka. Dużo grał na gitarze i skrzypcach. Do swoich tekstów poetyckich (dziś ma na koncie 13 tomików) uparcie pisał muzykę.

Po tym okresie nastoletniego buntu, gdy w 1983 r. wydał swoją pierwszą napisaną w języku nynorsk (posługuje się nim obecnie ok. 10-15 proc. społeczeństwa Norwegii; Fosse tworzy w nim konsekwentnie do dziś) powieść „Raudt, svart” („Czerwone, czarne”), kolejne lata wypełnione były dość desperackimi poszukiwaniami duchowymi.

Fosse zachodził do różnych grup religijnych. Trafił m.in. na zebrania kwakrów (gdzie bardzo pociągały go długie chwile ciszy), od czasu do czasu uczęszczał na msze w kościele katolickim w Bergen. W jego wczesnej twórczości daje się jednak zauważyć ten ostry, „heavy metalowy i duchowo ciemny”, jak mówi teraz pisarz, wymiar. Fosse mimo to uparcie próbował szukać czegoś innego, co mogłoby przynieść upragniony, a wciąż nieosiągalny wewnętrzny spokój. Na tej drodze doświadczył wielu samoupokorzeń.

Przeżyć wypadek

Pamiętał przy tym o pewnym wydarzeniu z dzieciństwa, o którym wciąż nie bardzo jest w stanie opowiadać z dystansem. Gdy miał 7 lat, spadł z wysokości i mocno się poranił. „Straciłem wiele krwi – tłumaczy, przywołując tamtą dziecięcą traumę – byłem bliski śmierci. Zobaczyłem coś w rodzaju migoczącego światła, spokojnego i pięknego. Sądzę, że to doświadczenie odmieniło mnie na sposób fundamentalny, być może uczyniło ze mnie pisarza”.

Dziś Fosse jest pewien, że doszedł w swym pisaniu do takiej formy, jaka nie tylko przekłada się na zapis przeżyć z wpisanymi weń religijnymi odniesieniami, ale że takie przeżycia forma ta uruchamia i odsłania. „Skąd się bierze takie pisanie? – zapytuje teraz sam siebie autor „Septologii”. – Kiedy myślę o innych pisarzach, o Beckettie, Traklu czy Bernhardzie, o muzyce Bacha, zastanawia mnie, skąd coś takiego przychodzi. Jak można wytłumaczyć to na sposób materialistyczny? Nie, nie można. W pewnym momencie mojego życia ta duchowa przestrzeń, jakkolwiek ją nazwać, otworzyła się przede mną. Ona z pewnością jest nie do uchwycenia, do zobaczenia. Jednak można ją poczuć i wiadomo, kiedy z nią mamy do czynienia”.

Czytać Eckharta

Do punktu, który przywołuje Fosse, doprowadziła go, jak sam twierdzi, uważna lektura pism Mistra Eckharta. Szczególnie przemówiły do pisarza zawarte w nich odniesienia do Boga utożsamianego z nicością, z której jednak rozbłyśka objawienie tego, co duchowe i co ma swoje źródło w Bogu. W kazaniu XXII Eckharta czytamy o iskrze, w której Bóg przed stworzeniem zrodził najpierw coś niestworzonego, w czym znajdują się prawzory wszystkich rzeczy.

„Iskierka ta jest Bogu tak pokrewna, że stanowi jedyne Jedno, bez żadnej różnicy, i zawiera w sobie prawzory wszystkich stworzeń. Prawzory te są bezobrazowe i ponadobrazowe. (...) Jesteśmy jedynym Synem, którego Ojciec zrodził przed wiekami w ukrytych ciemnościach odwiecznej, nieprzeniknionej głębi. Tam pozostawaliśmy, wewnątrz, w pierwszym początku Pierwszej Czystości, która jest pełnią wszelkiej czystości. Tam spoczywałem od wieków, spowity snem, w ukrytym

poznanie Ojca Przedwiecznego, pozostawałem wewnątrz, niewypowiedziany. Z czystości tej rodził mnie On od wieków jako swego Jednorodzonego Syna, na podobieństwo swego przedwiecznego Ojcostwa, ażebym był ojcem i rodził Tego, z którego się narodziłem. (...) Tak postępuje Bóg: rodzi swego Jednorodzonego Syna w najwyższej części duszy. W tym samym momencie, w którym rodzi we mnie swego Syna, ja rodzę Go z kolei dla Ojca” (przeł. Wiesław Szymona OP).

Z pewnością Eckhart w wyżej przytoczonych zdaniach nie bardzo podąża za katolicką ortodoksją. Mimo to, jak zauważa Fosse, średniowieczny mistyk, którego w Kościele nazywano heretykiem, nigdy nie wyszedł z katolickiej przestrzeni duchowej.

A nauka o iskrze Bożej w każdym człowieku, podobna nieco do kwakerskiego przeświadczenia o Wewnętrznym Świecie, jest być może najważniejszym motywem, w jakim mogą się odnaleźć współcześni, poszukujący po omacku tego, co autentycznie duchowe. Dzięki owemu motywowi światło daje się rozpoznać nawet w największych życiowych ciemnościach.

Wejść w ciszę

Fosse wierzy, że rozpoznanie tego światła nie tylko pomogło mu wyjść z alkoholizmu. Wskutek tego rozpoznania stał się także wierzącym i praktykującym katolikiem. Odkrył bowiem w katolicyzmie kontemplacyjną repetycję, jaka stała się jego udziałem podczas pisania utożsamianego z wsłuchiowaniem się w ciszę. Ten sam rytm, który towarzyszy aktowi tworzenia, gdy uobecnia się to, co wedle autora „Septologii” jest być może w naszym życiu najważniejsze i najprawdziwsze. „Kiedy przychodzę na katolicką mszę – tłumaczy pisarz – wszystkie te teksty liturgiczne powtarzane są na nowo bez ustanku, aż w końcu dochodzimy do ich najświętszego momentu, do Eucharystii, gdzie można czasem (tak samo jak niekiedy na kwakerskich spotkaniach czy w jeszcze innych okolicznościach) poczuć to, co przynajmniej ja mogę nazywać Bogiem”.

„Sam zresztą – mówi dalej Fosse – preferuję raczej mszę łacińską i jeśli to możliwe, właśnie na nią uczęszczam. Nie rozumiem z niej wszystkiego, ledwie ten czy inny fragment. Zatem w ten sposób



CLAUDIO BRESCIANI / AP / EAST NEWS

Jon Fosse podczas ceremonii wręczenia Nagrody Nobla w Sztokholmie. Szwecja, 10 grudnia 2023 r.

ten element rytualny staje się także rodzajem ciszy. Sens jest wciąż na nowo powtarzany od 2000 lat. Tak oto w jakiś sposób ów sens nie mówi niczego. Staje się ciszą. I cisza właśnie tak przychodzi. Chyba w moich powieściach i opowiadaniach, w mojej prozie, to powtarzanie pozwala wchodzić ciszy do mojego pisania. I (...) wszystkie przerwy, cisze, pauzy w moich sztukach, bo w dramatach łatwiej pewnie zauważyć to, co dla mnie najważniejsze, przywołują ten sens”.

Fosse jest przy tym świadom swojej odrębności we wspólnocie Kościoła. Nie tylko dlatego, że trafił do niej w bardzo dojrzałym wieku jako były luteranin i człowiek dwukrotnie rozwiedziony. Rodzimych katolików w Norwegii jest nie więcej niż 5 tys. Na msze być może uczęszczają tam bardziej regularnie imigranci z Polski czy Filipin. Jednak pisarz, który przyznaje się do swojej wiary katolickiej, wie, że jego mistyczne inklinacje mogą być uznane przez współwyznawców czy to w ojczyźnie, czy poza nią za heterodoksyjne lub heretyckie.

Mimo to poczucie przynależności do wielowiekowej tradycji, jak zaznacza Fosse, daje mu teraz najlepszą możliwość kontaktu z wewnętrzną iskrą, z Bogiem. „To dla mnie ważne – konstatuje – że msza jest odprawiana kilkukrotnie w ciągu dnia. Nawet w Oslo można przyjść na nią o 8 rano, po południu czy wieczorem. Można też pójść na mszę

gdziekolwiek na świecie. Liturgia jest ta sama, te same słowa, więc czuję się związany w bardzo mocny sposób ze starą, dwutysiącletnią tradycją, która prowadzi wprost do Chrystusa i do Piotra, pierwszego papieża”.

Ratować życie

W ojczyźnie Fossego takie konstatacje przyjmowane są z zażenowaniem. Dość powiedzieć, że norweskie gazety usunęły z opublikowanego w nich tekstu mowy noblowskiej pisarza odniesienia do Boga. Tymczasem papież Franciszek wysłał do autora „Septologii” list, w którym napisał: „W szczególny sposób Twoja zdolność do przywoływania darów łaski, pokoju i miłości Boga wszechmogącego w naszym często zaciemnionym świecie z pewnością wzbogaci życie tych, którzy współuczestniczą w pielgrzymce wiary”.

Autor „Septologii” podkreśla, że ewokacja łaski w pisaniu nie jest dla niego autoekspresją, lecz raczej ucieczką od siebie. Być może dlatego w jego dziełach wielokrotnie pojawia się motyw samounicestwienia. Tym bardziej czuje się zobowiązany, gdy dostaje listy od tych, którzy chcieli odebrać sobie życie.

„W mojej twórczości – podkreślał w Sztokholmie – jest wiele samobójstw. Obawiałem się, że w ten sposób mogłem przyczynić się do legitymizacji samobójstwa. Tym, co poruszyło mnie bardziej niż cokolwiek innego, były osoby, które napisały, że moje pisanie uratowało im życie. W pewnym sensie zawsze wiedziałem, że pisanie może uratować życie, być może nawet uratowało moje własne. A jeśli mogłoby również pomóc w ratowaniu życia innych, nic nie uczyniłoby mnie bardziej szczęśliwym”.

Gdy przeczytałem wydaną właśnie nowelę Fossego „Białość” w tłumaczeniu Iwony Zimnickiej, miałem wrażenie wchodzenia w głębokie i jednocześnie ocalające przed rozpaczą doświadczenie. Rozpoznawałem motywy znane mi z różnorodnych teologicznych źródeł, ale wiedziałem, że owo rozpoznanie do tego wejścia w ogóle nie jest mi potrzebne.

© SEBASTIAN DUDA



Jon Fosse
BIALOŚĆ
przeł. Iwona Zimnicka,
ArtRage 2024

Nie zardzewieć w więzieniu

JAN OPIELKA

Chcicie mieć za sąsiada kogoś, kto wyjdzie pełen nienawiści, bo żył jak pies w klatce, czy kogoś z pomysłami i planami? – zapytałby ludzi Karol, jeden z osadzonych-studentów KUL.

ARTUR Z PRZEJĘCIEM WYJAŚNIA ZAŁOŻENIA swego tekstu. Ten traktuje o postawie wobec wolontariatu osób odbywających karę pozbawienia wolności. 30-latek sam od siedmiu lat odbywa karę w Areszcie Śledczym w Lublinie. Od blisko pięciu lat zaś studiuje w zakładzie karnym nauki o rodzinie ze specjalizacją animatora społeczności lokalnej. Wspólnie ze studentką Weroniką Artur omawia swój artykuł naukowy, który opiera się na jego niedawno ukończonej pracy magisterskiej i ma ukazać się w czasopiśmie fachowym dla systemu więziennictwa. Po zajęciach opowiada: – Kontakt z wykładowcami i w ogóle z ludźmi spoza zakładu karnego sprawia, że mogę i chcę się rozwijać. Podczas studiów dowiedziałem się o mechanizmach rozwoju relacji międzyludzkich, a także o tym, dlaczego sam zostałem przestępcą.

Przed więzieniem Artur ukończył technikum, później założył własną firmę w branży transportowej. A motywacja do podjęcia studiów w więzieniu? – To proste: przede wszystkim nie chciałem tu zmarnować tych lat.

– Artykuł naukowy, który napisał, miał mieć 13 stron – mówi Iwona Niewiadomska, profesor psychologii z Katedry Psychoprofilaktyki Społecznej KUL, jedna z inicjatorek przedsięwzięcia, od lat ucząca studentów-przestępców. – Artur oddał 23 strony.



Prof. Iwona Niewiadomska prowadzi zajęcia dla więźniów studiujących na czwartym i piątym roku na kierunku nauki o rodzinie. Areszt Śledczy w Lublinie, styczeń 2024 r.

Pomysł

Więźniowie już od jedenastu lat mają możliwość studiowania w KUL. Projekt rozpoczął się na kierunku praca socjalna ze specjalizacją streetworking, czyli przygotowującym do pracy na ulicy, np. z trudną młodzieżą. Pod koniec 2022 r. projekt został zinstytucjonalizowany jako Centrum Studiów dla Więźniów w miejskim Areszcie Śledczym. To prawdopodobnie jedyny tego typu ośrodek nie tylko w Polsce, ale i w całej Unii Europejskiej. Ministerstwo Edukacji Narodowej, za czasów ministra Przemysława Czarnka, zapewniło fundusze na rozbudowę pomieszczeń i infrastruktury edukacyjnej w więzieniu. Jednak poza tym KUL za każdego z obecnie ok. 50 studentów-więźniów otrzymuje wyłącznie standardową państwową dotację w tzw. algorytmie subwencyjnym, równą tej, które uczelnia otrzymuje za każdego ze swoich blisko 8 tys. studentów. Nie ma więc dodatkowej zachęty finansowej dla uczelni. Rektor KUL ks. prof. Mirosław Kalinowski twierdzi, że to jeden z powodów sukcesu. – Wykładowcy nie dostają żadnego dodatkowego wynagrodzenia. Nawet za bilety płacą sami, a więźniowie wiedzą o tym, dlatego też nigdy nie było żadnych nieprzyjemnych sytuacji.

Koncepcja jest innowacyjna: więźniowie z całej Polski mogą ubiegać się o przyjęcie na studia na kierunku nauki o rodzinie ze specjalizacją asystent osoby niesamodzielnej.

Kierunek ten był wcześniej najczęściej wymieniany w ankiecie przeprowadzonej przez KUL wśród więźniów w całej Polsce. Jeśli aplikanci ze świadectwem matury zostaną przyjęci – ze względów organizacyjnych do tej pory przyjmowani są wyłącznie mężczyźni – są przenoszeni do zakładu karnego w Lublinie.

W pierwszych latach niektórzy skazani mogli w ramach przepustek częściowo uczestniczyć w zajęciach na samej uczelni. Obecnie nauka odbywa się wyłącznie w areszcie. Powodem tego ograniczenia była zbrodnia sprzed kilku lat, gdy więzień spoza programu i z innego więzienia podczas przepustki popełnił podwójne morderstwo.

Normalne studiowanie

W środowe przedpołudnie w lubelskim areszcie ośmiu studentów czwartego i piątego roku w jednym z pomieszczeń seminaryjnych przygotowuje badania do prac magisterskich. – Analizujecie tę samą grupę na podstawie zebranych statystyk – objaśnia Iwona Niewiadomska.

Pod roboczym tytułem „Źródła poczucia własnej skuteczności” mają sprawdzić, co motywuje więźniów podczas długoletniego pobytu w zakładzie karnym. W tym celu przeprowadzili badania ankietowe wśród 950 osadzonych w Lublinie. Studenci, w wieku od 25 do 40 lat, zadają szczegółowe pytania, dyskutują kryteria statystyczne, spierają się z prowa-

dzącą i obecnym na zajęciach rektorem – a ci z nimi. Krótko mówiąc: zachowują się jak normalni studenci.

– Co sądzi pan o dylematach studentów ostatniego roku? – pyta Niewiadomska jednego ze studentów czwartego roku.

– Gdyby nie mieli dylematów, to by znaczyło, że źle pracują.

Głośny śmiech. Dyskusja toczy się dalej.

W rozmowie po seminarium, pod nieobecność wykładowców, studenci poruszają jeszcze inne kwestie, także krytyczne. Studiowanie to dobra rzecz, aby „opuścić wewnętrzne więzienie, które jest w nas”, jak mówi Adrian. Jednak dla Piotra jedną z pierwotnych motywacji do zapisania się do programu była obietnica ze strony kierownictwa więzienia, że ukończenie studiów zwiększy jego szanse na skrócenie kary. – Gdy dowiedzieliśmy się, że tak nie jest, były dołki. Chciałem zrezygnować, ale wziąłem się w garść, zacząłem to robić wyłącznie dla siebie i wciągnąłem się w to na dobre.

Możliwość pracy

Piotr opowiada, że sąd niedawno odrzucił wniosek o przedterminowe zwolnienie po siedmiu latach ośmioletniego wyroku. Jak mówi, sąd ten miał stwierdzić, że podjął on studia tylko ze względu na tę właśnie perspektywę. Piotr od kilku lat pracuje poza więzieniem: czyn, za który trafił do więzienia, nie był związany z cielską szkodą drugiej osoby.

– Do studiów miałem więc tylko wewnętrzną motywację, chęć rozwoju. Pomaga też to, że wykładowcy z KUL są bardzo zaangażowani, i że przyjeżdżają tutaj i wspierają nas. Wspiera nas też wielu studentów studiujących na wolności.

Czy odczuwa wpływ tego, że uczelnia jest katolicka? – Pomaganie innym zawsze było domeną katolicyzmu i chrześcijaństwa.

Robert dodaje: – Uczelnia najpierw nie sie pomoc nam i oferuje kierunek jako asy-

stent osoby niesamodzielnej, abyśmy później, na wolności, mogli pomagać innym.

Student Karol ma nadzieję, że stopień magistra da mu większe szanse na odnalezienie się po wyjściu z aresztu. – Ale już tutaj w więzieniu to studium robi różnicę. Bo zamiast siedzieć beczynnie w celi, a robiłem to przez pierwszy rok w więzieniu, teraz spędzam czas tutaj. Uczę się przydatnych rzeczy, a mój czas jest zorganizowany. Cztery lub pięć dni w tygodniu jestem po kilka godzin na seminariach, a następnie pracuję nad materiałami w celi. Ten cały program jest również ogromnym plusem dla mojego zdrowia psychicznego. Po prostu nie rozmyślam o zbędnych rzeczach i nie zajmuję się głupotami.

Studentowi Darkowi kierunek studiów odpowiada, zna jednak więźniów, którzy chcieliby studiować np. kierunki techniczne. Choćby dlatego, że praca jako pracownik socjalny lub asystent osób niesamodzielnych dla wielu z nich będzie możliwa tylko w ograniczonym zakresie. Zgodnie z prawem instytucje państwowe nie mogą zatrudniać osób karanych za określone przestępstwa. Ale mogą to robić organizacje prywatne i kościelne czy też stowarzyszenia i fundacje.

– Mógłbym pracować w ośrodku Caritas, który pomaga bezdomnym, oraz w dwóch prywatnych organizacjach jako asystent osób niepełnosprawnych. Gdybym dziś wyszedł, mógłbym i chciałbym tam zacząć – mówi student Robert.

Pozostali więźniowie widzą jednak także inne możliwości, które daje program studiów, np. w branżach, gdzie dyplom uniwersytecki jest formalnym warunkiem lub jest mile widziany. – Te studia uczą też efektywnej pracy i radzenia sobie z problemami – mówi Darek.

Areszt Śledczy w Lublinie

Stereotypy o więźniach

Na pytanie, co chcieliby koniecznie powiedzieć ludziom na zewnątrz, Karol od razu odpowiada: – Chciałbym, żeby więcej osób uświadomiło sobie, jak potrzebna jest prawdziwa resocjalizacja. Żeby więźniowie po wyjściu na wolność nie trafiali ponownie do więzienia, trzeba im najpierw dać przysłowiową „wędkę”, taką, jaką jest choćby możliwość nauki. Każdy powinien zastanowić się, czy chce mieć za sąsiada kogoś, kto wychodzi z więzienia pełen złości i nienawiści, bo żył jak pies w klatce, czy kogoś z pomysłami i planami, bo nie zardzewiał tutaj.

Jeden z nich dorzuca, że tym samym chyba już wszystko zostało powiedziane. Robert się nie zgadza: – Jak to, wszystko powiedziane? Oprócz sugestii, żeby społeczeństwo nas nie stygmatyzowało, liczy się też postawa administracji więziennych i sądów. Jak dotąd, nie jesteśmy traktowani przez pryzmat resocjalizacji. Nie liczy się dla nich, czy ktoś tylko siedzi pod drzwiami celi, czy studiuje, angażuje się i podejmuje różne działania profilaktyczne czy readaptacyjne. Patrzą na nas wyłącznie przez pryzmat końca kary. A w ciągu ostatnich ośmiu lat sytuacja tylko się pogorszyła.

To pogorszenie jest obiektywnym faktem. Za rządów PiS-u i ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry zwiększył się nacisk na karę, a nie na resocjalizację. Środki na rację żywnościowe – 4 zł dziennie na więźnia – przez osiem lat nie zostały zwiększone. Personel



→ medyczny w więzieniach jest redukowany. Niektóre więzienia mają cele dla 15 lub więcej więźniów, a prawnie regulowana minimalna powierzchnia 3 metrów kwadratowych na więźnia (średnia w UE wynosi 7 metrów kwadratowych) to polski standard. Do tego zaostrome zostały zasady odwiedzin i kontaktów telefonicznych oraz zasady przepustek.

KUL idzie inną drogą. Już sam fakt, że niniejszy tekst nie zawiera informacji o przestępstwach popełnionych przez więźniów-studentów, odpowiada podejściu wykładowców: celowo nie chcą wiedzieć, za co studenci odsiadują wyroki.

Wolność z dobrym bagażem

Z grona 18 absolwentów pierwszych roczników studiów, którzy od dłuższego czasu przebywali na wolności, tylko dwóch ponownie trafiło do więzienia. To znacznie mniejszy odsetek recydywistów niż przeciętna krajowa, wynosząca ok. 40 proc. recydywy podczas pierwszych pięciu lat po opuszczeniu aresztu.

Łukasz Kwasek odsiedział w więzieniu 13 lat – skazany za bójkę ze skutkiem śmiertelnym, jak mówi sam o sobie. Za kraty trafił w 2003 r., był młodym ojcem. – Ale nie dbałem o syna, byłem egoistą – opowiada. Od blisko ośmiu lat 44-letni dziś mężczyzna jest na wolności. W areszcie zrobił maturę, zaliczył technikum informatyczne, rozprawił się z alkoholizmem, wyuczył się na kucharza i pracował. Należał do pierwszej grupy

studentów w Lublinie. – Stwierdziłem, że kształcenie się jest sposobem na lepsze życie. Podczas studiów analizowałem wiele kwestii, które tutaj poznałem w realu. To mi otworzyło oczy na świat, a studiowanie kilkusetletnich tekstów obudziło we mnie poczucie moralności.

Po wyjściu na wolność pracował przez kilka miesięcy jako opiekun osób niepełnosprawnych w jednym z domów pomocy społecznej w Lublinie. Gdy pokazał dyplom, został od razu przyjęty. Praca mu się podobała, rozstał się z nią z powodów problemów z komornikiem. Dziś pracuje głównie za granicą, we Francji, zwłaszcza w budowlance, i żyje w długoletnim związku z partnerką. Jak mówi, doświadczenie studiów pomogło mu uporać się z tragedią śmierci syna, który zmarł kilka lat temu na białaczkę. – Gdybym miał wtedy taką psychikę, jaką miałem na początku odsiadki, pewnie zacząłbym pić i szukać zemsty na pierwszym lepszym człowieku. Nauczyłem się jednak, że pewne klęski życiowe trzeba przecierpieć. Życie to sinusoida.

W tym samym roczniku, co Łukasz Kwasek, studiował też Paweł Baran. 53-letni dziś mężczyzna został zwolniony na początku ubiegłego roku – po 25 latach. Obecnie mieszka w Krakowie. – Nawet nie marzyłem o studiowaniu, kiedy byłem w więzieniu. Dla mnie to było jak dla innych podróży w kosmos – opowiada.

Jest wierzący i – jak sam mówi – „wymodlił sobie” te studia, dostał się na nie

w ostatniej chwili z listy rezerwowej. – Studia pomogły mi podnieść moją samoocenę. Z każdym zdany egzaminem, z każdą pozytywną oceną rosło we mnie poczucie, że nie jestem skazany na bycie na dnie społeczeństwa, że mogę zrobić coś dobrego. Tę samą zmianę zauważyłem też wśród innych studentów.

Ukończył studia licencjackie, wyuczył się też zawodu technika elektryka, bo ze swoją przeszłością nie widział przyszłości jako streetworker. Niemniej, mówi: – Gdybym wyszedł po 25 latach tak, jak wychodzi większość z nas, czyli bez nauki i studiów, i bez tych wszystkich kontaktów i wsparcia, to by mi się nie udało. Bo podczas studiów uczuliśmy się, jak pomagać innym, a to też pokazało mi, jak pomóc sobie.

Po zwolnieniu założył działalność jako elektryk i znalazł własne mieszkanie. Poznał kobietę i ożenił się, w czerwcu parze urodzi się syn. Wspólnie z żoną organizują wizyty w różnych więzieniach w kraju. – Opowiadam więźniom, że można normalnie żyć i funkcjonować.

Odnalazł też wiarę po długich zmaganiach w więzieniu. – Chcę, aby ludzie wiedzieli, z kim mają do czynienia, a także, że Jezus mnie zmienił.

„Mamy prawo być szczęśliwi”

Pod koniec stycznia w jednej z sal wystawiają jasełka, obecni są wykładowcy KUL i studenci z wolności, ale też pracownicy i dyrekcja aresztu śledczego. Przed występem grupa modli się razem z księdzem, który potem gra na scenie postać śmierci z kosą. 30-letni Artur, który po studiach i zwolnieniu z aresztu snuje plany o zawodzie psychoterapeuty, gra na gitarze i śpiewa, a pod koniec zachęca gości do wspólnego odśpiewania kolędy „Hej w dzień narodzenia syna jedyne”. Po przedstawieniu studenci i goście rozmawiają ze sobą, tu i tam słychać śmiech, jeden ze studentów flirtuje z wolontariuszką z miejskiego centrum kultury, która pomagała przy przygotowaniu jasełek. Ona odwzajemnia flirt.

– W czasie, gdy studenci studiowali na uniwersytecie, powstały tam też związki małżeńskie – mówi Niewiadomska.

Przypominają mi się słowa jednego ze studentów, który podczas mojej pierwszej wizyty powiedział: „My odsiadujemy nasze wyroki. Ale mamy też prawo być szczęśliwi”.

© JAN OPIELKA

Zmiany w polskich więzieniach

SYSTEM PENITENCJARNY

w Polsce uznawany jest za jeden z najbardziej restrykcyjnych w UE. W 2023 r. było 74 tys. osadzonych – liczba więźniów na 100 tys. mieszkańców jest znacznie powyżej średniej UE. Wysokie są też wskaźniki recydywistów – z 37 tys. nowych więźniów w 2022 r. około 60 proc. było recydywistami. W latach 2015-2023 warunki panujące w polskich więzieniach

zostały ponownie zaostrome pod rządami PiS, zgodnie z zasadą, że najważniejsze jest „trwałe odizolowanie przestępców od społeczeństwa i dotkliwy odwet”.

NOWA WICEMINISTRA

sprawiedliwości, Maria Ejchart, zapowiedziała istotne zmiany. Zostały zredukowane wszystkie cele mieszczące dziesięciu i więcej osadzonych. W tym miesiącu powołana została Komisja

Kodyfikacyjna Prawa Karnego, która ma w ciągu następnych lat doprowadzić do zmniejszenia liczby osadzonych o 20 tys. przez zwiększenie dozoru elektronicznego czy zwolnień przedterminowych. Ejchart deklaruje, iż zgodnie ze standardami obowiązującymi w UE nadrzędnym celem kary więziennej jest resocjalizacja.

© JAN OPIELKA



Kard. Jorge Mario Bergoglio, arcybiskup Buenos Aires, przed aulą synodalną w Watykanie, gdzie odbywały się kongregacje poprzedzające konklawe, 11 marca 2013 r.

Autobiografia papieża: wspomnienia i zmyślenia

EDWARD AUGUSTYN

Franciszek sam rysuje portret, jaki chciałby zostawić, i podsuwa tropy, które mają pomóc w zrozumieniu jego spojrzenia na świat i Kościół.

HISTORIĘ ROSENBERGÓW POZNAŁEM dzięki Esther, mojej kierowniczce z laboratorium. Była prawdziwą komunistką i ateistką, ale szanującą religię. Wiele mnie nauczyła, dawała mi do czytania czasopisma partii komunistycznej »Nuestra Palabra« i »Propósitos« – mówi Franciszek w książce „Życie. Moja historia w Historii”. To pierwsza autobiografia papieża.

Troskliwy rozmówca

– Pomysł był mój. To ja zaproponowałem papieżowi spisanie wspomnień – mówi „Tygodnikowi” Fabio Marchese Ragona, współautor książki, dziennikarz telewizyjny grupy Mediaset, należącej do ro-

dziny Berlusconi, znany z popularnego niedzielnego programu „Stanze Vaticane”.

Z Franciszkiem zna się dobrze już od trzech lat, kiedy to przeprowadził z nim pierwszy telewizyjny wywiad w czasie lockdownu.

– Raz, gdy z nim rozmawiałem, zaczął mówić o roli, jaką starsi mogą odegrać w życiu młodych. Zapytałem, czy nie chciałby sam opowiedzieć swojej historii. Uznał to za dobry pomysł.

Prace nad autobiografią rozpoczęły się w kwietniu ub. roku. Ragona odwiedzał Franciszka w Domu Świętej Marty, nagrywał jego opowieści, spisywał i odsyłał do akceptacji. Papież oddzwaniał, uzupełniał treść, zgłaszał poprawki.

– Pomimo tylu obowiązków był bardzo chętny do pracy nad książką – dodaje dziennikarz. – A ja byłem pod wrażeniem jego troski o mnie podczas spotkań. Pytał, czy już jadłem, czy czegoś nie potrzebuję, czy w domu wszystko w porządku.

Papieskie refleksje

Ragona zaproponował, by historię papieża umieścić w kontekście ważnych wydarzeń historii świata – od wybuchu II wojny światowej, gdy Jorge Bergoglio miał 3 lata, po pandemię.

– Zawsze byłem ciekawy, co papież robił w takich momentach. O czym myślał, gdy zrzucono bombę atomową, gdy człowiek lądował na Księżycu, gdy samoloty uderzyły w World Trade Center. Od razu zaakceptował koncepcję i poprosił o listę wydarzeń.

Stało na trzynastu, różnej rangi. Do już wspomnianych doszła „zimna wojna”, zamach stanu w Argentynie, Mundial 1986 r. ze słynną *la mano de Dios* (golem zdobytym ręką przez Diego Maradonę), upadek Muru Berlińskiego, powstanie Unii Europejskiej, krach amerykańskich banków w 2007 r. i abdykacja Benedykta XVI.

Dzięki takiej konstrukcji Franciszek mógł nie tylko snuć wspomnienia, ale też dzielić się refleksjami o tym, co dla niego najważniejsze: o pokoju, rozbrojeniu, powszechnym braterstwie, godności człowieka, sprawiedliwości społecznej, zrównoważonej ekonomii, ochronie klimatu, obronie życia czy reformie Kościoła.

W tej warstwie książka niczym nas nie zaskoczy. Wiemy, jakie zdanie ma papież o wojnie, dyskryminacji, kapitalizmie i biedzie. Że jest przeciwny aborcji, zastępczemu macierzyństwu i małżeństwom homoseksualnym (będąc jednocześnie za legalizacją takich związków przez prawo państwowe).

Dużo ciekawsza jest natomiast warstwa biograficzna, bogata w barwne szczegóły, nie zawsze znane. Choć trzeba pamiętać, że ważne są nie tylko fakty, o których papież mówi, ale także te, które w swoich wspomnieniach pomija.

Znane i nieznane

„Gdy rozpętała się druga wojna światowa, byłem dzieckiem. Miałem szczęście, bo tragedia nie dosięgła Argentyny” – pisze papież, wspominając beztrudnie dzieciństwo, w którym słowo „wojna” kojarzyło

→ się z listami przychodzącymi od krewnych z Europy i dyskusjami prowadzonymi przez dorosłych. Argentyna była państwem bezpiecznym, stabilnym i coraz bogatszym (także dzięki złotu zrabowanemu w Europie i zdeponowanemu przez nazistów, którzy tam znaleźli schronienie).

Z największym sentymentem wspomina oczywiście lata 50., gdy był nastolatkiem, chodził z kolegami grać w bilard i tańczyć tango, dyskutował o muzyce, książkach i polityce. „To były najważniejsze lata w moim życiu. Wtedy zdobywałem doświadczenie w pracy i miłości, wywinałem się śmierci i odkryłem powołanie”.

O jego długiej drodze do kapłaństwa (święcenia otrzymał w 1969 r., po czterech latach od wstąpienia do seminarium) niewiele dotąd wiedzieliśmy. Dowiadujemy się choćby tego, że po dwóch latach odszedł z archidiecezjalnego seminarium. Przyznaje, że przeżył w tym czasie kryzys powołania („na weselu jednego z wujów oczarowała mnie pewna dziewczyna. Była piękna i mądra, więc zakreśliło mi się w głowie”), ale powodem rezygnacji były problemy ze zdrowiem – trzymiesięczny pobyt w szpitalu, wycięcie fragmentu płuca i długa rekonwalescencja. Jesienią 1958 r. spróbował po raz drugi, zgłaszając się do nowicjatu jezuitów.

Tajemnicza przemiana

Jeszcze mniej wiemy o okresie, w którym był prowincjałem zakonu (1973-1979). To był czas prawicowej dyktatury gen. Videli. Franciszek odpiera zarzuty o sprzyjanie władzy. Opowiada o pomocy, jakiej udzielał poszukiwanym przez juntę opozycjonistom, i o ludziach, których uratował od więzienia i śmierci. Ale o własnej „dyktaturze”, jaką miał zaprowadzić w Towarzystwie Jezusowym, mówić nie chce.

Co nieco dowiadujemy się z dalszych wspomnień. Przyznaje, że jego przeniesienie w 1990 r. do odległej o 600 km Córdoba było „karnym zesłaniem”, a nawet odwetem za lata sprawowanej w zakonnie władzy. W książce unika szczegółów, nawet tych, które wcześniej zdradzał w wywiadach. Z tamtych wypowiedzi wiemy, że był przełożonym autorytarnym, jednostronnym i impulsywnym, a decyzje, jakie podejmował, bywały nie tylko błędne, ale też opresyjne i krzywdzące. Powodem, jak mówił, był jego porywczy tempera-

Na weselu jednego z wujów
Bergoglia oczarowała
pewna dziewczyna.
„Była piękna i mądra”
– jak wspomina.

ment oraz młody wiek (prowincjałem został, gdy miał zaledwie 36 lat).

Pobyt w odosobnieniu był dla niego czasem próby. „Byłem zamknięty w sobie i depresyjny: większość czasu spędzałem w domu, rzadko wychodziłem na zewnątrz” – pisze. Do jego obowiązków należała opieka nad starszymi i chorymi zakonnikami, których mył, ubierał i karmił. Nie uważał tego za karę czy upokorzenie, raczej za okazję do oczyszczenia i przemianę: przemyślał swoje błędy, odbył pokutę, odnalazł miejsce w zakonnie. Miał też dużo czasu na lekturę – przeczytał wszystkie prace Ratzingera o Romano Guardinim z myślą o nieukończonym doktoracie, oraz 37 tomów „Historii papieży”, co wkrótce miało mu się przydać dużo bardziej.

Prawda, fikcja, błąd

Wydarzenia historyczne, które są osią konstrukcyjną książki, były dla Franciszka jedynie punktem wyjścia do wspomnień i refleksji. Dlatego współautor, Fabio Ragona, postanowił uzupełnić je o informacje, które uznał za istotne dla czytelnika. Służą temu „rekonstrukcje” rozpoczynające rozdziały i włączane w ich treść. To, niestety, najsłabsza strona książki.

Opowieści o kilkuletnim Jorgem, słuchającym, pomiędzy zupą a drugim danem, rozmów rodziców o Holocauście (i to już w grudniu 1941 r.) albo pamiętającym radiowe przemówienie Piusa XII z sierpnia 1939 r. (z pamiętnymi słowami: „nic nie jest stracone przez pokój, wszystko może być stracone przez wojnę”) to tylko dwa przykłady fabularnych pomysłów dziennikarza.

Fikcyjna narracja wyróżniona jest wprawdzie graficznie (złożono ją inną czcionką). Ale to, co da się odróżnić w druku, trudno oddzielić w pamięci. Już chwilę po przeczytaniu rozdziału czytelnik nie wie, co było w nim autentyczną historią, a co jej naiwną rekonstrukcją. Fakty miesza się z fikcją, rzeczywistość z wyobrażeniem, to, co prawdziwe, z tym, co zmyślone.

Sporo błędów jest też w tłumaczeniu książki. Polski oddział wydawnictwa Harper Collins nie ma doświadczenia w pracy z tekstem o tematyce religijnej. Być może zabrakło też czasu na redakcję. I tak Matka Boża raz jest Marią Auxiliadora, a raz Wspomożycielką Wiernych (choć to jedno i to samo, tyle że w różnych językach), przemówienie papieża w Yad Vashem nazywane jest homilią (choć nie odprawiał tam mszy), a młody o. Bergoglio wyznaje w dniu święceń kapłańskich, że „wierzy w życie duchowe” zamiast „życia zakonnego” (to akurat obciąża bardziej redakcję niż tłumaczkę – tekst *Credo* zaczerpnięto z wydanej 11 lat temu książki „Jezuita. Papież Franciszek”, przetłumaczonej, jak wynika z całego fragmentu, dużo gorzej). Zdarza się też, że polski czytelnik zostaje pozbawiony ciekawych informacji – z fragmentu o zapraszaniu przez o. Bergoglia do szkoły, w której uczył literatury, argentyńskich pisarzy na spotkania z uczniami zniknęło np. zdanie o wielokrotnej wizycie Jorgego Luisa Borgesa.

Ludzkie historie

Co nie znaczy, że nie warto po książkę sięgnąć. Nawet jeśli nie ma w niej wielu nowych informacji, a prawda miesza się z fikcją.

Bo choć osnową wspomnień papieża były wielkie wydarzenia, to ich wątkiem są historie zwykłych ludzi: babci Rosy, wychowującej go w dzieciństwie, sąsiadki Marii, która przyniosła wiadomość o zakończeniu wojny, polskich robotników uczących go przekleństw, o. Duarte, u którego odbył najważniejszą spowiedź życia, pielęgniarki Corneli, czuwającej w szpitalu. I Esther Ballestrino, kierowniczkę laboratorium i przyjaciółkę, którą próbował wydostać z więzienia. „Może zrobiłem za mało?” – pyta sam siebie. Esther, torturowana i wyrzucana z samolotu do oceanu, była jedną z tysięcy ofiar dyktatury gen. Videli.

Dla tych historii, które wpływały na bieg historii Franciszka, a czasem ją zmieniały, warto się skupić.

©P EDWARD AUGUSTYN



Papież Franciszek,
Fabio Marchese Ragona
**ŻYCIE. MOJA HISTORIA
W HISTORII**, tłum. Lucyna
Rodziewicz-Doktor,
Harper Collins Polska,
2024 r.

ZUZANNA

Radzik: *Mit o depozycie*



SZUKALI SŁÓW, BY OPOWIEDZIEĆ NAM SVOJE doświadczenie. Z trudnością. Szukali też znaczeń w tym, co już się wydarzyło w historii zbawienia i w ich życiu z Jezusem, w tym, co im mówił. Wszystko po to, by zrozumieć, co im się przydarza. W opisach spotkań ze Zmartwychwstałym we wszystkich czterech ewangeliiach i w 1. Liście do Koryntian apostoła Pawła uderza, jak ulotne jest to fundamentalne wydarzenie. Zmartwychwstanie, bez którego „próżna jest nasza wiara”, ujęte w paru anegdotach: pustym grobie, do którego spieszą kobiety, spotkaniu w drodze, przyjsciu do uczniów schowanych w wieczerniku czy – u Jana – śniadaniu z uczniami na brzegu jeziora. A oni, gdy ich odwiedza Zmartwychwstały, znów po prostu łowią ryby w swojej Galilei. Autorzy ewangelii nie dopowiadają, co się stało, nie zgadzają się w szczegółach, jakby zupełnie nie o spójność chodziło. Nie ma jednej wykładni, tylko zarysowanie kierunku. Intuicja i interpretacja, zbudowane na wcześniejszych doświadczeniach ludu z Bogiem.

Trudność opowiedzenia spotkania z Bogiem żywym to żaden wstyd. Niech nas nie zmyli pewność i łatwość ewangelizatorów, ich zaczepne „Czy spotkałeś Jezusa jako swojego Pana i Zbawiciela?” wypowiedziane tonem nieznoszącym wahania. Trudno im odpowiedzieć: „Ostatnio nie pamiętam”, „Może wtedy, w liceum, ale życie chłopskie”, „Chyba, ale brak mi słów, by to nazwać, dziś wszystkie nie wydają mi się właściwe”, „W drugiej połowie życia, niezupełnie rozumiem, co to dla mnie znaczy”. Wątpliwość, ułomność języka, szukanie słów świeżych i adekwatnych naraża nas na odpytywanie przy tablicy, reedukację, ustawianie w szeregu. Tak się dzieje, jeśli traktujemy Biblię i Tradycję jak zapakowane plecaki, które trzeba nieść w przyszłość bez pytania. Tymczasem i Biblia, i Tradycja to poszukiwanie języka opisu tego, co robi z nami Bóg, co z tego wynika dla nas i dla wiedzy o świecie, czego z Nim doświad-

czamy. Depozyt wiary zawiera efekty poszukiwania języka na czasy przeszłe, a teraz my, z pamięcią dawnych interpretacji, pytań i prób chwycenia prawdy możemy poszukać języka wiary na swoje czasy. Pytać, eksperymentować. Jak ewangelisci piszący obrazki o Emaus czy o kobietach przy grobie – każdy nieco po swojemu.

Czy katolicyzm można robić „nieco po swojemu”, to ostatnio jeden z gorętszych tematów życia Kościoła. Czy Niemcy mogą robić katolicyzm „nieco po swojemu”, wchodząc w drogę synodalną inną metodą niż ta, którą po nich zainicjował Watykan dla całego Kościoła? Czy Afrykańczycy mogą szukać terminów teologicznych właściwszych ich językom i kulturom, choćby i niezrozumiałych dla nas oraz dla „Centrali”? Czy Polacy mogą odmówić sobie stawiania pytań o wiarę, które dziś stawiają Holendrzy czy Belgowie? Czy „dziś” zsekularyzowanych społeczeństw i tych na progu szybkiej sekularyzacji jest tym samym czasem? Jesteśmy różni, mamy różne kultury, języki, doświadczenia Kościołów i doświadczenia spotkania z Bogiem, które wyrazić możemy tylko w naszych zróżnicowanych i czasem nieprzetłumaczalnych pojęciach. Jesteśmy różni, ale czy w katolicyzmie pozwalamy sobie na tę różnorodność na legalu? Czy od rzeczywistości silniejszy jest starożytny imperialny mit i złudzenie, że miliard osób zjednoczonych w Kościele doświadcza Boga tak samo? Być może temperatura sporu wynika właśnie z odrealnionej opowieści o Biblii i Tradycji jako depozycie prawd, których trzeba strzec, a nie jako zapisie poszukiwań, w które jesteśmy włączeni i które mamy prawo kontynuować.

W wielkanocnym tygodniu cieszymy się pustym grobem, powtarzamy za kobietami „Nie ma go tu!”. Sięgamy po język z opowieści spisanych około 1970 lat temu, by jakoś przekazać, że Jezus żyje, a Bóg pokonał śmierć. Jak opowiemy to dzisiaj, by znaczyło tak wiele, że chce się całą piersią wykrzyknąć: „Zmartwychwstał” i „Alleluja”?

Co „zmartwychwstał” znaczy dziś i tutaj? W Polsce podzielonej politycznie i strametyzowanej historią, z lękowym i nieufnym społeczeństwem (książka „Traumaland” Michała Bilewicza pomaga zrozumieć również lekliwość polskiego katolicyzmu)? Co znaczy zmartwychwstanie w Europie, zarówno zjednoczonej politycznie, jak i doświadczającej ostateczności wojny, uchodźstwa i migracji? A w świecie drżącym przed katastrofą klimatyczną lub ją ignorującym? Dla ludzkości, z której historii wiemy, że jest zdolna i do ekstremalnego zła, i do ekstremalnego intelektualnego wysiłku i pięknego poświęcenia? ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- KATOWICE**, środa 3 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie autorskie z Kasią Błażejowską, „Życie niewarte życia?”, Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (plac Rady Europy 1) / hybrydowe / transmisja na kanale YouTube Biblioteki Śląskiej
- KRAKÓW**, piątek 5 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie autorskie z Michałem Gołębiowskim, „Słodką ziemią”, Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20) / hybrydowe /

- TRÓJMIĘSTO**, poniedziałek 8 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie z Piotrem Milatim i Andrzejem Kasperkiem, „Paweł Huelle vel Weiser – pisarz, który wymyślił nasze miasto”, Oliwski Ratusz Kultury, (ul. Opata Jacka Rybińskiego 25, Gdańsk)

- ZIELONA GÓRA**, wtorek 9 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie z cyklu Klubowa Kawiarenka, „Nieokrągle urodziny”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

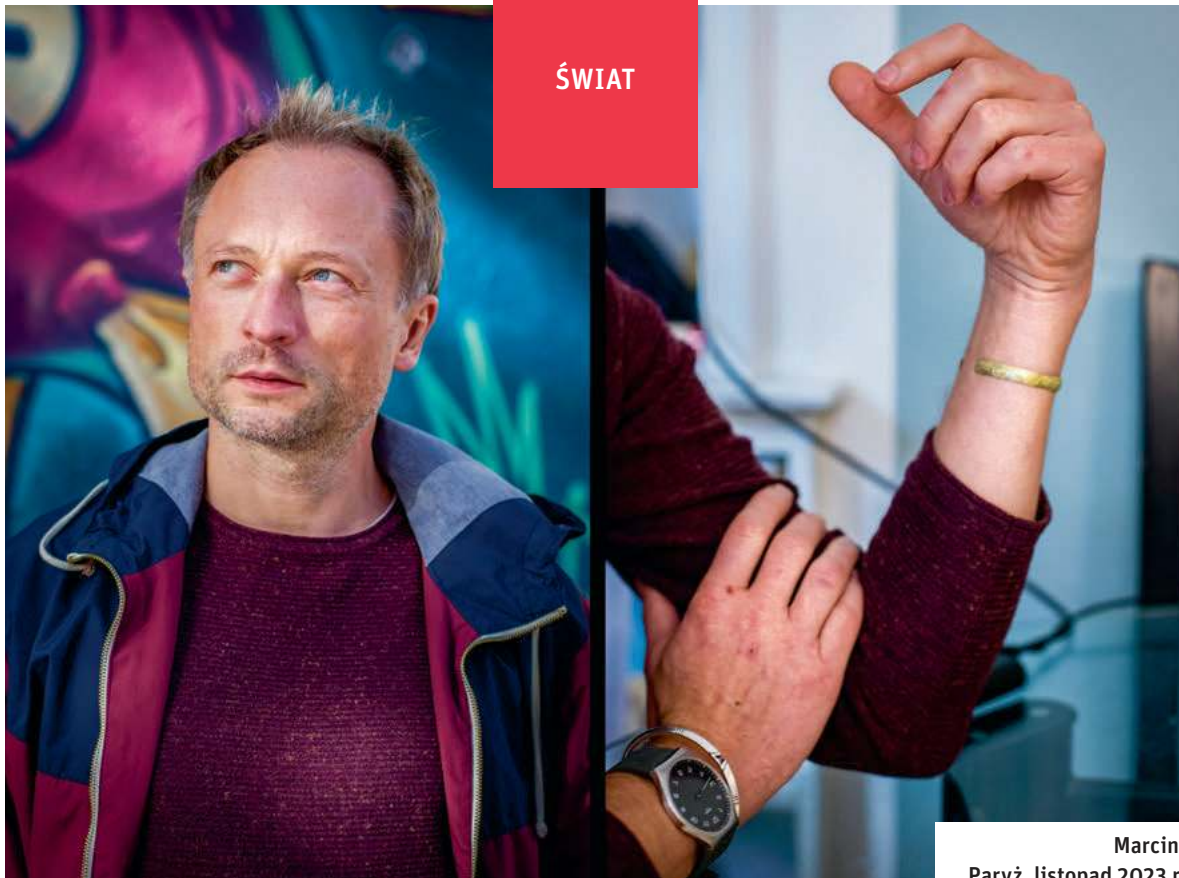


KLUB TYGODNIKA



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Marcin.
Paryż, listopad 2023 r.

GEJMIGRANCY

Jak żyją polscy emigranci LGBT+? Dlaczego wyjechali?
Co daje im prawna ochrona ich związków? Co w ich życiu zmieniłoby
przyjęcie w Polsce ustawy o związkach partnerskich?
Zapytaliśmy o to trzy pary mieszkające we Francji.

TEKST SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA I LILLE | ZDJĘCIA IDHIR BAHA DLA „TP”

RÓŻNI ICH PRAWIE WSZYSTKO: ZAINTE-
resowania, gusty, światopogląd, spo-
sób ubierania się, zawód.

Łączy orientacja seksualna. Oraz to, że
wymigrowali z Polski do Francji, aby tu-
taj żyć i kochać na swoich warunkach.
Można ich nazwać „gejmigrantami”.

Marcin i Alex: ciepło, przyjaźń, optymizm

Z Marcinem, lat 41, oraz jego młodszym
o sześć lat brazylijskim partnerem Alek-
sem spotykam się w ich paryskim miesz-

kaniu. Zielono od roślin doniczkowych
(Marcin ma rękę do kwiatów), dużo książ-
zek. Alex jest naukowcem na Sorbonie,
Marcin, po pedagogice specjalnej w Kra-
kowie, pracuje w prywatnym ośrodku dla
osób z niepełnosprawnością umysłową.
Są razem od siedmiu lat.

Poznali się przez portal randkowy dla
gejów, choć byli prawie sąsiadami.

Marcin: – Konto na tej stronie założył
mi kumpel, bo sam byłem w depresji
po rozstaniu z poprzednim partnerem,
zamknąłem się w sobie. Z Aleksem od

razu zaiskrzyło. Zero czatowania, tylko
szybkie „*Salut, ça va?*” i od razu się spo-
tkaliśmy w realu. Miał w sobie tyle cie-
pła, przyjaznej energii, optymizmu.
Wszystko, czego potrzebowałem w tam-
tej chwili.

Po chwili Marcin dodaje: – Francuzi
na co dzień bardzo się kontrolują, mają
ścisłe kody zachowania w towarzystwie.
Z Aleksem jest inaczej: spontan na ca-
łego. Dzięki niemu uświadomiłem sobie,
że ludzie z Ameryki Południowej są nam
bliscy właśnie przez tę swoją spontanicz-



Piotrek (z lewej) i Bartek.
Lille, luty 2024 r.

ność. Obaj jesteśmy we Francji imigrantami, bez rodzin w tym kraju. To też nas scala.

Przy wszystkich różnicach łączy ich pragnienie swobody. Gdy pytam, czy trzymają się publicznie za ręce, Marcin ripostuje pół żartem, pół serio: – Nie lubię tego, to mi krępuje ruchy.

Często spędzają wakacje osobno, bo mają różne pasje. Marcin: – Lubię długie wędrówki po górach, Alex nie. W dodatku jako przybysz z Brazylii nie przywykł do chodzenia po śniegu. Boję się więc, że jeszcze coś mu się stanie, nie chcę go mieć na sumieniu.

Dość uciekania

Jak to się stało, że znalazł swój dom we Francji?

Marcin spędził młodość w wiosce w Beskidzie Niskim. Mówi, że już wcześniej jakaś siła pchała go w świat. Szukał swojego miejsca. Najpierw były studia w Krakowie, potem podróże do Hiszpanii, pobyt w Irlandii Północnej. I wreszcie, 14 lat temu, Francja, gdzie w Limoges na południowym zachodzie, a potem w Paryżu znalazł pracę w swoim zawodzie.

Mówi, że trudna sytuacja osób LGBT+ w Polsce nie była głównym powodem jego emigracji. Ale za granicą szybko zagustował w nieznanej wcześniej swobodzie.

– Zaraz po przyjeździe do Francji chodziłem na manifestacje na rzecz legalizacji małżeństw homoseksualnych. Znalazłem się w oku cyklonu. To był dla mnie przełom – wspomina. – Przecież chodzi o to, żeby prowadzić normalne życie: mieć prawo zawrzeć formalny związek, wspólnie jako para wynająć mieszkanie, dbać o siebie wzajemnie. W Polsce nie miałem takiej możliwości. Wcześniej wszystkie moje związki były krótkie, ucinalem je, nie pozwalałem sobie na taką psychologiczną inwestycję. Teraz powiedziałem sobie: też chcę tak żyć. Dostyc już miałem uciekania od siebie.

LGBT+ na prowincji

Na początku Marcin poznał życie tęczyowej społeczności także od innej strony.

Wspomina: – Kiedy mieszkalem w Limoges, wtedy wielkiej pustyni dla osób LGBT+, nawet w porównaniu z Krakowem, mój przyszywany wujek z Paryża zabierał mnie na weekendy w nocne

tournée po barach gejowskich. „Idź się wyszaleć” – mówił mi. Ciągnęło mnie to, ale i odpychało. Wszystko kręciło się tam wokół seksu i alkoholu. Dopiero gdy po przeprowadzce do Paryża zacząłem żyć w stałym związku, udało mi się odnaleźć wewnętrzną równowagę.

Gdy porównujemy sytuację gejów i lesbijek nad Wisłą oraz nad Sekwaną, Marcin zauważa: – Czy w pracy, czy w domu albo w urzędzie, polski gej czy polska lesbijka wciąż biją się z myślami: mówić czy nie mówić? W mniejszych miastach, jeśli nie chcesz być dyskryminowany jako gej, lesbijka czy osoba transseksualna, musisz być znany, mieć pozycję i pieniądze. We Francji nawet na zahukanej prowincji nie musisz się z niczym kryć, czy to pójdziesz do bistra, czy wynajmujesz z partnerem tej samej płci Airbnb u starszej pani. Wiele razy nas to spotkało.

Nieco później Marcin niuansuje: – Oczywiście nie zawsze jest tak różowo. Zdarza się wciąż i we Francji, że młode lesbijki i geje są wyrzucani z rodzinnych domów na bruk. Dlatego są tu dla nich specjalne schroniska LGBT+. Nie tylko w stolicy, także w średnich miastach. ➔

Inna twarz chrześcijaństwa

⇒ Marcin mówi, że jest wierzący, ale „bardzo uwiera” go Kościół jako instytucja. Połącza go wszystko, co dotyczy duchowości (przez wiele lat prenumerował „Tygodnik Powszechny”, już mieszkając we Francji). Co najmniej raz na rok zaszywa się na kilka dni we francuskich klasztorach. Zwykle katolickich, czasem buddyjskich. Szuka ciszy, spokoju do przemyśleń.

Paradoksalnie, medytować w klasztorach zaczął dopiero w laickiej Francji.

– Jako chłopiec byłem bardzo wierzącym katolikiem. Wśród Francuzów zabrakło mi potrzeby *sacrum* – wspomina. – Aż w końcu, trochę jak nałogowy alkoholik, który długo nie zaglądał do butelki, chciałem się napić – żartuje.

W czasie pobytu w klasztorze zaprzyjaźnił się z mnichem, bratem Maximilienem, który okazał się *gay-friendly*. – Dużo rozmawialiśmy, to trwa do dziś. Dzięki niemu dowiedziałem się, że we Francji są zakonnicy, którzy mówią otwarcie, iż są homoseksualistami, i nie ma z tym większego problemu. Niektóre zakony organizują nawet dni religijnego skupienia dla osób LGBT+.

Wcześniej, już dekadę temu, za namową poprzedniego partnera Marcin brał udział w spotkaniach francuskiego stowarzyszenia gejów-chrześcijan pod nazwą „David i Jonathan”.

– Poznałem w ten sposób inną twarz chrześcijaństwa, bardziej otwartego. Choć przyznaję, że czułem się tam trochę obco, na spotkaniach wspólnoty przeważali rodowici Francuzi z mieszczańskich zamożnych domów.

Pod ochroną prawa

Alex i Marcin nie sformalizowali dotąd swojego związku. Marcin jest pragmatyczny: – Szczerze mówiąc, ślub wydaje mi się czymś przestarzałym, o religijnym charakterze. Wolałbym związek partnerski PACS. Możliwe, że będziemy go potrzebować. Na przykład żeby łatwiej dostać kredyt do wspólnego zakupu mieszkania. Samo prawo do zawierania legalnych związków jest ważne, bo daje społeczności LGBT+ poczucie bezpieczeństwa. Nawet jeśli nie wszystkie pary chcą z niego korzystać.

Francja była jednym z pierwszych krajów Unii Europejskiej, który w 1999 r. przyjął ustawę o rejestrowanych związkach partnerskich, zwanych tu PACS (to

francuski skrót od ustawowego określenia: „cywilny pakt solidarności”). We Francji mogą je zawierać zarówno pary hetero-, jak i homoseksualne.

Umowę spisuje się w urzędzie gminy (merostwie) lub u notariusza. „Spacsovani” partnerzy muszą mieszkać razem, wspólnie rozliczać się podatkowo, zobowiązują się do wzajemnej troski i pomocy materialnej. W przeciwieństwie do małżeństw homoseksualnych, które we Francji wprowadzono w 2013 r., PACS nie reguluje kwestii dziedziczenia ani adopcji dzieci.

Związek partnerski można rozwiązać prościej niż małżeński: wystarczy pisemna deklaracja jednej ze stron. Zdecydowana większość krajów Unii uznaje rejestrowane związki partnerskie, choć w części z nich (np. w Danii czy Niemczech) mogą je zawierać tylko pary jednopłciowe.

Piotr i Bartek: „spacsovani”

Noszą metalowe obrączki. Nie są małżeństwem, ale „spacsovani” się dwa lata temu. W sumie Piotr i Bartek żyją razem 16 lat, z tego we Francji – w Lille, na północy kraju – prawie trzy. Bartek jest rodowitym łódzianinem, Piotr pochodzi z Warszawy. Poznali się podczas wycieczki do Egiptu, gdzie obaj byli opiekunami grup turystycznych.

Potem, dla swojego partnera, Piotr przeprowadził się do Łodzi, skąd dojeżdżał codziennie do pracy w stolicy. Mówi, że jego najbliższa rodzina nie miała problemu z jego orientacją. Choć niektórzy krewni nie śmieli nazwać ich parą, mówili: „Piotrek i jego bliski kolega”.

Mama Piotra, już nieżyjąca, stała się nawet pod koniec życia sojuszniczką osób LGBT+. – Kiedy Bartek miał przyjechać do mnie do Warszawy, pytała: „O której Bartuś będzie?” – opowiada Piotr. – I zawsze na niego czekały żebro.

Swojego coming outu wobec rodziny Bartek dokonał w wieku 35 lat. Najpierw jego ojciec był rozczarowany, bo czekał na wnuka. Ale z czasem, jak mówi Bartek, bardzo polubił Piotra.

– W Polsce ukrywałem się przed kolegami i koleżankami z pracy – opowiada Bartek. – Jak pokazywałem im zdjęcia z wakacji, to te, na których nie było Piotra. We Francji, gdzie pracuję jako menadżer w dużej francuskiej sieci handlo-

wej, na imprezę firmową zapraszają mnie razem z nim. A z okazji naszego PACS-u dostałem prezent od szefostwa.

– Najważniejsze, że mogę być sobą – dodaje. – Że nie muszę ściemniać. To mnie podbudowało.

Polska rozczarowuje...

Mówią, że na co dzień się uzupełniają. W czasie naszej rozmowy – w ich jasnym i przestronnym mieszkaniu w Lille – Piotr przygotowuje ciasto na pizzę. To on rządzi niepodzielnie w kuchni, Bartek raczej ucieka „przed garami”. Ma za to, w odróżnieniu od Piotra, duszę aktywisty. Choć w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy angażują się obaj – ostatnio organizowali zbiórkę na WOŚP wśród Polonii w Lille.

Wcześniej, jeszcze w Polsce za rządów PiS-u, Bartek uczestniczył w protestach Komitetu Obrony Demokracji, współorganizował marsze równości w całej Polsce. Ale, jak mówi, szybko przyszło rozczarowanie.

– Byłem sfrustrowany tym, że tak wielu ludzi w Polsce nie dostrzegało tej wszechobecnej rządowej propagandy – wspomina barczysty brodac. – Już po drugim zwycięstwie PiS-u w 2019 r. chciałem wyjechać, więc w firmie poprosiłem o przeniesienie do pracy na podobnym stanowisku we Francji, jednak z powodu pandemii to się odwlekało. Namówiłem Piotra.

Decyzja o wspólnym wyjeździe nie była łatwa: nie znali francuskiego, a Piotr musiał zostawić pracę w kraju.

Piotr: – Cały czas tęsknię za Polską. Ale żebyśmy wrócili, dużo rzeczy w polskiej mentalności musiałoby się zmienić. Nie wystarczy więcej tolerancji dla gejów i lesbijek.

...a Francja nie czaruje

Piotr jest też zawiedziony przeprowadzką. Może dlatego, że przed emigracją marzyła mu się, jak mówi, Francja-elegancja. Nie podoba mu się – wylicza – brud („W Polsce jest dużo czystiej”), niebezpieczne zakątki Lille („Pełno dilerów z prochami”), „naćpani” (widać ich na ulicach). A także bardzo długo – wcale tego nie ukrywa – przyzwyczajał się do tego, że widzi tak dużo osób o śniadym czy czarnym kolorze skóry.

Bartek dostrzega raczej plusy ich emigracji: – W Lille możemy na ulicy trzymać się za ręce. Nie ma z tym problemu.



Jacek i Adam.
Paryż, luty 2024 r.

Piotr mu przerywa: – No skąd, homofobia jest wszędzie! Pamiętasz, jak przechodził ulicą ktoś o męskiej sylwetce w szpilkach. I jakiś gość splunął w jego stronę.

– Prawda, tylko ludzie wokół od razu się oburzyli i powstrzymali tego plującego. I o to chodzi, żeby reagować – ripostuje Bartek.

Jego partner nie daje za wygraną: – A ja uważam, że normalni ludzie w Warszawie też by tak zareagowali!

Rozdwojeni

W mieszkaniu Piotrka i Bartka stoi ich wspólna fotografia, na pamiątkę PACS-u zawartego przez nich w styczniu 2022 r. Zdjęcie zrobione już *post factum*, bo podpisanie umowy o związkach partnerskich odbywa się na mocy francuskiego prawa bez uroczystej ceremonii.

Umowę PACS łatwo zawrzeć i równie łatwo rozwiązać. Stąd popularność tych związków we Francji także wśród osób heteroseksualnych.

Bartek: – Mam kilka znajomych „spacowanych” par heteroseksualnych. Tłumacz mi, że nie potrzebują małżeństwa,

że to nakład czasu i pieniędzy. Że co innego PACS: idziesz do merostwa, w pięć minut podpisujesz i już.

Jak wiele polskich par homoseksualnych za granicą, moi rozmówcy z Lille borykają się na co dzień ze swego rodzaju rozdwojeniem jaźni, o charakterze prawnym. – Gdy nas pytają w formularzach o stan cywilny, we Francji piszemy „w związku partnerskim”, a w Polsce „stanu wolnego” – mówi Bartek.

Tę sytuację, jak mówią, może zmienić prawne uznanie przez Polskę związków jednopłciowych.

Jacek i Adam: sztuka wiązania krawatów

Na witrynie kameralnej szkoły języka francuskiego – szkoła mieści się w kamienicy na paryskim Montmartrze, u stóp kościoła Sacré-Coeur – kusi szyld po angielsku: „Ucz się francuskiego lepiej niż Emily”. To nawiązanie do bohaterki znanego amerykańskiego serialu, który rozgrywa się w Paryżu.

We wnętrzu: fiolet neonów, meble w pastelowych barwach i wielkie lustro,

od dołu do góry pokryte karteczkami z francuskimi zwrotami.

Właściciel tej szkoły, Jacek Mulczyk-Skarżyński, znany jest polskim internautom jako „Pan od francuskiego”. Jest autorem wielu zabawnych filmików na YouTube do nauki języka.

Nie zamierzam jednak pytać go o francuskie koniugacje ani przysłówki.

– Jak poznaliśmy się z Adamem? – Jacek jest rozbawiony moim pytaniem. – Najpierw zobaczyliśmy się przypadkiem w warszawskim teatrze. Potem śledziliśmy się w social mediach. Aż w końcu połączyły nas krawaty.

Do rozmowy wtrąca się Adam Chowański. Z zawodu stylisty i *personal shopper*, czyli osobisty doradca do spraw zakupu odzieży. – Prowadziłem warsztaty wiązania krawatów – wspomina ich spotkanie. – Miałem ich za mało w szafie, więc dałem ogłoszenie. Zgłosił się Jacek z pękiem krawatów. W momencie, gdy go zobaczyłem, zapomniałem, jak się je wiąże... – krztusi się ze śmiechu.

– A mnie się wtedy zrobiło bardzo gorąco – wtrąca Jacek. – Po dwóch miesiącach Adam zaprosił mnie na kolację. ➔

→ Wtedy to już była krótka piłka, bardzo szybko zamieszkaliśmy razem.

Są razem od sześciu lat. Żeby uczcić to wydarzenie, zrobili sobie obrączki. Ze spinaczy do papieru.

Byle się przemknąć

Do stolicy Francji Jacek i Adam przeprowadzili się trzy lata temu.

Wcześniej byli warszawiakami z wyboru – przyjechali tam na studia. Jacek, rocznik 1987, pochodzi z Koszalina. Jego partner, siedem lat starszy, dorastał w Jastrzębiu-Zdroju.

Adam: – Nasza przeprowadzka do Paryża nie była w żadnym razie emigracją zarobkową. Obaj mieliśmy dobrą sytuację finansową w Warszawie. Jacek swoją szkołę językową na Mariensztacie, ja radziłem sobie świetnie jako stylistą. Chodziło o nasz stan psychiczny. Miałem chwilę, że bałem się wyjść z domu i wciąż myślałem, jak się ubrać, żeby nie zwracać uwagi i przemknąć się niezauważonym po bulki.

Mówią, że na własnej skórze odczuli falę niechęci czy wręcz nienawiści do osób LGBT+.

Adam: – Bardzo się to nasiliło w trakcie kampanii PiS-u w roku 2019, przed wyborami parlamentarnymi. Za rządów Kaczyńskiego można było usłyszeć, że LGBT to nie są ludzie, to ideologia. Albo ta „tęczowa zaraza” – Adam przywołuje słowa arcybiskupa Marka Jędraszewskiego. – To było przyzwolenie z góry, że można nękać innych, ubliżać im bezkarnie.

Decyzja

Adam: – W końcu doszło do tego, że na bulwarach wiślanych mnie opluto, kiedy sobie spacerowałem. Umięśniony facet zwyzywał mnie od pedałów, a jego towarzysza wtórowała mu śmiechem. Ta ślina, że tak powiem, przełamała czarę goryczy. Powiedziałem sobie: ja tu, kurwa, nie chcę mieszkać. Byłem u kresu sił.

Jacek, miłośnik teatru, studiował wcześniej aktorstwo w Paryżu. W swoich filmikach do nauki francuskiego chętnie

Francja jako jeden z pierwszych krajów przyjęła ustawę o związkach partnerskich. Mogą je zawierać pary hetero- i homoseksualne.

przebiera się w różne stroje, także kbiece. Za to spotkała go fala hejtu w internecie. – Z początku bardzo to przeżywałem. Wpisy w rodzaju: „O jaki tam zniechęcały, przebiera się za baby, pedał” i podobne. Na jakiś czas zupełnie zawiesiłem social media.

Nie skończyło się na internecie. Jacek: – Ktoś narysował swastykę na szybie mojej szkoły, obok tęczowej flagi, którą wywiesiłem.

Mówi, że z czasem się uodpornił: – Ale nie powinno być tak, że cierpiąca mniejszość musi obudować się w pancerz i zabijać w sobie emocje.

Decyzję o wyjeździe z Polski podjęli, kiedy Andrzej Duda został po raz drugi prezydentem. Jacek: – Mieliśmy dość szczucia. Adam myślał, że tak sobie gadam. Zrozumiał, kiedy przyniosłem do domu kartony z rzeczami z mojej szkoły.

Na pełen gwizdek

Jak im się wiedzie nad Sekwaną?

Adam: – Nie czuję już na sobie negatywnego wzroku innych ludzi. Widzimy pary męskie czy damskie trzymające się za ręce. Jacek też by chciał tak ze mną spacerować, ale ja czuję się z tym wciąż nieswojo. No i te pary jednopłciowe z dziećmi. Dwóch tatusiów z wózkiem to w Paryżu nic dziwnego. Jakże to dalekie od stereotypu geja jako faceta z piórami w dupie na paradach równości! (śmiech)

Jacek: – To, co mi się podoba we Francji: że jesteś, kim jesteś i już. Oczywiście homofobia też istnieje, ale są tu prawa

i instytucje, które ciebie chronią. Tak, jakbym miał parasol. Mogę go otworzyć, kiedy potrzebuję. Jeśli ktoś mnie pobije tylko za to, że idę za rękę z moim chłopakiem, nie będę się wstydzić zgłosić tego na policję. W Polsce gej czy lesbijka żyją jak w areszcie domowym. Na pół gwizdka.

Argumentem za ich przeprowadzką do Paryża było też to, że Francja jest krajem laickim. Jacek: – Cieszy mnie francuski rozdział Kościoła od państwa. Każda religia ma wolność kultu, ale żadna nie ma wpływu na ustawodawstwo.

Adam za granicą odkrył nową pasję: tworzy autorskie przewodniki po Paryżu (jako e-booki).

Jacek mówi, że jest tu mniej zapracowany niż w Warszawie. Może się cieszyć prostymi rzeczami: poranną kawą, spacerami z mopsem Hektorem, chodzeniem do teatru. – Czuję wreszcie, że żyję. Może też dlatego, że dla Francuzów praca nie jest esencją życia?

PACS czy małżeństwo?

Jacek i Adam chcą zalegalizować swoje wspólne życie. Czy zawrą związek partnerski PACS, czy może małżeństwo? Mówią, że to kwestia otwarta.

Adam: – Przed przyjazdem do Francji myśleliśmy o zawarciu PACS. Ale odłożyliśmy decyzję, bo wiemy, że możemy to zrobić w każdej chwili. Choć oboje mam taki lęk, że umrę i Jacek nie będzie miał prawa do mojego majątku czy mieszkania. Może więc jednak od razu ślub, a nie PACS? Bo związki partnerskie nie rozstrzygają o dziedziczeniu.

W rozmowach z polskimi „gejmi-grantami” często słychać o normalnym życiu. O wspólnym mieszkaniu, zakupach, spacerach. Pod osłoną prawa, bez ukrywania się. Tylko tyle i aż tyle.

© SZYMON ŁUCYK

OD AUTORA:

Czytelnicy zechcą przyjąć pewne wyjaśnienie. Po pierwsze, w artykule miały wystąpić także Polki-lesbijki. Niestety mimo wielu starań nie udało mi się namówić bohaterów na publikację wraz ze zdjęciami, a takie przyjęliśmy założenie. Dlatego występują tu wyłącznie mężczyźni bohaterowie. Po drugie, wiele problemów moich rozmówców znam osobiście. Autor tego tekstu mógłby być jednym z jego bohaterów.

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



Orbán regularnie wykorzystuje zasadę jednomyślności, by blokować unijną pomoc dla Ukrainy. Na zdjęciu: premier Węgier i prezydent Francji w Brukseli, 22 marca 2024 r.

Dwa oblicza jednomyślności

PIOTR OLEKSY

Europa chce być strategicznym graczem. Czy zatem w sprawach dotyczących polityki zagranicznej i obronności powinna zrezygnować z zasady, iż zgadzać muszą się wszyscy? Jakie są argumenty za i przeciw? I co leży w interesie Polski?

INTENCJE BRZMIAŁY MOCNO: „W TYCH trudnych czasach opowiadamy się za Unią Europejską, która jest zdolnym, skutecznym i zdecydowanym podmiotem, chroniącym wolność, bezpieczeństwo i dobrobyt swoich obywateli. Unia zawsze potrafiła iść naprzód w trudnych chwilach. Teraz, po raz kolejny, nadszedł czas na działanie”.

Tak kończył się list otwarty, w którym siedmiu ministrów spraw zagranicznych wzywało do odejścia w Unii od zasady jednomyślności przy podejmowaniu decyzji o polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Byli to szefowie dyplomacji Niemiec, Belgii, Luksemburga, Holandii, Rumunii, Słowenii i Hiszpanii. Stanowisko to poparli przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i Josep Borell, szef unijnej dyplomacji.

Wobec zagrożenia ze strony Rosji, rosnących ambicji Chin i groźby, że w USA zwycięży izolacjonizm, w Europie narasta przekonanie, iż Unia powinna stać się graczem strategicznym, bardziej efektywnym i zdecydowanym. W tej sytuacji

fakt, że jedno państwo może obecnie blokować podejmowanie kluczowych decyzji – jak Węgry, które ostatnio co i rusz podkładały nogę w kwestii pomocy dla Ukrainy – budzi coraz większą irytację.

Sytuacja międzynarodowa popycha Unię do rezygnacji z jednomyślności w kwestiach polityki zagranicznej na rzecz większości kwalifikowanej (czyż ona jest – o tym za chwilę). Jednak nie brakuje opinii, że wprowadzenie takiej większości byłoby krokiem w stronę rozpadu Unii.

Dylemat ten można przeanalizować na dwóch płaszczyznach (obie są zresztą powiązane). Pierwsza dotyczy wpływu takiej ewentualnej zmiany na znaczenie Polski w Unii i możliwości zabezpieczenia naszych interesów. Druga – spójności Unii i jej siły oddziaływania w świecie.

Skomplikowana większość kwalifikowana

Dyskusja o zniesieniu (lub choćby ograniczeniu) zasady jednomyślności przy podejmowaniu decyzji dotyczy dwóch unij-

nich organów. Pierwszy to Rada Europejska, którą tworzą przywódcy państw (zwykle premierzy, czasem prezydenci). Ona odpowiada za najważniejsze decyzje i określa kierunek, w którym podąża Wspólnota. Drugi to Rada Unii Europejskiej, organ gromadzący ministrów. Zależnie od tematu spotykają się oni w różnych konstelacjach i gdy kwestia dotyczy spraw zagranicznych, do Brukseli zjeżdżają szefowie dyplomacji. To Rada Unii wspólnie z Parlamentem Europejskim tworzą unijne prawo.

Dzisiaj obie te rady muszą być jednomyślne, gdy decyzje dotyczą najbardziej wrażliwych sfer: polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, obronności, przyjęcia nowych członków, podatków, ochrony społecznej i współpracy policyjnej. Pozostałe kwestie są poddawane głosowaniu, a do podjęcia decyzji wymagana jest właśnie większość kwalifikowana.

Mierzy się ją podwójnie: liczymy liczbę państw i ich ludność. I tak: jeśli Rada UE głosuje nad wnioskiem Komisji lub Wysokiego Przedstawiciela ds. Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa, musi ją poprzeć co najmniej 55 proc. państw członkowskich (dziś to 15 krajów), które reprezentują nie mniej niż 65 proc. ludności Unii. Jeśli wniosek wypłynął od któregoś z członków, odsetek państw musi być większy (72 proc., czyli 20 państw), a odsetek ludności pozostaje niezmienny. Jednak do zablokowania każdej decyzji wystarczy tzw. mniejszość blokująca: co najmniej cztery państwa, które reprezentują 35 proc. ludności.

Dyktat największych?

Pomysł odejścia od jednomyślności budzi obawy przed dyktatem największych. Polska jest wprawdzie piątym co do wielkości państwem Unii, jednak w dyskusji tej stawiamy się często w roli adwokata krajów małych, podnosząc, że zostaną one pozbawione wpływu na politykę zagraniczną. Wynikało to dotąd nie tyle z naszego altruizmu, ile z budowanego przez lata przekonania, że pozostali największy gracze nie dzielą naszego spojrzenia →

→ na fundamentalne zagrożenie dla bezpieczeństwa Europy, czyli na Rosję.

Nawet obecna zmiana w polityce Niemiec i Francji wobec Putina budzi nieufność. Nie wiadomo, jak trwała jest niemiecka *Zeitenwende* (zwrot w polityce wobec Rosji, ogłoszony przez kanclerza Olafa Scholza kilka dni po inwazji na Ukrainę) ani jakich zwrotów może dokonać Francja po kolejnych wyborach (gdy np. urząd prezydenta obejmie Marine Le Pen). Za stabilnych partnerów w tej kwestii uważamy Rumunię, trzy kraje bałtyckie oraz Szwecję i Finlandię. Pozostałe państwa regionu byłyby niejednoznaczne w tej kwestii. Z kolei dla krajów z południa Europy Rosja nie jest tematem pierwszoplanowym.

Realia czy lęki

Wspomniane wyżej siedem państw, które można postrzegać jako podzielające polską perspektywę, reprezentuje jedynie 17,5 proc. ludności. Tymczasem same Niemcy i Francja to 33,8 proc. – i to właśnie ich dyktatu obawia się większość sprzeciwiających się tej zmianie.

Te kalkulacje oddają jednak bardziej lęki, drzemające głęboko w narodowych tożsamościach, niż polityczne realia ostatnich lat. Trudno przypomnieć sobie sytuację, gdy w Unii próbowano podjąć decyzję dotyczącą polityki zagranicznej, którą Polska chciałaby zablokować. W tym wypadku jesteśmy raczej w awangardzie, która pogania maruderów.

Kalkulacje te są również obarczone pewnym błędem. Zmiany traktatowe – jeśli do nich dojdzie – są bowiem związane z perspektywą rozszerzenia Unii. Pojawienie się nowych członków będzie wymagać ponownego określenia progów większości kwalifikowanej i mniejszości blokującej. Tymczasem można się spodziewać, że nowi partnerzy z Europy Wschodniej i Bałkanów dociążą nasz punkt widzenia Rosji. Zwłaszcza Ukraina ze swym potencjałem ludnościowym, który ma takie znaczenie przy tworzeniu mniejszości blokującej.

Miedzy Mińskiem a Nikozją

W gruncie rzeczy ważniejsze jest pytanie, jak wprowadzenie większości kwalifikowanej wpłynie na jedność i sprawczość Unii.

Przyjrzyjmy się najpierw tej pierwszej. Obrońcy jednomyślności widzą w niej

Większość kwalifikowana miałaby zapobiec sytuacji, gdy Rosja lub Chiny oddziałują na jakiś kraj Unii i tak blokują jej decyzje.

narzędzie ochrony własnych interesów przez najmniejsze państwa. Przywołuje się przykład z 2020 r., gdy Cypr zablokował wprowadzenie sankcji na Białoruś. Wbrew pozorom nie chodziło o wpływy rosyjskich oligarchów w cypryjskim sektorze finansowym i turystyce. W tym czasie, gdy Łukaszenka rozganiał protesty, Cypr – trzecie z najmniejszych państw Unii – borykał się z agresywną polityką Turcji, która próbowała narzucić mu własne rozumienie podziału wód terytorialnych. Rząd w Nikozji uzależnił zgodę dla nałożenia sankcji na Białoruś od unijnego wsparcia w konflikcie z dominującym tureckim sąsiadem.

Można oczywiście argumentować, że Cypr miał inne narzędzia w ramach Unii. Jednak żadne z nich nie byłoby tak skuteczne w krótkim czasie.

Faktycznie, małe państwa, o niewielkiej sile przebicia, nie mają w Unii wielu narzędzi do broniienia swych interesów. Podnosi się tu argument, że pozostawienie ich w sytuacji zagrożenia i poczuciu osamotnienia, w efekcie przegranych głosowań, może wypychać je z Unii. I nie dotyczy to wyłącznie najmniejszych. Polityka zagraniczna jest najmocniej powiązana z narodową dumą i tożsamością – sferami wrażliwymi i podatnymi na działania sił antyeuropejskich. Zarówno krajowych, jak i zewnętrznych.

Narzędzie Viktora Orbána

Natomiast zwolennicy odejścia od jednomyślności podnoszą, że w rzeczywistości weto w kwestiach polityki zagranicznej bardzo rzadko jest podnoszone w imię interesów strategicznych. Przypadek Cypru jest tu raczej wyjątkiem. Zazwyczaj chodzi o wąski interes polityczny konkretnej grupy.

Najbardziej wyrazistym przykładem są Węgry pod wodzą Viktora Orbána, które regularnie hamują wprowadzenie sankcji na Rosję oraz wspólną unijną pomoc dla Ukrainy. Orbán wykorzystuje oba

tematy, walcząc o unijne fundusze oraz o przymknięcie przez Brukselę oczu na łamanie przez niego praworządności, korupcję itd.

W opinii elit państw „starej” Unii jednomyślność stała się w ten sposób narzędziem walki politycznej w rękach populistów pokroju Orbána. Ich ofiarą są zaś europejskie wartości, prawa człowieka i poziom demokracji, które są – lub powinny być – unijnym DNA. Dziś perspektywa przyjęcia nowych członków wzmacnia jeszcze obawy, że jednomyślność będzie coraz częściej wykorzystywana dla jego osłabienia i rozmycia. Unia będzie większa i nadal jednomyślna, lecz przestanie być tym, czym jest.

Długie ramię Moskwy i Pekinu

Tymczasem debata o rezygnacji z jednomyślności zrodziła się, przypomnijmy, z przekonania, że Unia musi dziś działać szybciej i sprawniej. Lekcja, którą są węgierskie weta z ostatnich lat, pokazuje, że wiele decyzji mogłoby wejść w życie dużo wcześniej.

Tu również pojawiają się obawy związane z rozszerzeniem. Już osiągnięcie kompromisu w gronie obecnych 27 państw jest trudne, a co dopiero przy liczbie 30 krajów lub więcej. Pojawia się też obawa, że zewnętrzne mocarstwa – Rosja, Turcja, Chiny – mogą oddziaływać na poszczególne państwa i w ten sposób pośrednio blokować decyzje Unii (polityka Węgier wobec wojny na Ukrainie, także na forum NATO, każe zresztą zadać pytanie, czy nie dzieje się to już teraz).

Podejmowanie decyzji przez większość kwalifikowaną miałoby więc zapewnić ich tempo i zagwarantować, że są zgodne z interesem Wspólnoty.

Druga strona znajduje jednak ważny kontrargument: decyzje podejmowane jednomyślnie mają swoją siłę i legitymację. Nie tworzą też miejsca dla spekulacji, że Unia nie jest już jednością. Według takiej wykładni decyzje podejmowane szybciej będą miały mniejszą wagę, co nie przysłuży się sile strategicznej Unii.

Komu brakuje determinacji

Rozważając sprawczość Unii, warto jednak odnotować, że do tej pory poszczególne weta raczej nie blokowały decyzji w ogóle, lecz tylko opóźniały ich podjęcie. Tak było zarówno w przypadku Cypru, jak też przy wszystkich sprzeciwach Or-

bána. W krytycznych sytuacjach liderzy Unii znajdowali niestandardowe rozwiązania – jak „dyplomatyczne” opuszczenie sali przez węgierskiego premiera, który poszedł nalać sobie kawy w chwili, gdy podejmowano decyzję o otwarciu negocjacji akcesyjnych z Ukrainą w grudniu 2023 r.

Już w cytowanym na początku liście ministrów spraw zagranicznych (i innych pomysłach zmian traktatowych) zaproponowano nawet sformalizowanie takiej metody poprzez wprowadzenie możliwości „konstruktywnego wstrzymania się od głosu”. W tej formule dane państwo nie popierałoby podjęcia decyzji, jednocześnie nie blokując jej.

Nie brakuje jednak opinii, że prawdziwym wyzwaniem dla sprawczości Unii nie jest wcale możliwość weta, lecz brak elastyczności i determinacji wśród największych graczy.

„Jeśli chodzi o większość znaczących decyzji, które obserwatorzy i decydenci mają na myśli, gdy mówią o *strategicznej Europie* [podkreślenie autora – red.] – takich jak ambitna polityka bezpieczeństwa lub bardziej świadome wykorzystanie narzędzi ekonomicznych do celów geopolitycznych – prawdziwym problemem nie jest weto jakiejś upartej mniejszości, ale raczej brak woli politycznej wśród aktywnej większości” – pisał Angelos Chrysosgelos, politolog z London Metropolitan University, na portalu Politico.

Europejski paradoks

Obie strony sporu wysuwają tutaj ważne argumenty – i niewątpliwie wartością jest już sama dyskusja, która pozwala również lepiej zrozumieć działanie Unii.

I co ciekawe, rozkład opinii między obrońcami a przeciwnikami zasady jednomyślności nie jest wcale oczywisty. Rumunia, która postrzega Rosję podobnie jak Polska, przyłączyła się do listu ministrów spraw zagranicznych. Za to Francja i Niemcy, których dominacji zwykliśmy się obawiać, stoją w tej sprawie po dwóch stronach barykady. Kwestia ta jest zresztą jednym z punktów spornych między oboma państwami.

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że decyzję o odejściu od jednomyślności trzeba będzie podjąć jednomyślnie.

© PIOTR OLEKSY

Autor jest analitykiem Instytutu Europy

Środkowej i historykiem na UAM.

Stale współpracuje z „TP”.



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „xABo: Ksiądz Boniecki” i „Ukos światła”. Prowadzimy akcję „Lekcje czytania” i pomagamy rozwijać „Podkast Tygodnika Powszechnego”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Na**prawdę****

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO**

» KRS 0000 125 605

Wszyscy jechaliśmy tym pociągiem

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISPANII

Choć od największego w XXI wieku ataku terrorystycznego w Europie – na madrycką kolej podmiejską – mija 20 lat, wspomnienia są żywe. Podobnie jak oskarżenia.

TO BYŁ ZWYCZAJNY MARCOWY DZIEŃ. Przed godziną ósmą taką trasę pokonują – do pracy, uczelni, szkoły – dziesiątki tysięcy mieszkańców podmadryckich miejscowości. Tego dnia, jak co dzień, do pracy jechał też 46-letni Gonzalo Villamartín, wojskowy. Jego pasją było bieganie w maratonach. Było, bo do pracy ani do maratonów już nigdy nie wrócił.

W czwartek 11 marca 2004 r. takich pociągów jak ten, którym jechał Gonzalo, w różnych miejscach Madrytu były cztery. Pozostawiono w nich trzynaście toreb sportowych wypełnionych materiałami wybuchowymi. Dziesięć eksplodowało, zabijając 192 ludzi i raniąc ponad 1,8 tys. (ofiary były siedemnastu narodowości).

Jednym z tych pociągów jechała również Dori Majali, wtedy mama trzyletniego chłopca. To miał być jej trzeci dzień w nowej pracy. „Nagle zapanowała okropna cisza, zobaczyłam światło i nie mogłam kontrolować mojego ciała. Spojrzałam na nie i zobaczyłam kości i mnóstwo krwi. Wokół mnie leżały fragmenty ludzi. Tego widoku nigdy nie zapomnę” – mówiła w dokumencie telewizji publicznej TVE.

Marisol Pérez w zamachu straciła 20-letniego syna Rodriga. Student informatyki jechał na uniwersytet oddać pracę. Nigdy tam nie dotarł. Jego rodzice szukali go wszędzie, a o ich poszukiwaniach opowiada książka „Powiedz nam, gdzie jesteś, i będziemy Cię szukać”.

CHWILA JEDNOŚCI | Pierwsze ofiary dotarli do pobliskich szpitali w taksówkach i autobusach, które krążyły, gdy brakowało karettek. Na pomoc rannym wyszli mieszkańcy okolicznych osiedli.

Do Madrytu napływali ratownicy, lekarze i pielęgniarki z całej Hiszpanii. Tyśiące osób poszły oddać tego dnia krew dla rannych.

Dzień po zamachu na ulice w całym kraju wyszły tysiące demonstrujących, aby wyrazić swój sprzeciw wobec terrorizmu. Na czele jednej z manifestacji stanął przedstawiciel rodziny królewskiej – Filip, wówczas jeszcze książę, od 2014 r. król. Był to pierwszy taki przypadek w historii, rodzina królewska nigdy nie brała udziału w demonstracjach.

Tego 12 marca część manifestujących w Barcelonie niosła banery, na których winę za zamach przypisywała wysłaniu hiszpańskich wojsk do Iraku (gdzie współtworzyły koalicję, która rok wcześniej obaliła Saddama Husajna). Rząd odrzucał wtedy tę tezę.

SZUKANIE WINNYCH | Zamach miał miejsce trzy dni przed wyborami parlamentarnymi. Stąd od pierwszych godzin premier José María Aznar powtarzał jak mantrę, że winna jest ETA, organizacja terrorystyczna walcząca o niepodległość Kraju Basków.

Zdaniem Juana Jesúsa Sáncheza Manzano z Policji Krajowej już po południu 11 marca były przesłanki, iż to nie ETA. W aucie znalezionym 30 km od Madrytu znaleziono materiały wybuchowe i Koran. „Premier mówił wtedy na konferencji, że jedynie »otwiera się nowa linia śledztwa«, a głównym kierunkiem wciąż jest ETA” – wspomina Manzano w swojej książce.

Dzień po ataku publiczna telewizja TVE nagrała wywiad z ówczesnym prezydentem USA George'em W. Bushem. Wywiad został ocenzurowany: prezydent już wtedy mówił publicznie o możliwo-



ści udziału w zamachu Al-Kaidy, islamskiej „międzynarodówki terrorystycznej”, której członkowie dwa i pół roku wcześniej zaatakowali Nowy Jork i Waszyngton. Hiszpański rząd wciąż utrzymywał, że za zamachem stoi ETA. Pełny wywiad opublikowano niedawno, 20 lat później.

WOKÓŁ 11-M | W niedzielę 14 marca 2004 r. wybory wygrywają opozycyjni socjaliści, José Luis Rodríguez Zapatero ma zostać premierem, a pewien francuski dziennik publikuje tekst pt. „Hiszpania ukarała kłamstwa władzy”. Dziś hiszpański „El País” w edytoriale z 10 marca przypomina, że „godność obywatelska, skuteczność państwa mogły stać się jedyną historią 11-M [tak w skrócie określa się zamach – red.]. Jednak rząd Aznara, zaangażowany w wojnę w Iraku, zlekceważył dowody policji ze względów wyborczych i próbował narzucić historię, jakoby zbrodni dokonała ETA, (...) a dwie dekady później Aznar nie wyjaśnił tej reakcji”.

Ani w Kraju Basków, ani w Katalonii, ani w Galicji prasa nie uwierzyła w rządową wersję. – Baskijski dziennik „El Correo” miał wiele powodów, by przyjąć wersję premiera, jednak tuż po zamachu publikuje tekst pt. „Masakra w Madrycie.



BERNAT ARMANGUE / AP / EAST NEWS

Pomnik ofiar zamachu bombowego na dworcu kolejowym Atocha. Madryt, 11 marca 2024 r.

Al-Kaida manifestuje swoją siłę, a rząd przypisuje winę ETA” – mówi mi dziennikarz Íñigo Domínguez.

Te liczne powody, o których wspomina Domínguez, to fakt, że ETA w 1977 r. zamordowała dyrektora generalnego tej gazety, w 2000 r. zaatakowała redakcję w Getxo, Vitorii i Bilbao butelkami z benzyną, a w 2022 r. wysłała paczkę z bombą do wiceprezesa grupy medialnej, do której należy „El Correo”.

SPISEK | „Ataki z 11 marca to tylko niewielka próbka” – mówili zamachowcy w ujawnionym dwa dni później nagraniu. Mieli plan, struktury w kilku hiszpańskich prowincjach, sporo dynamitu i półtora miliona euro na przeprowadzenie kolejnych zamachów w ciągu dwóch miesięcy. Pieniądze pochodziły z handlu narkotykami.

Ten plan się nie powiódł. W ciągu 72 godzin hiszpańskie służby ujawniły podstawowe dane o spisku: sprawców, ich powiązania z Al-Kaidą. W miejscowości Leganés koło Madrytu ukrywało się dowództwo zamachu. Osaczeni przez służbę, dżihadysty wysadzili się w powietrze 3 kwietnia. Zabili przy tym jednego funkcjonariusza. Śmierć przy-

wódców grupy zapobiegła kolejnym atakom.

Dzień wcześniej w szybkim pociągu AVE na linii Madryt-Sewilla pracownik kolei odkrył torbę z 12 kilogramami materiałów wybuchowych (takimi, jakich użyto 11 marca). Terrorysty nie zdążyli zdetonować bomb, zostali spłoszeni przez przybyłe na miejsce służby.

Wcześniej, pod koniec 2003 r., Krajowe Centrum Wywiadu ostrzegało rząd przed wzrastającym zagrożeniem terrorystycznym. Znany służbom był już Algierczyk Allekema Lamari, jeden z autorów zamachu z 11 marca (wraz z sześcioma innymi terrorystami wysadził się 3 kwietnia).

NABÓR PRZEZ GRĘ | – Hiszpania jest celem islamskiego terroryzmu także w kontekście historycznym. W średniowieczu była pod rządami muzułmanów, którzy Półwysep Iberyjski nazywali Al-Andalus. Dlatego islamscy terroryści chcieliby go odzyskać, co sygnalizowali już wraz z powstaniem Al-Kaidy – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” prof. José Antonio Olmeda Gómez, politolog.

W ciągu 20 lat od 11-M podejście do bezpieczeństwa w Hiszpanii się zmieniło. Powstało Centrum Wywiadu ds. Walki

z Terroryzmem i Przystępczością Zorganizowaną (CITCO), które koordynuje pracę różnych służb. W ciągu 20 lat CITCO przeprowadziło ponad 400 operacji przeciw terroryzmowi, zatrzymało ponad tysiąc osób. Rok 2023 był rekordowy pod względem liczby aresztowanych (łącznie 78 osób). Ostatnich potencjalnych terrorystów zatrzymano na początku marca tego roku.

Z raportu instytutu El Real Elcano wynika, że ostatnio zmienia się profil podejrzanych o terroryzm. W ręce służb trafia coraz więcej kobiet i ludzi młodych. Wcześniej wśród zatrzymywanych byli głównie przedstawiciele pierwszej generacji imigrantów przybyłych do Europy. Teraz z kolei to ci, którzy tutaj się urodzili i wychowali. Propaganda trafia do młodych w mediach społecznościowych, a nawet przez „dżihadystyczne” wersje popularnej gry „Call of Duty”.

PODZIAŁY | Prof. Gómez uważa, że zamach z 2004 r. wpłynął na polaryzację Hiszpanów. – Zaczęło się już w 1993 r., gdy w kampanii wyborczej partia socjalistyczna PSOE naruszyła jeden z filarów transformacji po dyktaturze Franco. Zrobiła to z obawy przed utratą władzy. Zaczęła nawiązywać do wojny domowej i wracać do narracji „dwóch band”. Atak terrorystyczny z 2004 r. to wszystko jeszcze przyspieszył – mówi politolog.

Podziały w społeczeństwie po 11-M tworzyli politycy i media. Politycy ówczesnej władzy z konserwatywnej Partii Ludowej, jak wspomniano, za zamach oskarżyli ETA i długo trzymali się tej wersji mimo dowodów wskazujących na Al-Kaidę. Będący w opozycji socjaliści eksponowali temat, zarzucając rządzącym kłamstwo. „Polaryzację zbudowano w wyniku manipulacji i połączenia dwóch największych tragedii, których doświadczyła Hiszpania od czasu wojny domowej: terroryzmu ETA i 11-M” – mówił podczas rozprawy sędzieja Javier Gómez Bermúdez, który orzekał w sprawie zamachu z 11 marca.

ROCZNICA | W 2005 r. Unia ogłosiła 11 marca Europejskim Dniem Pamięci o ofiarach terroryzmu.

Dzisiaj dwudziesta rocznica nie zjednoczyła polityków. Wprawdzie w mediach społecznościowych widać wiele grup i postów z hasłem „Wszyscy jechaliśmy

→ tym pociągiem”, które nawiązują do pamięci i solidarności z ofiarami i ich rodzinami.

Jednak prócz oficjalnych uroczystości u króla z udziałem przedstawicieli rządu i europejskiej komisarzy ds. wewnętrznych, przedstawiciele głównych partii brali udział w osobno organizowanych obchodach. Różnił ich nawet kolor składanych kwiatów. Ministrowie z lewicy składali czerwone na stacji Atocha w Madrycie. Tuż obok, w Parku Retiro, przedstawiciele Partii Ludowej, w tym władze stolicy (rządzi tu PP), przynosili białe.

Tego dnia setki balonów wzniosły się na madryckim niebie. Składane przez ludzi kwiaty i znicze pojawiły się na wielu stacjach kolejowych.

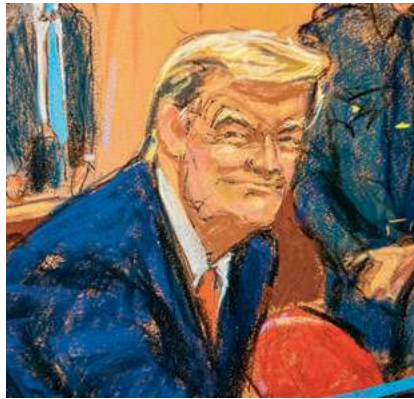
ODŁAMKI | Przewodniczący Stowarzyszenia 11-M, Eulogio Paz, uważa, że o wydarzeniach z marca 2004 r. powinno się uczyć w szkołach. Po 20 latach stowarzyszenie wciąż funduje 120 terapii dla osób, które przeżyły zamach. „Wiele z nich mimo upływu lat nigdy więcej nie weszło do pociągu” – mówił Paz w rozmowie z dziennikiem „La Razón”.

Dori Majali, wtedy młoda matka, po ataku musiała uczyć się wielu rzeczy na nowo. Zaczęła też studia, została prawniczką, urodziła drugie dziecko. O tamtym dniu przypominają jej tylko resztki plastiku, które nosi w swoim ciele. To drobne odłamki krzeseł i pociągu. Co jakiś czas dają o sobie znać i powodują konieczność kolejnej operacji, choć Dori miała ich już ponad dwadzieścia, o czym opowiada w dokumencie telewizji TVE.

Gonzalo Villamartín ślady po swoich ranach widzi każdego dnia, kiedy wstaje. One nie pozwolą mu zapomnieć. Do pracy w wojsku nie wrócił, bo jak mówi, stał się dla wojska bezużyteczny. Wciąż boi się jeździć pociągiem, wciąż leczy się u psychiatry, ale nie chce pozostać zgorzkniały.

– Staram się doceniać to, co mam wokół siebie, i cieszyć się z tego wszystkiego. Pomaga mi kontakt z naturą i sport. Choć już nie wychylny – mówi mi Gonzalo.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA



Imperium na papierze

MARTA ZDZIEBORSKA

Problemy prawne osłabiają kampanię prezydencką Trumpa: wysysają fundusze i czas potrzebny do rywalizacji z Bidenem.

TRZYMAĆ BRUDNE ŁAPY Z DALA OD Trump Tower – wiadomością o takim tytule Trump bombardował fanów, apelując o wpłaty i oskarżając prokuraturę o próbę przejęcia jego wieżowca na Piątej Alei. Palił mu się grunt pod nogami, bo miał jeszcze tylko kilka dni na zabezpieczenie kaucji w wysokości 454 mln dolarów. Ta astronomiczna kwota miała wstrzymać egzekucję z jego majątku na czas rozstrzygnięcia apelacji – były prezydent został skazany za oszustwa finansowe w swoim imperium deweloperskim Trump Organization.

Zebranie niemal pół miliarda było według prawników Trumpa niemożliwe: twierdzili, że nie dysponuje on taką gotówką, a 30 największych firm ubezpieczeniowych odmówiło mu poręczenia, bo chciały mieć zabezpieczenie w innej postaci niż nieruchomości.

Ostatecznie Trump mógł odetchnąć: 25 marca sąd apelacyjny stanu Nowy Jork w ostatniej chwili zmniejszył kaucję do 175 mln dolarów i przedłużył termin na jej zebranie. Jak rzadko, Trump przyjął decyzję sądu z entuzjazmem.

Gdyby sąd nie poszedł mu na rękę, Trumpowi (obok na rysunku z sali sądowej) groziłoby finansowe i wizerunkowe fiasko. Prokuratura podjęła już wstępne kroki mające ułatwić konfiskatę jego nieruchomości na przedmieściach Nowego Jorku na wypadek, gdyby nie wpłacił pierwotnej kaucji. Niektórzy wieszczą, że będzie musiał ogłosić upadłość – trudna perspektywa dla kogoś, kto za wszelką cenę nie chce wyjść w oczach wyborców na nieudacznika.

RACHUNEK ROŚNIE | Orzeczenie *last minute* pomogło Trumpowi, ale nie rozwiązało głównego problemu: musi teraz szybko zabezpieczyć 175 mln, a jeśli przegra apelację – dopłacić resztę zasądzonej kary. Do tego w toku jest apelacja w innym postępowaniu cywilnym o zniesławienie pisarki E. Jean Carroll, gdzie Trump przy wsparciu firmy ubezpieczeniowej zdobył 91 mln dolarów na kaucję.

W razie porażki w obu sprawach straci grubo ponad pół miliarda dolarów. A to nie koniec. Jego prawnicy walczą o umorzenie kary w wysokości niemal miliona dolarów za bezzasadne oskarżenie Hillary Clinton, wyborczej rywalki w 2016 r., o spiskowanie w celu udowodnienia związków kampanii Trumpa z Kreml. W ostatnich miesiącach były prezydent przegrał też batalie przeciw dziennikowi „New York Times” i brytyjskiej firmie Orbis Business Intelligence; do zapłacenia ma niemal 800 tys. dolarów.

Na wynagrodzenia dla prawników też idą duże pieniądze. W ciągu dwóch lat Trump wydał na to ponad 76 mln, w tym tylko w lutym tego roku 5,6 mln dolarów. Szacuje się, że przy takim tempie opłacający jego koszty prawne komitet akcji politycznej Save America może do lata wydać wszystkie zebrane fundusze. I to wszystko w chwili, gdy Trump potrzebuje dalszej reprezentacji w czterech postępowaniach karnych. Pierwszy proces – w sprawie płatności za milczenie dla aktorki porno Stormy Daniels – rusza 15 kwietnia.

GORĄCY DEBIUT | Rosną zobowiązania Trumpa, ale rośnie też wartość jego majątku – przynajmniej na papierze. Następnego dnia po korzystnym dla niego obniżeniu kaucji na giełdę weszła firma Trump Media & Technology Group, do której należy platforma społecznościowa Truth Social.

Dzięki temu ruchowi, możliwemu dzięki fuzji z notowaną na giełdzie spółką, majątek Trumpa z dnia na dzień urósł o ponad 4 mld dolarów. Nie będzie to jednak szybki zastrzyk łatający gotówkową dziurę.

Po początkowej euforii notowania spółki na giełdzie mogą spaść, a zbycie przez Trumpa dominującego pakietu udziałów może nastąpić dopiero pół roku od fuzji. Szacuje się, że wycena spółki Trump Media przed i po fuzji jest zawyżona w stosunku do jej wyników. W pierwszych dziewięciu miesiącach 2023 r. straciła ona 49 mln dolarów, a z jej flagowej platformy Truth Social wykruszali się użytkownicy.

Potrzebujący gotówki Trump dociska kierownictwo Partii Republikańskiej. Media donoszą, że właśnie dobił tutaj targu: zbierane środki podczas ważnego kwietniowego spotkania z darczyńcami pójść w pierwszej kolejności na jego kampanię, następnie na komitet Save America, a dopiero trzeci w kolejce do podziału będzie Krajowy Komitet Partii Republikańskiej (RNC).

Trumpowi łatwiej jest stawiać warunki, bo pod jego presją z funkcji szefowej Komitetu ustąpiła Ronna McDaniel. Jej miejsce zajął posłuszny mu Michael Whatley, a funkcję wiceszefowej pełni jego synowa Lara. Zasłynęła już sugestią, że wyborcy nie mieliby nic przeciwko, aby RNC opłacał koszty procesowe Trumpa w trakcie kampanii. To w kontrze do stanowiska wcześniejszego szefostwa Komitetu (przed nastaniem trumpowskich sojuszników podjęto nawet próbę, by uniemożliwić ten proceder, ale nie zebrano wymaganego poparcia).

WYŚCIG TRWA | Trump ma nóż na gardle nie tylko ze względu na koszty prawne. Siedem miesięcy przed wyborami ustępuje Bidenowi w zbieraniu środków na kampanię. Z federalnych danych finansowych wynika, że pod koniec lutego sztab prezydenta miał ponad dwa razy więcej gotówki na koncie niż Trump. Agencja Bloomberg twierdzi, iż rośnie grono wpływowych darczyńców obawiających się, że wsparcie kampanii Trumpa – w obliczu jego wypowiedzi na temat NATO

czy migrantów – zaszkodzi ich reputacji. Inni darczyńcy mają problem z tym, że ich pieniądze mogą służyć do pokrycia kosztów prawnych.

„Financial Times” wylicza, że Trump zaczął rok 2024, mając o 200 tys. mniej darczyńców niż cztery lata temu, gdy walczył o reelekcję. Tymczasem zbyt duża przepaść fundraisingowa między nim a Bidenem może mieć znaczenie przy wyrównanej walce, gdy liczy się mobilizacja wyborców. Serwis The Hill przypomina, że Biden, który w 2020 r. miał finansową przewagę nad Trumpem rządu kilkuset milionów dolarów, opłacił w ostatniej chwili spoty reklamowe w kluczowych stanach, co mogło przysporzyć mu głosów.

Ludzie Trumpa przekonują dziś, że starczy mu funduszy, a poza tym w 2016 r. wygrał z Hillary Clinton, mając dwukrotnie mniej zebranych środków. Tym razem taka strategia może jednak nie zadziałać. Trump potrzebuje gotówki i czasu na kampanię – jedno i drugie mogą wyssać zobowiązania prawne i zapełniony terminami w sądzie kalendarz.

Autorka jest dziennikarką „Press”.

REKLAMA

WYDAWNICTWO PROMIC ZAPRASZA NA SPOTKANIA TARGOWE!

Targi Wydawców Katolickich w Arkadach Kubickiego na Zamku Królewskim w Warszawie, plac Zamkowy 4

Wstęp wolny!

Piątek 12 kwietnia 2024 r.

• 16.00 – 17.00 stoisko Wydawnictwa
Spotkanie z ks. prof. P. Kieniewiczem MIC.

Sobota 13 kwietnia 2024 r.

• 14.00 – 15.00
namiot przed wejściem na TWK
Spotkanie panelowe
z ks. M. Sobiechem
w 40. rocznicę zawierzenia świata
Niepokalanemu Sercu Maryi.

Dzieci zapraszamy

do stoiska Wydawnictwa PROMIC!
W sobotę, 13.04.2024 r.,
• 12.00 – 13.00 na spotkanie z Barbarą Garczyńską,
• 13.00 – 16.00 na eksperymenty
naukowe i warsztaty artystyczne.
W niedzielę, 14.04.2024 r.,
• 13.00 – 15.00 na warsztaty artystyczne.

Jedyna taka w Polsce!

Sobota 13 kwietnia 2024 r.

• 12.00 – 13.00
namiot przed wejściem na TWK
Spotkanie panelowe „Odnaleźć sens...”
O towarzyszeniu w perspektywie
samobójstwa z terapeutą
i suicydologiem.
Po spotkaniu dyżur ekspertów.

Niedziela 14 kwietnia 2024 r.

• 12.00 – 13.00 namiot
przed wejściem na TWK
Spotkanie panelowe „Obudź w sobie życie.
W obliczu niepełności” z psychologiem,
teologiem i ginekologiem.
Po spotkaniu dyżur ekspertów.

www.wydawnictwo.pl



Prenumerata „Tygodnika Powszechnego”?

Nareszcie coś fajnego na wiosnę!



TYGODNIK POWSZECHNY

Tak, wiemy,
ta oferta to
dość dużo słów,
ale zaufajcie nam,
warto doczytać ją
do końca! Zresztą
– będzie ciekawie,
bo w „Tygodniku
Powszechnym”
wiemy, jak
przykuwać uwagę.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy!

Wraz z nadejściem kalendarzowej
wiosny przedstawiamy
świetną ofertę prenumeraty
„Tygodnika Powszechnego”.

Ale uwaga! Adresujemy ją do nowych
Prenumeratorek i Prenumeratorów
i jest ograniczona czasowo – potrwa
tylko cztery tygodnie, a konkretnie
od Wielkiej Środy 27 marca
do 23 kwietnia (włącznie), dlatego
warto skorzystać z niej od razu. Niby
dużo czasu, ale wiadomo, że wiosna
mija szybciej niż inne pory roku,
prawda? Szkoda byłoby zmarnować
taką okazję! (Mówimy o wiosnie
oraz o prenumeracie).

Zachęcamy Was do prenumeraty,
ponieważ to dzięki Wam, naszym
Czytelniczkom i Czytelnikom,
jesteśmy suwerenni. Przetrwanie
pisma zależy od Was, a nie od
władz politycznej czy
zawirowań w światowej gospodarce.

Prenumerując „Tygodnik Powszechny”,
macie pewność, że znacząco
przyczyniacie się do tego, że nasze
publikacje są niezależne, a autorzy
mają swobodę pisania i robią to
tak, jak lubią, czyli obiektywnie,
z szacunkiem dla faktów, podejmując
sprawy najważniejsze.

Stając się naszymi prenumeratorami,
współuczestniczycie w naszej
misji, a brzmi ona tak:
„Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat.
Zachęcamy do patrzenia na
rzeczywistość z różnych perspektyw.
Poszerzamy horyzonty myślenia
i wolności. Traktujemy prawdę
jako wartość nadrzędną.
Szanujemy innych i nie zamykamy się
na dialog. Wierzymy, że świat da się
naprawić”.

No ale co z tą naszą propozycją?
Przejdźmy do konkretów, bo przecież
obiecaliśmy Wam świetną ofertę
prenumeraty, skrojoną specjalnie
na wiosnę 2024.

TWOJA PIERWSZA PRENUMERATA. TAK JĄ ZAMÓWISZ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ

CENA

Z WYSYŁKĄ
EKONOMICZNĄ

Z WYSYŁKĄ
PRIORYTETOWĄ

- | | | |
|--|--------|--------|
| ■ Kwartał – 13 wydań plus
jedno Wydanie Specjalne
gratis! | 160 zł | 200 zł |
| ■ Rok – 52 wydania 60 wydań ,
czyli 2 miesiące gratis! | 550 zł | 680 zł |
| ■ Rok – 52 wydania 60 wydań ,
czyli 2 miesiące gratis
w ofercie POKOLENIA* | 480 zł | |
| ■ 4 Wydania Specjalne
(kwartalniki) | 100 zł | |
| ■ Rok – 52 wydania
+ Wydania Specjalne | 640 zł | 770 zł |
| ■ Rok – 52 wydania
+ Wydania Specjalne
w ofercie POKOLENIA* | 570 zł | |

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

BILI MY SIĘ DO KOŃCA

Monte Cassino zapisało się w historii wielu narodów jako jedno z najcięższych zmagañ II wojny światowej. Dla Polaków legenda tej bitwy miała jednak w minionych 80 latach znaczenie wyjątkowe.

PATRYCJA BUKALSKA

POCZUCIE, ŻE SĄ ŚWIADKAMI MOMENTU wyjątkowego, towarzyszyło im już w tamtych dniach, 80 lat temu.

„Uśmiechnęło się wtedy wszystko. Z tych poszarpanych murów, z tej powiewającej flagi, pomiędzy niebem a zoraną, wypaloną ziemią, promień padł na wyśilek tyłu dni, nocy jasnych od błysków i łun, za te krzyże za nami. To była bitwa o Polskę” – tak moment wywieszenia polskiej flagi wśród ruin klasztoru na wzgórzu Monte Cassino opisał w swoich wspomnieniach Władysław Balon, żołnierz 2. Korpusu Polskiego.

Był 18 maja 1944 r. Tak jak inni żołnierze dowodzeni przez gen. Władysława Andersa, 27-letni Balon, podporucznik w 4. Pułku Pancernym „Skorpion”, miał już za sobą długą drogę. W chwili wybuchu II wojny światowej student czwartego roku prawa na UJ, we wrześniu 1939 r. ochotnik w obronie Lwowa, z okupowanego kraju przedostaje się – przez Słowację i Węgry – do armii polskiej we Francji, a stamtąd do Szkocji. Potem trafia do Palestyny, do powstającego 2. Korpusu, a wraz z nim do Włoch.

W maju 1944 r. przed nim jest kolejny etap jego wojennej odysei: od Monte Cassino przejdzie cały półwysep włoski: przez Linie Gotów (niemieckie umocnienia), Ankone, aż po Bolonię na północy. Będzie trzykrotnie ranny. Polska pozostaje

nie dla niego nieosiągalna – po wojnie będzie jeszcze służyć kilka lat w powoli likwidowanej polskiej armii na Zachodzie, a po demobilizacji zamieszka wraz z rodziną w Wielkiej Brytanii.

ZADANIE | Zanim na Monte Cassino załopotała polska flaga (a obok niej brytyjska), walki o przełamanie niemieckich umocnień i otwarcie drogi do stolicy Włoch trwały już od niemal pół roku.

Polacy wzięli udział w czwartej i finalnej ofensywie aliantów, która zaczęła się w nocy 11 maja. Tak zwana Linia Gustawa, system niemieckich umocnień, przecinała w poprzek Włochy, a centralne miejsce zajmowało w niej wzgórze z zabytkowym klasztorem benedyktynów, założonym w VI wieku przez św. Benedykta, twórcę tego zakonu.

Wcześniej, od stycznia, próbowały przełamać ją kolejno oddziały amerykańskie i brytyjskie, nowozelandzkie i indyjskie, francuskie i kanadyjskie. Aliantom nie pomogło zbombardowanie opactwa – do dziś fakt ten wzbudza kontrowersje wśród historyków. Zniszczenie miejsca o tak wielkim znaczeniu kulturowym i historycznym oceniane jest jako co najmniej błąd taktyczny.

Pod koniec marca alianckie dowództwo postanowiło wysłać do walki korpus Andersa. Liczący 50 tys. żołnierzy, do tej pory był w rezerwie. Zapytano generała.



Na podjęcie decyzji miał podobno dziesięć minut.

SPRAWA | „Była to dla mnie chwila doniosła – wspominał Anders. – Rozumiałem całą trudność przyszłego zadania Korpusu. (...) Zdawałem sobie jednak sprawę, że Korpus i na innym odcinku [frontu] miałby duże straty. Natomiast wykonanie tego zadania ze względu na rozgłos, jaki Monte Cassino zyskało wówczas w świecie, mogło mieć duże znaczenie dla sprawy polskiej. Byłoby najlepszą odpowiedzią na propagandę sowiecką, która twierdziła, że Polacy nie chcą się bić z Niemcami. Podtrzymałoby na duchu opór walczącego Kraju. Przyniosłoby dużą chwałę orłowi polskiemu”.



DEAGOSTIN / GETTY IMAGES

Widok na opactwo benedyktynów na Monte Cassino z cmentarza żołnierzy polskich

W pewien sposób Anders miał rację. Zdobycie Monte Cassino rzeczywiście przyniosło chwałę żołnierzom armii polskiej na Zachodzie, utrwaliło opinię o nich jako żołnierzach dobrych. Monte Cassino było też pierwszą dużą bitwą lądową, którą armia ta stoczyła podczas wyzwolenia zachodniej Europy. I jedną z najkrwawszych.

Anders nie miał natomiast racji, jeśli liczył, że ten wysiłek zmieni coś politycznego. Wiosną 1944 r. sprawa polska – niepodległość Polski po wojnie – była już stracona. W pełni prawda ta objawi się w lutym 1945 r., po konferencji w Jałcie.

DRAMAT | Wcześniej już jednak, na konferencji w Teheranie w listopadzie 1943 r., Churchill, Roosevelt i Stalin – przywódcy

największych krajów koalicji walczącej w Europie z III Rzeszą – zgodzili się co do przesunięcia wschodniej granicy Polski, a Stalin dostał wolną rękę w kształtowaniu powojennych porządków w Europie Środkowo-Wschodniej.

Udział Polaków w przełamaniu Linii Gustawa, zdobycie ruin klasztoru, udowodnienie, że Polacy są wiernymi sojusznikami aliantów – wszystko to nie mogło tutaj już nic zmienić.

Naczelnny wódz armii polskiej na Zachodzie, gen. Kazimierz Sosnkowski, skrytykował Andersa za przyjęcie alianckiej propozycji ataku na Monte Cassino. Było to według niego „niepotrzebnym marnowaniem krwi ludzkiej”. W bitwie poległo około tysiąca żołnierzy polskich, a prawie trzy tysiące zostało rannych.

Przy czym dramat sytuacji – nie tylko polityczny, także ludzki – polegał na tym, że większość żołnierzy Andersa pochodziła z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej. Wcześniej trafili do sowieckich obozów i więzień. Przeżyli je, wydostali się ze Związku Sowieckiego. Ich osobista walka – o ich domy, ich rodziny – w maju 1944 r. była już sprawą straconą.

LISTA | W wydany w 1946 r. „Spisie poległych żołnierzy pochowanych na cmentarzu Monte Cassino” jest 1051 nazwisk. Ułożone alfabetycznie: od podporucznika Jana Ksawerego Adamarczuka (lat 33) do ułana Jana Żyzy (lat 32).

Ich lista oddaje losy obywateli II RP i pochodzenie żołnierzy 2. Korpusu. Jest więc Żywiec, Tarnów, Warszawa →

→ i Gniezno. Świętochłowice, Petersburg, Chocim i Hochweide (koło Kolonii). Jest Piotr Trojan urodzony w Nowym Jorku – gdy zginął, nie miał ukończonych 23 lat. Jest kapral Bolesław Sadowski rodem z Odessy i plutonowy Otton Runge z Wołkowyska. Kapral Anatol Łobanow z Nowogródka i podporucznik Jakub Liberman z Krakowa.

Wiele z tej listy można wyczytać, wiele można się domyślić. I łatwiej też zrozumieć, skąd wzięła się legenda tej bitwy.

– To był młot jedności. O Monte Cassino walczył 2. Korpus Polski, czyli żołnierze, którzy przeżyli łagry w Związku Sowieckim, a także żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, nazywani szczurami Tobruku; żołnierze, którzy przeszli kampanię wrześniową. Pochodzący z wielu warstw społecznych, którzy przeszli wiele, z niejednego pieca jedli chleb. Byli tam Polacy, polscy Żydzi i przedstawiciele innych mniejszości. Krew ich wszystkich wsiąkała w ziemię pod Monte Cassino – wskazuje dr Rafał Opulski, historyk z Oddziału IPN w Krakowie. – To była armia gen. Andersa, która w 1942 r. wyszła z „niehumanitarnej ziemi”, jak nazywano Sowiety. Czasami się o tym zapomina, ale ci ludzie przeszli tysiące kilometrów, opiekując się też towarzyszącymi im w drodze kobietami, starcami i dziećmi.

W 1970 r. na cmentarzu położonym u stóp Monte Cassino przybył kolejny grób: Władysława Andersa, który chciał być pochowany wśród swoich żołnierzy.

SŁOWA | „Skupili się koło mnie, odważając ciężkie słowa, kładą je na wagę prawdy” – pisał o jednym ze swoich wielu spotkań z żołnierzami Melchior Wańkowicz, pisarz i wtedy korespondent wojenny, później autor monumentalnej książki „Monte Cassino”. Jeszcze zanim bitwa się zaczęła, przeczuwał on, jakie będzie jej znaczenie.

Oraz jakie jest jego zadanie: tej „bitwy nie można było odwrócić. Należało, aby przeszła do historii w glorii czynu wojakowskiego dźwigniętego patriotyczną ofiarą. Takim czynem ta bitwa była i taki czyn postarałem się utrwalić”. Tak napisał już po latach, w przedmowie do kolejnego wydania w 1972 r.

Jego książka powstała na gorąco, niemal na polu boju, jeszcze zanim opadły emocje. Po raz pierwszy wydana została



Dowódca 2. Korpusu Polskiego, gen. Władysław Anders (po lewej) z brytyjskimi generałami przed bitwą, maj 1944 r.

jeszcze we Włoszech nakładem wydawnictwa 2. Korpusu. W Polsce w okresie stalinowskim nie mogła się ukazać. Zmieniło się to po październikowej „odwilży”, gdy w 1956 r. Wańkowicz pojawił się w Polsce, a dwa lata później postanowił wrócić na stałe do kraju.

– W 1957 r. opublikowano ocenzurowaną wersję książki. Wyrzucono fragmenty dotyczące opuszczenia przez armię Andersa Związku Sowieckiego, w tym niewygodne dla komunistów zdjęcia. Nie było też oczywiście fotografii samego Andersa – opowiada Rafał Opulski, który bada m.in. temat propagandy w PRL. – Dla komunistów ważniejszym mitem miała być bitwa pod Lenino z 1943 r. Rządy PRL się zmieniały, ale niezmiennym dogmatem miał pozostać tzw. sojusz polsko-sowiecki.

HYMN | Gdy Wańkowicz chodził po poboju, zbierając materiały, pod Monte Cassino napisano już inne słowa: piosenki, która jeszcze bardziej niż książka przyczyniła się do powstania i utrwalenia legendy tej bitwy.

„Czerwone maki na Monte Cassino” powstała w nocy z 17 na 18 maja, jeszcze przed zajęciem klasztoru. Autorem słów był Feliks Konarski (pseudonim Ref-Ren), muzyk, poeta i żołnierz 2. Korpusu. Później podkreślał, że opisał, co widział – zbocza wzgórz rzeczywiście w maju pokrywa morze maków.

Muzykę napisał Alfred Schütz, również służący u Andersa. „Przy czytaniu pierwszej zwrotki przeszły mnie ciarki. Nie napisałem żadnej nuty, zaśpiewa-

łem to z głowy. Nie mogłem wyobrazić sobie innej melodii, to ta właśnie pasowała” – wspominał kompozytor chwilę, gdy w środku nocy Konarski przyniósł mu tekst.

Już 20 maja piosenkę usłyszeli żołnierze – improwizowany koncert odbył się u stóp wzgórza.

Anders uważał ponoć, że „Czerwone maki” się nie przyjmą. Tymczasem szybko stały się nie tylko pieśnią żołnierską, ale niemal hymnem niepodległościowym. A po wojnie także pieśnią żałobną tamtego pokolenia, oplakującego stracone nadzieje na wolną Polskę.

Jej ładunek emocjonalny i symboliczny był olbrzymi. – Komuniści o Monte Cassino najchętniej by w ogóle nie mówili, ale popularność piosenki i samej legendy były tak duże, że tych emocji nie dało się ukryć – mówi dr Opulski. – W PRL zmieniono jednak pewien fragment pieśni. W oryginale jest „jak ci spod Rokity sprzed lat”, co zostało zamienione na „spod Raclawic”.

Bitwa pod Rokitną, szarża ułanów Legionów Polskich podczas I wojny światowej, w PRL także nie pasowała do kreowanego negatywnego obrazu Polski międzywojennej. Opulski: – Polska zwana „ludową” miała powstać na gruzach wyobrażeń o II RP.

SENS | Przez pewien czas piosenka uchodziła w PRL za zakazaną, żyła jednak własnym życiem; stała się symbolem. Przy niej się nie tańczyło (co przypominano w latach 80. w serialu „Dom”, gdy można było pokazać już więcej).



Flagi polska i brytyjska na szczycie ruin opactwa na Monte Cassino, maj 1944 r.

Najsłynniejszą chyba filmową sceną, w której ją wykorzystano, jest ta z „Pociągu i diamentu” Wajdy. Bohater tego filmu z 1958 r., Maciek Chełmicki (grany przez Zbyszka Cybulskiego), przy palącym się w kieliszkach spirytusie rozmawia z kolegą z konspiracji o tych, którzy zginęli, i o sensie tych śmierci. W tle zaś piosenkarka na hotelowej scenie śpiewa „Czerwone maki”:

*Musicie, musicie, musicie
Za kark wziąć i strącić go z chmur.*

Słowa nadają tej przejmującej scenie dodatkowy wymiar.

– Siła pieśni o Monte Cassino i całej legendy wynika również z tego, że one się idealnie wpisują w mit martyrologiczny Polaków. W hasło „Za wolność naszą i waszą”, w opowieści o męstwie polskiego żołnierza. Jak ci spod Somosierry, Rokitny czy Raclawic, jesteście tylko elementem historii, która się toczy od wieków jak ten walec, miażdżąc jednostki, i niekoniecznie w tym kierunku, w którym byśmy sobie życzyli – mówi Rafał Opulski.

I dodaje: – Ci, którzy walczyli pod Monte Cassino, potrzebowali nadać sens swemu wysiłkowi. To bardzo ludzkie: poświęcili krew, zdrowie, rodziny; prawie tysiąc z nich – życie, jak ojciec mojego wuja, 30-letni kapral Jan Homik, który tam zginął. A potem ci, co przeżyli, żyli na obczyźnie, często w trudnych warunkach. Nie wrócili do Polski, która – wbrew temu, co głosili komunistyczni propagandyści – nie była ani wolna, ani demokratyczna.

Legendę Monte Cassino podjęli ostatnio na nowo twórcy filmu „Czerwone maki” – pierwszego polskiego filmu fabularnego o tej bitwie, który właśnie wchodzi na ekrany kin.

WIERSZ | Władysław Balon – ten, który uważał, że bitwa o Monte Cassino była bitwą o Polskę – także zmarł na obczyźnie: w Londynie w 1996 r. Pochodził z Białej, wychował się w Wadowicach. Pozostawił spisane wspomnienia i trochę wierszy.

W tym zatytułowanym „Ze szkolnymi przyjaciółmi” pisze o drodze, Tatrach, orłach i turniach. Oraz innych drogach: na afrykańskiej pustyni koło Tobruku i we Włoszech. Wszystkie miały prowadzić do domu:

*Jantoś Dusa prowadził,
orle piórko nasadził
na kłobucek karpacki...
Beł ci baca to kwacki... (...)
Ciengiem śli my do domu,
ani wadzący ta komu,
bez te rzyki i łany,
jazełk przysięł tam, kany
jus nie wielu iść kciało.
Nos się sieła zebrali
i godoli nom tedy
ze Cassino, od biydy
przehipniemy łozpendem..
Wnetki doma jus bedem!
Troche nos tam ostało
kie się chodnik rombało.
Corny Curuś Bachleda,
skoda chłopu, wej skoda...
Teli juhas, joz grzolo*

*kie mu ocko się śmiało.
Potym śli my Ankonom,
Linioł Gotów, zburzonom...
Japeniny, jus w śnigu
przeskocylim, hej w biygu!
Wiera, my się zwinęli
i zabrali co kcieli!
Bili my się do końca (...)*

DOM | Ci żołnierze Andersa, którzy zdecydowali się wrócić do pojałtańskiej Polski, trafiali pod obserwację bezpieki. – Należeli do najważniejszych wrogów komunistów w pierwszym okresie rządów, oskarżano ich o przygotowanie zamachu stanu, prowadzenie dostatniego trybu życia, odmowę walki z Niemcami, nawet o współpracę z Trzecią Rzeszą – Rafał Opulski wymienia zarzuty stawiane w PRL dowódcom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. – Z czasem ten negatywny obraz trochę zelżał, komuniści starali się też oddzielić obraz żołnierzy od oficerów, no i tego „arcywroga” Andersa.

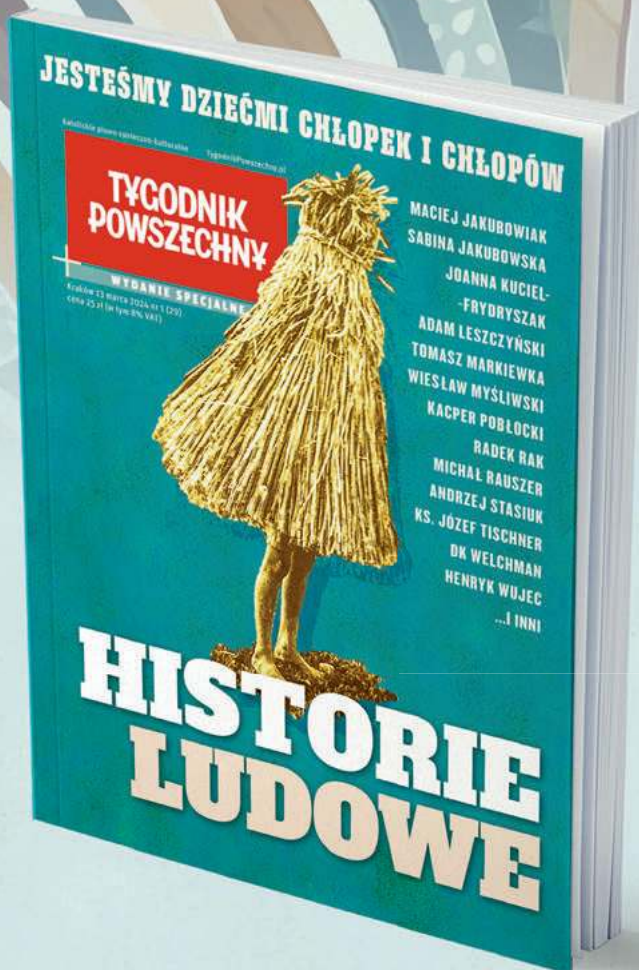
W 1987 r. odbyła się nawet rocznicowa uroczystość na Monte Cassino, w której brał udział ówczesny pierwszy sekretarz PZPR Wojciech Jaruzelski. – Ale nawet wtedy na zdjęciach unikano pokazywania grobu Andersa – mówi Opulski.

Wielu żołnierzy Andersa zostało po 1945 r. na Zachodzie. Co ciekawe, wielu z nich pozostawiło po sobie ślad w swoich społecznościach, w obcym przecież otoczeniu. A niekiedy – także swoją własną indywidualną legendę. Jak Ludwik Jaszczur, wówczas nastoletni żołnierz kompanii logistycznej, a także jego towarzysz broni niedźwiedź Wojtek (wcześniej przyszyty przez żołnierzy, jeszcze na Bliskim Wschodzie, i oswojony).

Po wojnie obaj trafili do szkockiego Edynburga. „Nosiliśmy pociski. Niedźwiedź Wojtek nam w tym pomagał” – opowiadał Jaszczur w szkockiej prasie o walkach we Włoszech. Mówił z uśmiechem, że „Wojtek pomógł nam wygrać II wojnę światową”.

Niedźwiedź zamieszkał w edynburskim zoo i tam umarł w 1963 r. Dziś w stolicy Szkocji ma swój pomnik. Ludwik Jaszczur zmarł w lutym 2023 r. w wieku 95 lat.

Ani niedźwiedź, ani żołnierz do domu nie wrócili. ©© PATRYCJA BUKALSKA



ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas

NOWE WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” JUŻ W SPRZEDAŻY.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

„Historie ludowe”, nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”, to opowieść o naszych chłopskich korzeniach. Co możemy w nich odkryć? Jak zmieniają naszą wspólnotę tu i teraz? I dlaczego dopiero dziś sobie o nich przypominamy? Na te i inne pytania spróbują odpowiedzieć **SABINA JAKUBOWSKA** i **RADEK RAK**.

Zapraszamy na dyskusję w piątek, 5 kwietnia 2024 r., o godzinie 17.00 w Muzeum Etnograficznym w Krakowie przy ul. Krakowskiej 46, którą poprowadzi **MICHAŁ OKOŃSKI**. Godzinę przed spotkaniem (czyli o 16.00) zapraszamy na oprowadzanie kuratorskie po wystawie „CZAS NAŚWIETLANIA / CZAS WYWOŁYWANIA. Fotografia etnograficzna z Małopolski na przełomie XIX i XX wieku” (bilety według cennika), gdzie znaleźć można ponad sto siedemdziesiąt fotografii wybranych z najstarszych zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Kilka z nich zamieszczamy także w „Historiach ludowych”.



MUZEUM
ETNOGRAFICZNE
W KRAKOWIE

Instytucja Kultury
Województwa
Małopolskiego



MAŁOPOLSKA



SABINA JAKUBOWSKA: Według wielu psychologów i terapeutów nasi przodkowie przekazują nam więcej, niż tego jesteśmy świadomi. Są w nas, bo mamy epigenetyczną pamięć ich przeżyć. Nawet nasze zdolności mogą być śladem ich obecności: jestem doułą i gdy wyszłam z pierwszego porodu, w którym towarzyszyłam, czułam, jakbym to robiła „od zawsze”.



RADEK RAK: Miałem to szczęście, że w dzieciństwie załapałem się na końcówkę tradycji ustnych opowieści. Wieczorami ludzie spotykali się w domach, przede wszystkim starsi, i opowiadali, jak to drzewiej bywało. Mówili głównie o wojnie i PRL-u, ale czasem pojawiały się również historie dawniejsze, a w nich wątek rabacji powracał nieustannie.

ELIZA

Kacka: Święci na pierwszej zmianie



JAZDA DO PRZYJACIÓŁKI NA PIASKI. CZEKAM na windę, bo naste piętro. Obok mnie warują dwaj goście po dwudziestce. „Mam poznać jej starą”. „O! Jak?”. „Na święconce”. „Co?”. „No, Monia ją przyprowadzi w południe i ja mam też być. Przypadkiem”. „Wie, że jesteście razem?”. „Nie. Powiemy później. Chodzi o pierwsze wrażenie”. „»Bo wiesz, mamusiu, ten facet z koszyczkiem to mój facet«”. „No co, źle?”. „Niezbyst seksi”. „Słuchaj, nie wiesz, co pociąga matki”. „Nie wiem”. „Dobry syn, co idzie z mamą na święconkę”. „To swoją też zamierzasz zorganizować?”. „Jak doczeka do południa. Zawsze święci na pierwszej zmianie”. „Ona już wie?”. „Co ty! Nie!”. „No, ale mówiłeś, że matka truje, że masz mieć rodzinę”. „No tak. Ale dziewczyny to nie”.

DZIEWCZYNA PO DWUDZIESTCE W AUTOBUSIE 119, W TELEFON: „Pójdę w sobotę, mama, nie męcz”. Pauza. „Oj, w piątek nie, bo będę musiała w sobotę znowu, wiesz, jak jest. A do niedzieli jakoś dociągnę”. Pauza. „Oj, dobra, niedługo się pobierzemy, to się zmieni sytuacja”. Pauza. „Nie pójdę w naszym kościele, bo mnie wszyscy znają. Poszukam na mieście”. Pauza. „Co z tego, że tajemnica, ja się wstydzę”. Pauza. „W piątek mamy party w pracy, dopiero w sobotę pójdę”. Pauza. „Słuchaj, nie histeryzuj, wiem, że to Wielki Piątek, postaram się nie pić. Jakby co, wszystko powiem w sobotę, wiadomo”. Pauza. Dłuższy monolog w słuchawce. Dziewczyna na desperacji: „Boże, słuchaj, czy ty musisz moją spowiedź wałkować w autobusie?!”.
DZIEWCZYNA PO DWUDZIESTCE W AUTOBUSIE 503: „A TEN TWÓJ BYŁY to się w ogóle kontaktuje z córką?”. „Rzadko, wiesz, wysłał jej ostatnio wiadomość, że ją zepsułam”. „Ty?!”. „No ja. A on umywa ręce, bo nic się już nie da naprawić”. „Kiedy ostatnio się widzieli?”. „Na jego urodzinach”. „Ale przecież to Majka ostatnio miała urodziny!”. „Tak, ale on uważa, że celebrowanie jego urodzin to wyraz szacunku dla ojca”. „Matko, a dziecku nie może okazać szacunku?”. „Nie, dziecko się w ten sposób rozpущa”. „Ile on ma lat?”. „Czterdzieści trzy”. „Dobrze, że się rozwiodłaś”. „Nie dałby mi rozwodu, co ty”. „No to dobrze, że za niego nie wyszłaś”. „Niby tak. Ale teraz córce pisze, że musi korespondować z nieślubnym dzieckiem”. „Matko!”. „I że jej matka jest starą panną”. „A sam założył rodzinę?”. „Nie”.

STARUSZKOWIE NA ŁAWCE W PARKU MORSKIE OKO: „NO I CO, doczekałaś ze mną wiosny?”. „Doczekałam”. „A ten twój Jó-

zek już od pięciu lat nie żyje”. „Oj, przestań mi go już wspominać, no naprawdę”. „Chciałaś za niego iść”. „Ale poznałam ciebie. A ty go wystraszyłeś”. „A jak!”. „I dałeś mu w gębę”. „Słuchaj, mamy taki staż, że miałem prawo dać mu wtedy w gębę, no nie?”.

KOLEJKA PRZY WARZYWNIAKU. DWIE PO SZEŚCZDZIESIĄTCE. „Zaprosiłam ich na niedzielę”. „Ale nie lubisz Marysi przecież...”. „Nie lubię, ale zawsze za dużo żarcia zostaje”. „No wiem, wiem”. „Ot tak ich nie zaproszę, ale tu trzeba wypośrodkować. Niedziela świąteczna może być, wybredni nie są”. „Jasne”. „Wiesz, niedługo ruszy sprawa spadkowa, stary umiera, będą dwa mieszkania do podziału”. „Wy też w tym możecie coś mieć?”. „Ja to Panu Bogu zostawiam”. „Wiadomo, wiadomo”. „Ale też bez przesady, rozumiesz, jajeczko musi być, to jedno”. „Jasne”. „Ale i zauważyłam, że oni kombinują. Przy spadku”. „To trzymaj!”. „Ja ich tym jajeczkiem przetrzymam. I zobaczymy. Trzeba wypośrodkować”.

KOLEŻANKA PODESŁAŁA MI ANONS NASTĘPUJĄCY: „SZANOWNI Państwo, nasza Wspólnota Mieszkaniowa opiera się na wzajemności. Niestety nie wszyscy to rozumieją. Tyczy się to zarówno segregacji śmieci, jak również przyjmowania osób obcych po godzinie 22. Osoby obce podpadają tym samym kryteriom”. Osoba obca rankiem dopisała: „Miałam wątpliwość co do udziału plastiku względem metalu, ale po naradzie z Państwa najemcą postanowiłam zeżłomować się w kuble z plastikiem. Mam nadzieję, że nie utrudni to Państwu życia ani polityki złomu. Z życzeniami udanej selekcji – element nadprogramowy”.

ODWIEDZIŁAM LIDZBARK WARMIŃSKI, NA CHWILĘ. TECHNIK weterynaryjny zauważył ruch na naszym martwym podwórku, zajechał. „Jest pan doktor?” – spytał o ojca. „Nie – powiedziałam – jest teraz w Warszawie”. „O, doktor światowy”. „Leczy się”. „Ja chciałem o kłatkach pogadać”. „Kłatkach z psami?”. „Tak, bo wie pani, mnie zarzucano, że wiele z tych psów umarło bez sensu”. Pamiętam, brudne klatki, ciasne, jakby miał się tam zmieścić gryzoń w malignie, a nie pies. Klatki śmierdzące strachem, odchodami, mokrą sierścią. Klatki, z których z matką próbowałyśmy wyciągnąć psy podejrzewane o wściekliznę, wyjące po nocach. „Pani Elizo, one stanowiły zagrożenie”. „Dla kogo?”. „Zagrożenie. Tak mi powiedziano”. „Wie pan przecież, żeśmy te psy wyprowadzali na wolność”. „Tak, pani Elizo. Ale to było na państwa ryzyko. Miałem w raporcie, że były potencjalnie wściekłe”. „W raporcie wściekła jestem, od kiedy tu mieszkam”. Spojrzał się dziwnie.

SPYTAŁAM CÓRKĘ, RUDĄ, O KLATKI Z PSAMI. GDY MIESZKAŁYŚMY na terenie lecznicy weterynaryjnej, proceder wygasał, mogła zapamiętać ostatnich przetrzymywanych, nie zauważyłam, by się tym przejęła. „Pamiętasz klatki?”. „Tak”. „Stały puste”. „Nie. Jedna nie”. „Kto tam mieszkał”. „Rudy piesek”. „Nie powiedziałaś mi”. Ech, to był czas, gdy nie mówiła. „Co się z nim stało?”. „Ten duży pan powiedział, że pieskowi chce się spać. I trzeba mu pomóc”. Co powiedzieć. „To był syn lisa”. „Tak myślisz? Rudy był?”. „Nieważne. Lisy się zabijają”. ©

PIONIERZY

Jaskinie krasowe na wzgórzach Atapuerki w północnej Hiszpanii kryją odpowiedzi na wiele pytań: kim byli pierwsi Europejczycy, dlaczego mamy płaskie twarze i jaką rolę w naszej ewolucji odegrały przemoc oraz kanibalizm?

ŁUKASZ KWIATEK

NAJSTARSZĄ ZNANĄ EUROPEJKĄ JEST Pink, przez miejscowych nazywana Rosą. Nie wygląda już zbyt dobrze, ale trudno się dziwić – wstępne datowania wskazują, że ma ok. 1,4 mln lat. Wszystkie, co po niej zostało, to kilka fragmentów skamieniałości lewej części twarzy, które hiszpańscy paleoantropolodzy wydobyli w 2022 r. z miejsca będącego niegdyś częścią kompleksu jaskiń (studni) krasowych, wydrążonych przez podziemną rzekę w wapiennej skale. To konkretne stanowisko znane jest pod nazwą Sima del Elefante – co można przetłumaczyć jako Jaskinia (lub Studnia) Słonia. Jak wyjaśnia w książce „Exploradores” („Odkrywczy”) José María Bermúdez de Castro, wieloletni badacz tego miejsca, wśród licznych skamieniałości, które stąd wydobyto, był co najmniej jeden ząb należący do młodego przedstawiciela prehistorycznych trąbowców.

Ta dawna jaskinia równie dobrze mogłaby nosić nazwę Jaskini Nosorożca, Konia, Wilka, Rysia czy Hipopotama – i wielu gatunków gryzoni czy gadów. Większość szczątków zwierząt zapewne spłynęła do Sima del Elefante wraz z wodą lub zawlekły je tam różne drapieżniki, które urządzały sobie w tym miejscu legowisko. Mogło ono też funkcjonować jak naturalna pułapka, o głębokości dochodzącej w szczytowym okresie do 25 metrów – dla wielu osobników wizyta w tej jaskini musiała być ostatnią

wyprawą w życiu. Jeśli nasi odlegli przodkowie zapuszczali się w głąb Sima del Elefante z własnej woli, to z pewnością musieli poruszać się ostrożnie, ale nagroda była warta wysiłku – to niezbyt przystępne miejsce było dla nich niezawodnym schronieniem.

Podobnie zresztą jak cała okolica. Sima del Elefante znajduje się w niewielkiej górzystej formacji Sierra de Atapuerca nieopodal Burgos, na północy Hiszpanii. Na południe i zachód stąd rozciąga się wielki płaskowyż, a na północy przebiega naturalny korytarz, który łączy ten płaskowyż z malowniczą doliną rzeki Ebro. Przez ostatnie 1,5 mln lat wiele zwierząt żyło, wędrowało i umierało w tej okolicy, dostarczając prehistorycznym ludziom okazji do (być może) polowań lub (pewnie częstszego) padlinożerstwa. Pozyskane przez paleoantropologów dane z Sima del Elefante, a także sąsiednich stanowisk, sugerują, że różne grupy ludzi mogły (nie)mal) nieprzerwanie żyć na wzgórzach Atapuerki od czasów Pink aż do pojawienia się rolnictwa, kiedy większego sensu nabrało przeniesienie się na równinę.

Kim byli mieszkańcy tych wzgórz? Jak najstarsi z nich dostali się do Europy? Jak żyli? Jak blisko byli z nami spokrewnieni? Choć nie mamy jeszcze zadawających odpowiedzi na wszystkie z tych pytań, to dzięki odkryciom dokonany w ostatnich latach możemy przynajmniej ucywilizować nasze spekulacje.





Zapóźniona technologia

Według opowieści powtarzanej przez tamtejszych badaczy i badaczki oprowadzających grupki turystów po wzgórzach Atapuerki po zakończeniu sezonu wykopalisk, Pink zawdzięcza swoje imię zespołowi Pink Floyd, którego muzyka towarzyszyła paleoantropologom podczas żmudnych prac ziemnych. Nie mamy rzecz jasna pojęcia, czy Pink/Rosa zasadnie nosi kobiece imię. Wiemy za to, że nie była jedyną ludzką lokatorką tej dawnej jaskini. W latach 2007-2009 w warstwach osadowych liczących 1,2-1,3 mln lat znaleziono tam kawałek ludzkiej szczęki z kilkoma paskudnie popsutymi zębami, a także jeden z paliczków i niewielki fragment kości ramiennej. Żadna z tych skamieniałości, wliczając Pink, nie doczekała się klasyfikacji gatunkowej – mówi się w ich przypadku o „niezidentyfikowanym przedstawicielu rodzaju ludzkiego”. W każdej chwili może się to jednak zmienić, jeśli tylko wykopalisko zrodzi bardziej kompletny szkielet. Prace trwają, a paleoantropodzy dotarli już do starszej warstwy osadowej od tej, w której odnaleziono Pink.

Jeśli pojawią się kolejne skamieniałości, to będzie je z czym porównywać. W odległości jakichś 200 metrów od Sima del Elefante znajduje się inna słynna lokalizacja – Gran Dolina. To też kiedyś była jaskinia, głęboka na 18 metrów, w której w nagromadzonych z czasem osadach zespół kierowany przez wspomnianego Joségo Marię Bermúdeza de Castro oraz Juana Luisa Arsuage odnalazł w 1994 r. nietypowe ludzkie skamieniałości. Utworzono dla nich nazwę gatunkową *Homo antecessor* – „człowiek pionier”. Dzisiaj pojawienie się tego gatunku datuje się na ok. 800-900 tys. lat temu. Komputerowe symulacje sugerują, że objętość mózgu *H. antecessor* mogła wynosić ok. jednego litra, co jest całkiem blisko rozmiarów typowych dla nas (1,2-1,4 litra).

Najbardziej charakterystyczną cechą „człowieka pioniera” jest całkowicie spłaszczona twarz – z tej perspektywy przedstawiciele tego gatunku byli bardziej podobni do nas niż inne, nawet młodsze populacje człowieka obdarzone

Rekonstrukcja *Homo antecessor*, którego skamieniałości zostały znalezione na stanowisku Gran Dolina (Sierra de Atapuerca). Muzeum Ewolucji Człowieka, Burgos

→ jeszcze większymi mózgami – jak choćby neandertalczyki. Nie wiadomo, czy ta nietypowo nowoczesna twarz *H. antecessor* mówi coś o jego wyjątkowo bliskim pokrewieństwie z *H. sapiens*, czy raczej ilustruje fakt, że ewolucja różnych grup ludzi przebiegała zróżnicowanymi ścieżkami. Już w tytule raportu z pierwszych badań nad *H. antecessor*, opublikowanego w „Science” w 1997 r., autorzy zawarli hipotezę, że ten człowiek mógł być bezpośrednim przodkiem neandertalczyków i nas. Dzisiaj znacznie częściej traktuje się go jednak jako boczną linię ewolucyjną – czyli kuzynów populacji (opisywanej jako *H. erectus* lub *H. heidelbergensis*), która dała początek żyjącym głównie w Europie neandertalczykom, ewoluującym w Afryce *H. sapiens* oraz występującym w tym samym czasie w Azji denisowianom.

Gran Dolina była miejscem, gdzie przedstawiciele *H. antecessor* ucztowali, najpewniej na zwierzętach, które tam przypadkiem wpadły lub zostały przez nich zagonione. Na znalezionych tam kościach zachowały się ślady nacięć wykonanych kamiennymi narzędziami. Jednak, co zaskakujące, nie były to narzędzia zbyt zaawansowane. W Afryce ta sama prymitywna technika obróbki kamienia (tzw. kultura olduwajska) pojawiła się już ok. 3 mln lat temu. A do narodzin bardziej nowoczesnej i złożonej kultury (aszelskiej), z narzędziami obrabianymi z dwóch stron, i przez to bardziej funkcjonalnymi, doszło w Afryce prawie 1,8 mln lat temu. *H. antecessor* posługiwał się więc na północy Hiszpanii technologią, która na macierzystym kontynencie dla naszego rodzaju mogła być uznawana za zapóźnioną już od miliona lat.

Dwie drogi

Najbardziej narzucająca się hipoteza głosi, że populacja sprzed 1,4 mln lat, którą reprezentuje Pink, stanowi przodków *H. antecessor*. W teorii nie musiało tak jednak być – 300-400 tys. lat, jakie dzielą skamieniałości z Sima del Elefante od tych z Gran Dolina, to wystarczająco dużo czasu, by jedną grupę ludzi zastąpiła inna, przybyła z dalszych terenów. Od pierwszych znalezisk paleoantropologicznych w Sierra de Atapuerca trwają zresztą spory o to, kiedy i który przywędrowali najstarsi mieszkańcy tych wzgórz. W grę wchodzić mogą dwie drogi.



Powyżej: Pink – najstarsze znane skamieniałości człowieka z Europy (1,4 mln lat, Sima del Elefante)

Poniżej: Miednica Elvis (ang. Pelvis Elvis), znaleziona w Sima de Los Huesos, reprezentuje wczesnych neandertalczyków (wiek: ok. 0,5 mln lat)



Krótsza wiodłaby z północnej Afryki przez cieśninę gibraltarską. Nie mamy jednak pojęcia, czy przynajmniej 1,4 mln lat temu niezbyt zaawansowani technologicznie ludzie mogli pokonać ten kilkusetkilometrowy dystans na łodziach albo tratwach. Wiemy, że ok. 1,2-1,3 mln lat temu ludzie przechadzali się po południowych regionach Półwyspu Iberyjskiego – zostały po nich narzędzia (oraz jeden ząb trzonowy), znalezione na stanowisku Orce w Andaluzji. Nie muszą one jednak przemawiać za scenariuszem podróży przez Gibraltar – równie dobrze to jacyś potomkowie grupy, do której należała Pink, mogli przybyć do Orce z północy.

Druga potencjalna trasa jest znacznie dłuższa – ale to ona wydaje się bardziej prawdopodobna. Wiedzie z Afryki przez Bliski Wschód i Azję Mniejszą lub Kaukaz, a potem całą Europę. Jeśli pierwsi

w dziejach kolonizatorzy Europy faktycznie dotarli do Hiszpanii ze wschodu, to musieliby po drodze zostawić ślady rozsiane po całym kontynencie.

Wygląda na to, że te ślady zaczynamy odkrywać. Stanowisko archeologiczne w Korolewie, w południowo-zachodniej Ukrainie, znane jest od lat 70. XX w., ale dopiero w marcu tego roku ukazał się raport z badania przeprowadzonego przez Romana Garbę z Czeskiej Akademii Nauk i współpracowników, w którym precyzyjnie datowano najstarsze znalezione w tym miejscu kamienne narzędzia. Wykonano je prostą techniką (olduwajską) ok. 1,3-1,5 mln lat temu. Analizy pyłków roślin sugerują, że w tym regionie było wówczas wyjątkowo ciepło – następny taki okres ocieplenia klimatu mógł przypaść dopiero setki tysięcy lat później.

Autorzy opublikowanej w „Nature” pracy kreślą następujący scenariusz – gdy tylko klimat na to pozwolił i pokrywające Europę lody wycofały się na północ, *H. erectus*, znany wówczas z występowania w Afryce i Azji, wszedł do Europy. Ok. 1,4 mln lat temu jego zasięg obejmował przynajmniej Ukrainę, a po jakichś stu-dwustu tysiącach lat dotarł do południowej Francji (w jaskini Vallonnet znaleziono kamienne narzędzia sprzed ok. 1,2 mln lat) i północnej Hiszpanii.

Garba i współpracownicy piszą, że „wedle ich najlepszej wiedzy” w Europie nie ma starszego niż Korolewo stanowiska zawierającego ślady działalności człowieka (w tym przypadku wyłącznie narzędzia i ślady ich użycia), co jest subtelnym wybiegiem. W swojej pracy nie wspominają o Pink, tylko o tych młodszych skamieniałościach z Sima del Elefante (kawałku szczęki z zepsutymi zębami i paliczku). Mogli to jednak zrobić, ponieważ Pink nie doczekała się jeszcze stosownej publikacji naukowej. Gdy taka powstanie – zapewne wkrótce – qwAtapuerca znowu może stać się oficjalnie najstarszym europejskim stanowiskiem, a wtedy czas zaludnienia Europy trzeba będzie nieco przesunąć wstecz.

Za „drogą wschodnią” przemawiają także badania prowadzone przez paleoantropologów z Muzeum Ewolucji Człowieka w Burgos. María Martínón-Torres porównała zęby znalezione na stanowiskach Atapuerki z zębami prehistorycznych ludzi żyjących w Azji i Afryce – i doszła do wniosku, że tym europejskim

DOMENA PUBLICZNA

LUKASZ KWIATEK

zębom znacznie bliżej do azjatyckich niż afrykańskich. Przy czym w tych analizach nie brano pod uwagę najstarszych okazów z Atapuerki, dlatego nie można wciąż wykluczyć możliwości, że grupa reprezentowana przez Pink miała inne pochodzenie niż *H. antecessor* – i że pierwsi mieszkańcy Atapuerki przybyli jednak prosto z Afryki, a dopiero później zastąpili ich potomkowie migrantów z Azji.

Przemoc i kanibalizm

Tym, co cechuje skamieniałości z Atapuerki pochodzące z różnych okresów, są ślady nacięć na kościach – także tych ludzkich. Nie ma co do tego wątpliwości w przypadku skamieniałości z Gran Dolina. Takie same sugestie wyciągano w stosunku do okazów z Sima del Elefante (śladow doszukano się na kości ramiennej), ale by ten przypadek potwierdzić, potrzeba zebrać więcej danych. W każdym razie hiszpańscy badacze piszą o tym, że kanibalizm był kulturowym dziedzictwem tych ludzi przez dziesiątki, a może setki tysięcy lat. Przypuszczają, że nie chodziło wyłącznie o kalorie, bo w zasobnych w zwierzyne terenach ludzie nie powinni głodować – mówimy raczej o zachowaniu posiadającym większe znaczenie społeczne. Kanibalizm mógł być dla pradawnych mieszkańców Atapuerki np. czynnikiem spajającym grupę i podkreślającym odmienną „swoich” i „obcych”. Spora część szczątków z Gran Doliny ze śladami kanibalizmu należała do dzieci. Badacze przypuszczają, że padły one ofiarą międzyplemiennej rywalizacji, bo były najłatwiejszym celem ataku – a potem ich ciała zostały skonsumowane.

Być może kanibalizm jest zresztą niedocenianym zachowaniem w naszej ewolucyjnej historii. W czerwcu zeszłego roku Briana Pobiner i współpracownicy opisali w „Scientific Reports” ślady po cięciach wykonanych kamieniem na jednej ludzkiej kości liczącej 1,45 mln lat, znalezionej w Kenii. W tym przypadku ofiara nie musiała jednak zginąć z rąk innego człowieka, bo na tej samej kości widnieją także ślady zębów dużego drapieżnika. Ale jeśli do zjadania przez ludzi innych ludzi dochodziło na całym świecie, w długim okresie, to może także kanibalizm –

a nie tylko polowania na zwierzęta, zbieranie owoców i owadów czy coraz sprawniejsza technologia wytwarzania narzędzi – odegrał jakąś rolę w tym, że ostatecznie staliśmy się tym, kim jesteśmy...

Na wzgórzach Atapuerki jest jeszcze jedna warta uwagi lokalizacja, bodaj najsłynniejsza z nich wszystkich. Sima de los Huesos (Jaskinia Kości) to głęboki dół, do którego ok. 430 tys. lat temu zrzucono ciała ok. 30 osobników, klasyfikowanych dzisiaj jako wcześni neandertalczyki. Z pewnością mówimy o innej grupie niż starszy o 300-400 tys. lat *H. antecessor*, bo ludzie z Sima de los Huesos dysponowali już bardziej zaawansowaną technologią i nie mieli tak płaskich twarzy. W przypadku tych skamieniałości nie znaleziono dowodów na kanibalizm, ale wiele świadczy o tym, że przynajmniej część z tych ludzi padła ofiarami przemocy. Na jednej z czaszek znajdują się dwa położone blisko siebie otwory. Najprawdopodobniej powstały po tym, jak ktoś z dużą siłą uderzył młodego mężczyznę w głowę kamieniem lub kawałkiem drewna. Rany musiały być śmiertelne.

Nie znamy żadnych starszych kości, w przypadku których moglibyśmy z równie dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że dokumentują zabójstwo. Skamieniałości z Sima de los Huesos mogą być też najstarszym świadectwem czegoś, co antropolodzy nazywają „celowym pozbywaniem się zwłok”. Trudno inaczej wyjaśnić tak duże nagromadzenie skamieniałości w jednym miejscu. Być może doszło tam do jakiejś prehistorycznej bitwy dwóch plemion, a potem zwłoki ze-pchnięto do dołu, by nie zanieczyszczały terenu. Choć ten akt mógł być także przejawem jakiegoś rytuału pogrzebowego.

Kim jesteśmy?

O tym, że Atapuerka jest miejscem zawierającym skamieniałości, wiadano od dawna. Okoliczni mieszkańcy już w czasach nowożytnych mieli się tam wyprawać po okazy, które zdobyłyby ich kolekcje. Pierwsze systematyczne badanie zorganizowano w XIX w., ale do przełomu doszło w kolejnym stuleciu, gdy zbudowano w tym miejscu linię kolejową na potrzeby rozwijającego się górnictwa.

Pech – a może szczęśliwy traf – chciał, że wykonany przekop skalny odsłonił i uszkodził tamtejsze jaskinie, przy okazji zapewne zniszczona została część zalegających w nich okazów. Współcześnie te miejsca nie przypominają tego, czym były dla naszych przodków – obserwować możemy pionowy przekrój, z widocznymi kolejnymi warstwami osadowymi, przez które archeolodzy mozolnie się przekopują, powoli poszerzając obszary poszukiwań. W większości z tych lokalizacji pracy dla badaczy jest jeszcze na całe dziesięciolecie.

José María Bermúdez de Castro lubi powtarzać, że Europa jest „trzecim światem naszej prehistorii” – bo zarówno nasz cały rodzaj, jak i nasz gatunek narodził się w Afryce. Powinien dodawać, że stolicą tego trzeciego świata jest Atapuerca. Ze wszystkich stanowisk archeologicznych na wszystkich kontynentach pod kątem zasobności w skamieniałości naszych przodków z Atapuerką równać może się tylko „Kolebka Ludzkości” na południu RPA. W znajdujących się tam jaskiniach (rozrzuconych na sporym obszarze) paleoantropolodzy po raz pierwszy natrafili na skamieniałości takich gatunków jak *Australopithecus africanus*, *A. sediba*, *Paranthropus robustus* czy *H. naledi*.

Część skarbów Atapuerki podziwiać można w Muzeum Ewolucji Człowieka w Burgos, zbudowanym zresztą z powodu tych znalezisk, ale gdy byłem tam przed kilkoma miesiącami, trudno mi było pozbyć się wrażenia, że potencjał tego miejsca nie został wykorzystywany. Z Burgos można wybrać się do zapuszczonego już nieco Centrum Archeologii Eksperymentalnej (CAREX) pod Atapuercą – o ile komuś nie przeszkadza brak publicznej komunikacji – gdzie warto przetestować swoje umiejętności obróbki kamienia czy strzelania z prymitywnego łuku, a potem pojechać w zorganizowanej wycieczce na wykopaliska. Kursy z przewodnikami oferowane są jednak wyłącznie w języku hiszpańskim, nie zauważyłem też żadnych zagranicznych turystów. A w samym muzeum w Burgos w ciągu dwóch dni natknąłem się na ledwie kilka niepozornych szkolnych wycieczek.

Trudno nam będzie dogłębnie poznać naszą prehistorię, jeśli jako społeczeństwo nie zaprzyjaźnimy się bardziej z naszymi przodkami – i tym, co po nich zostało.

© PŁUKASZ KWIATEK

Świat da się naprawić. Zróbmy to wspólnie. Na**prawdę**

1,5%

[MISJA „TYGODNIKA”, FRAGMENTY]

Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat, zachęcając
do patrzenia na rzeczywistość
z różnych perspektyw.

Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną.

Ważny jest dla nas wzajemny szacunek
i otwartość – nie zamykamy się na
żadną ze stron dialogu.

Wierzimy, że świat da się naprawić.



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.

» KRS 0000 125 605

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 14/2024

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego



DAWID GROMADZKI / MATERIAŁY PRASOWE

Gala wręczenia Nagrody im. Kazaneckiego.

Białystok, klub Fama, 22 marca 2024 r.

Laureaci i nominowani z prezydentem T. Truskolaskim.

Od lewej: Jacek Świdziński, Katarzyna Ewa Zdanowicz, Elżbieta Michalska, prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, Justyna Kulikowska, Mikołaj Grynbeg, Karolina Kapusta, Joanna Łępicka.



Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie – wskazuje na niezwykle talenty literackie, jednocześnie otwiera przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od przeszło trzech dekad otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów są takie postacie jak Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek czy Andrzej Stasiuk.

W tym roku laureatami w kategorii „Najlepsza książka roku” zostali: Mikołaj Grynbeg za zbiór wywiadów „Jezus umarł w Polsce” i Justyna Kulikowska za tomik poetycki „Obóz zabaw”.

Natomiast statuetkę w kategorii „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku” – przyznaną od 2019 roku – prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski wręczył Joannie Łępickiej za tomik „Zeszyt ćwiczeń”.

LAUREACI W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

ROZMOWY NA GRANICY

MICHAŁ SOWIŃSKI

To, co działo się w ostatnich latach na granicy polsko-białoruskiej, wymyka się zbiorowej wyobraźni, nie jest więc łatwo znaleźć język, aby opisać te tragiczne wydarzenia (o ich zrozumieniu nie wspominając). Mikołaj Grynberg zdecydował się na formę być może najlepszą do tego zadania, czyli książkę z wywiadami. „Jezus umarł w Polsce” to dwadzieścia rozmów z ludźmi, którzy na miejscu bezpośrednio zetknęli się z tym największym kryzysem humanitarnym w historii III RP. Są to przede wszystkim działacze różnych organizacji pozarządowych, niosący doraźną pomoc ludziom marznącym i głodującym w lesie. To właśnie ich relacje są najbardziej drastyczne, bo pokazują ogrom ludzkiego cierpienia, szczególnie dzieci i osób starszych, którzy stali się zakładnikami brutalnej geopolityki. Białoruski reżim wykorzystał ich jako broń w wojnie hybrydowej z Zachodem bezwzględnie, cynicznie – i skutecznie, jak można wnosić po reakcji polskiego państwa i jego służb.

Książka Grynberga to lektura niełatwa, zawierająca w sobie wiele dramatycznych historii, ale jednocześnie podnosząca na duchu, bo pokazująca wielu bohaterów (choć sami tak nie chcą o sobie myśleć), którzy ratują nie tylko ludzi, ale też naszą zbiorową społeczną twarz. Bowiem jedną z rzeczy, które przebijają z tych rozmów ze szczególną mocą, jest kompletna niewydolność naszego państwa wobec, wydawałoby się, łatwego do rozwiązania w humanitarny sposób problemu. Wojna, jaką wypowiedziano zmarznętemu, głodnemu i wymagającym pomocy medycznej ludziom to etyczny skandal, ale też bezprecedensowy kryzys cywilizacyjny, który do tej pory nie został rozwiązany (a nawet nie zajęto się nim odpowiednio). Zarówno Grynberg, jak i jego rozmówcy często porównują (z zachowaniem odpowiednich proporcji) tę sytuację do czasów z II wojny światowej, gdy również garstka nielicznych bohaterów poświęcała i ryzykowała wiele, aby ratować innych. Co więcej, zdaniem autora ten problem – dziś intensywnie wypierany – już wkrótce powróci do nas ze zdwojoną siłą. Tym razem jednak zbiorową traumę fundujemy sobie na własne życzenie – i sami będziemy musieli się z niej rozliczyć.

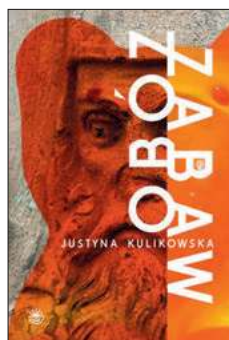


Mikołaj Grynberg
Jezus umarł w Polsce
Agora, Warszawa 2023

CZUJNOŚĆ

MICHAŁ SOWIŃSKI

Zaczyna się od Ezry Pounda i cytatu z wiersza „Ité”: „Idźcie, pieśni moje, szukajcie uznania młodych i niewyrozumiałych”, a potem: „Starajcie się wytrwać w twardym sofoklejskim świetle, / Przyjmując chętnie zadawane przez nie rany”. To wyraźne ustawienie tonu, ale też przestania współgra z dotychczasową twórczością poetki, niemniej w przypadku „Obozu zabaw” wybrzmiewa szczególnie mocno. W tym rozpisany na 34 części poemacie powraca wątek przemocy – zarówno tej fizycznej, jak i symbolicznej, związanej z płcią, ale też pochodzeniem czy klasą społeczną. Nie chodzi tu jednak o wylewanie żalów ani nawet o konkretne postulaty polityczne (przynajmniej nie bezpośrednio), ale raczej o performatywne rozegranie samej poezji, która zamienia się w „obóz zabaw”, swoisty poligon doświadczalny dla języka, ale też splecionego z nim doświadczenia. Równoległe z poematem rozwijana jest narracja w przypisach do poszczególnych wierszy – rodzaj komentarza w formie prozy poetyckiej: „Zapisuję. Wyciągnij dłoń, by w wynajętym mieszkaniu chwycić rozgrzany ochłap blasku, / bo oprócz słów nie posiadasz miejsca, w którym pozwolą ci się schować. / Zapisuję, bo wyłącznie rzeczy zapisane przestają niepokoić”. Poszczególne wiersze, często surowe, bardzo rytmiczne i pełne powtórzeń jawią się przez to w zupełnie innym świetle. Poniekąd jest to działanie terapeutyczne, aczkolwiek ważniejsza wydaje się tu wiara w pierwotną moc języka, jego zdolność do porządkowania czy wręcz okiełznania rzeczywistości. Nie jest to jednak akt metafizyczny – nie chodzi o nadawanie nazw rzeczom na wieczność, petryfikację w jakimś boskim porządku. „Stałość bywa zwodnicza, bardziej od losu na loterii, / bardziej od prądu Narwi, / potrafi ukotysać czujność patrzenia”. Stałość to wysublimowana (bo zamaskowana) forma przemocy, zdaje się mówić Kulikowska. Dlatego też „przyjmowanie ran”, do którego namawia Pound, jest pewną strategią – wystawieniem się na okrutną przygodność rzeczywistości. To cena, którą trzeba zapłacić, żeby zachować „czujność patrzenia”.



Justyna Kulikowska
Obóz zabaw
Wydawnictwo WBPiCAK,
Poznań 2023

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

WOJNA I POKÓJ

MICHAŁ SOWIŃSKI

W jednym z wywiadów Jacek Świdziński mówił wprost, że brakuje mu opowieści o PRL-u, które nie sprowadzałyby się do banalnej nostalgii albo czarno-białej, martyrologicznej tonacji. Choć sam wychował się na Mroźku i innych klasycznych satyrykach XX wieku, autor stroni także od estetyki parodystyczno-ironicznej. W jego historii o V Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbył się w Warszawie latem 1955 r., nie znajdziemy więc bareizmów ani łatwej krytyki socrealizmu. Wykorzystując swoją minimalistyczną kreskę (o Świdzińskim i jego stylu pisaliśmy w „TP” 12/2024), próbuje wczuć się, na ile to oczywiście możliwe dla kogoś, kto urodził się w 1988 r., w atmosferę ówczesnej Warszawy. Miasto mozolnie podnoszące się z wojennych zniszczeń, do którego przyjechało 150 tysięcy delegatów z całej Polski i 25 tysięcy obcokrajowców ze 114 państw, musiało faktycznie na dwa tygodnie zmienić się w scenę wielkiego, bezprecedensowego festiwalu.

Bohaterami są tu przede wszystkim ludzie młodzi, dla których spotkanie z rówieśnikami z całego świata to wydarzenie formacyjne, euforyczne wręcz, gdzie wszelkie bariery kulturowe i językowe zepchnięte zostają na dalszy plan.

Wszystko odbywa się ledwie 10 lat po zakończeniu wojny, pamięć o niej jest więc żywa i bolesna (szczególnie ciężko mają goście z Niemiec), a jednocześnie na horyzoncie mający kolejny, tym razem atomowy konflikt. Nic więc dziwnego, że Eros przeplata się tu nieustannie z Tanatosem, a nadzieja na lepszą przyszłość idzie w parze z lękami przed ostateczną anihilacją. Obrazu dopełniają toczące się w tle dyskusje o nowoczesnej sztuce (pojawia się między innymi Wojciech Fangor), a także zgryźliwe komentarze starszych mężczyzn siedzących w zakładzie fryzjerskim i porównujących nową rzeczywistość z tą przedwojenną.

Świdzińskiemu udało się stworzyć oryginalną historię (jednocześnie bardzo mocno osadzoną w dokumentach z epoki – przede wszystkim prasie), która mówi coś ciekawego o latach 50. w Polsce, idącego w poprzek utartym narracjom, ale też o samym Festiwalu i śladzie, jaki pozostawił w Polskiej kulturze.



Jacek Świdziński
Festiwal
Kultura Gniewu,
Warszawa 2023

CHRYZANTEMY

MICHAŁ SOWIŃSKI

Sejpak to ręcznie tkany materiał, misterna robota wykonywana na wąskich krosnach, najczęściej wetnianym wątkiem na lnianej osnowie. Jest charakterystyczna dla Podlasia, choć dziś coraz trudniej ją spotkać. Kluczowa jest w nim dwoistość, kontrast, jaki tworzą dwa różne materiały i kolory, które jednak ostatecznie łączą się w ściśle określone, geometryczne wzory. Katarzyna Zdanowicz i Elżbieta Michalska swój poetycki dwugłos postanowiły tak właśnie nazwać. W tym wypadku sejpaki utkane ze słów łączą z ich materialnymi pierwowzorami więcej niż tylko forma. Tkaniny, które powstawały w ten sposób, świadczyły o bogactwie rodziny – towarzyszyły też ich właścicielom w najważniejszych momentach życia, jak chrzciny, śluby czy pogrzeby. To rodzaj ornamentu, który w swojej abstrakcyjności pozornie wydaje się jedynie niepraktycznym dodatkiem, jednak poprzez swoją funkcję staje się niezwykle ważnym elementem o znaczeniu egzystencjalnym.

Tomik powstawał długo – jako swoista forma poetyckiej korespondencji, „wiersz za wiersz, list za list”, jak piszą same autorki. Ten dialog zbudowany jest poprzez liczne kontrasty: miasto-wieś, życie-śmierć, przeszłość-teraźniejszość, które jednak nie antagonizują się nawzajem. Wręcz przeciwnie, opowiadają o złożonym, wielowymiarowym doświadczeniu.

„Siedzę na walizce i czekam na taksówkę. / Chociaż czy warto czy wypada – / do dworca niedaleko i tobołek liche. / Sztuczna chryzantemo, przepraszam / że Ciebie się wstydziłam. / Teraz całuję na pożegnanie siwe skronie” pisze Michalska, a Zdanowska odpowiada jej: „niczego ci nie przyniosłam / – siebie / – a później nawet sztucznej chryzantemy / – trawa nieskoszona / – znicze wygaszone / dziś szukałam twojego grobu ale znowu się zgubiłam”. Rozmowa ciągnie się przez cały tomik, czasem nabiera tempa, kiedy indziej meandruje na boki – a wszystko po to, aby stworzyć wspólny, niepowtarzalny wzór, który będzie czymś więcej niż tylko ozdobą.



Katarzyna Zdanowicz
i Elżbieta Michalska
Sejpak
Fundacja Sąsiedzi,
Złotoria – Katowice 2023

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 14/2024
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
NA OKŁADCE: OGRÓD I PAŁAC BRANICKICH W BIAŁYMSTOKU
FOT: DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK



DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY
Z URZĘDEM MIEJSKIM W BIAŁYMSTOKU

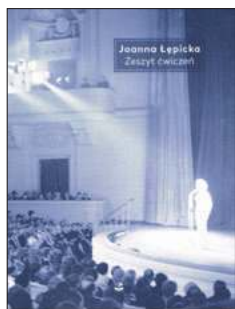
NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

ĆWICZENIA

KINGA DAWIDOWICZ

„sarna wie, co to życie, ale nie ja /
tratwa wie, co to życie, ale nie ja / choć
słowa są słabe, biją na oślep / i ten tekst
żyje sam” – pierwsze wersy „Zeszytu
ćwiczeń” Joanny Łepickiej ustawiają
lekturę tej poezji i mogą stanowić
swego rodzaju instrukcję obsługi dla
czytelnika. Słowa układają się u Łepickiej
w opowieści, czasem surrealistyczne,
absurdalne, czasem jakby nić narracji,
przewodni wątek, wokół którego jest drugi
plan, równie intensywny, mieszający się
czy nawet zagarniający pierwszy. Składają
się na niego powtórzenia, skojarzenia
dźwiękowe, rwane wtręty obcojęzyczne,
zapętlenia i nagłe zerwania rytmu.
Te wiersze wirują jak karuzela, są niczym
zapis gonitwy myśli, na gorąco, bez
autokorekty.

Nie znaczy to, że „Zeszyt ćwiczeń”
to brudnopis. Potwierdza raczej zasadność
tytułu, który nosi tomik. Na jego stronach
dzieje się dużo, zarówno pod względem
zawartych znaczeń, historii, obrazów,
jak i formy, którą posługuje się autorka.
To rzeczywiście pole ćwiczeń językowych
i poetyckich. Próba zapisu tego, co Łepicka
chłonie ze świata, starając się zagarnąć
umykające bodźce. Ten rollercoaster
niesie przez różne poziomy rzeczywistości
spięte razem w krótkiej frazie, jak:
„i wyjścia przez piach i rozbite metrum”
czy: „wlewam gwóźdź do studni i nazwę
go dźwiękiem”, choć z rzadka pozwala też
uspokoić oddech przy mniej rozedrganych
wierszach. Zawsze jednak doświadczamy
tu jakiegoś odwrócenia porządku,
wywrócenia perspektywy, podchodzenia
do języka z dziecięcą ciekawością
i zachłannością. To jakby wypełnianie
marzenia-życzenia: „Chodzi mi o zestaw
do czasowników / aby mogły nie tylko
jeździć na gapę, / ale i wypadać z czasu”.



Joanna Łepicka
Zeszyt ćwiczeń
Biuro Literackie,
Kołobrzeg 2023

KOLORY

KINGA DAWIDOWICZ

„Fuzja bordo” to książka o cielesności
napisana kolorami. Cielesności
spoza porządku zdrowia i witalności,
dotykanej chorobą, bólem,
bezsensownością. Doświadczanej szpitalną
rzeczywistością. Nie jest to jednak
skarga czy zapis żalu. To raczej
podglądanie w zbliżeniu mięsnego ciała,
nazywanie sensualnych odczuć, badanie
wzajemnego wpływu na siebie dwóch
powłok – materialnej i umysłowej.
Ich nierozzerwalność jest tu jak pole
planszówki, na którym rozgrywa się
runda pod hasłem: impuls-barwa.
Liczebną przewagę zyskuje czerwień,
której próbuje dorównać żółć.
„Fuzja bordo” to jednak nie tylko
kolory, pod którymi rozpoznamy
skrzepy, puls, krew, blizny. To również
rytm, śpiewność, fraza dziecięcej
wyliczanki: „W transie fuzja bordo /
w transie fuzja róż / w pąsach płasy pąs
/ w pąsach wiśnie płąs”. Ten językowy
łamaniec splata jakby w węzeł dwa
porządki budujące poezję Karoliny
Kapusty i chyba najlepiej pokazuje,
jak autorka potrafi grać kolorem
i rytmem. To rdzeń „fuzji bordo”,
ale jest w niej miejsce na więcej,
na wiersze-punkty, skondensowane
i lakoniczne, a niezwykle silne w swoim
wyrazie, jak choćby: „Ketonal dożylnie”
/ „zwyklejesz mi” czy te rozgadane,
miękkie, jak w „Liście życzeń” – „żeby
można było śmiać się w głos jak w ogień
/ jak pękanie cynamonu wpół trzask
drewna / tam w górę pnie się świerk /
wysoki i srebrny”. Jest w „fuzji” więcej
światła, przestrzeni, morza, które
nie tyle wprowadzają przeciwwagę,
ile dopełniają tę rzeczywistość
intensywnej, nadwątlonej
i doświadczanej cielesności.



Karolina
Kapusta
fuzja bordo
Biuro
Literackie,
Kołobrzeg
2023

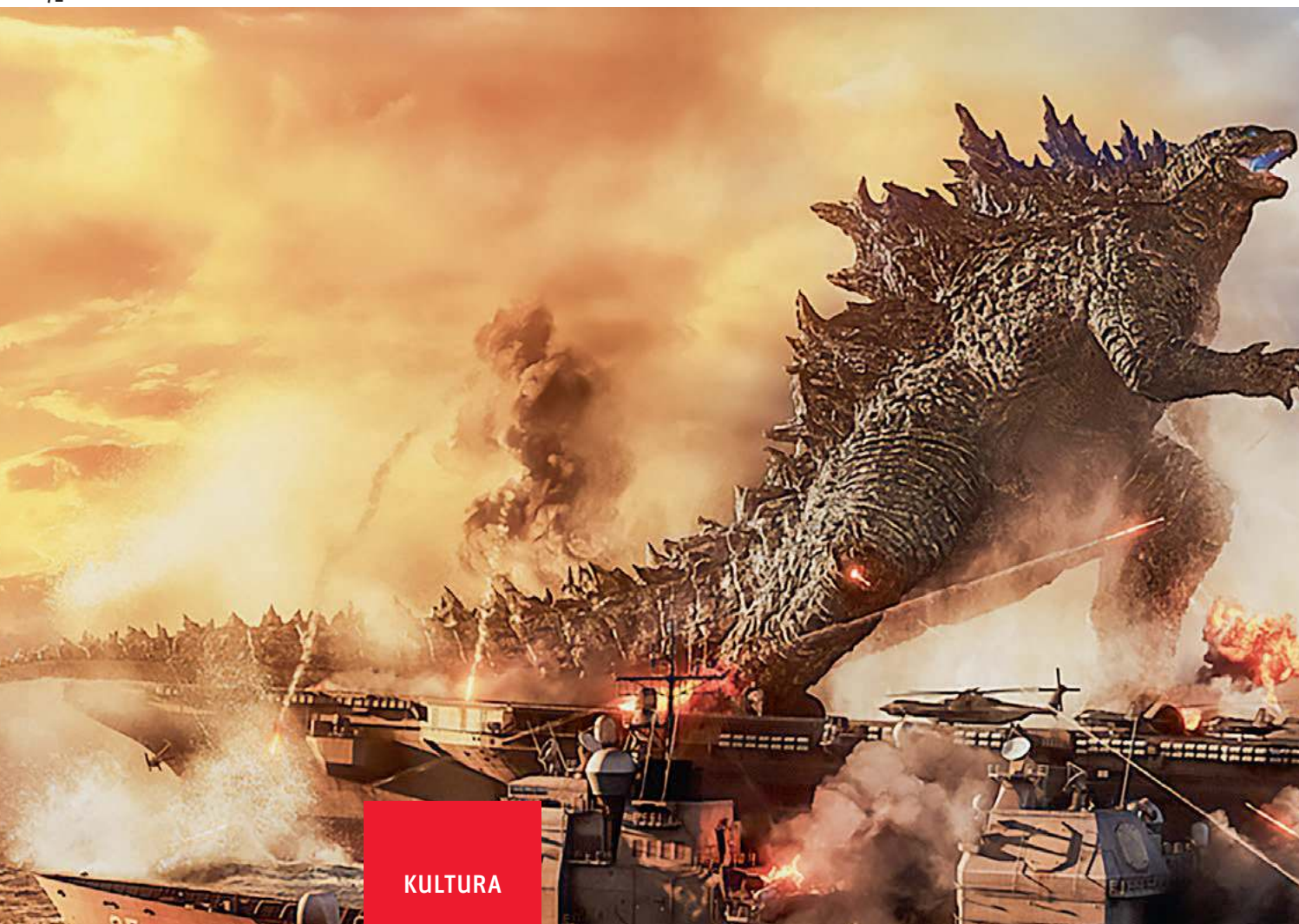
ŹRÓDŁA

KINGA DAWIDOWICZ

Tytuł tomiku Mateusza Szymczyka to
także powtarzające się słowa-komentarze,
zamknięte w nawiasie przy poszczególnych
wersach. Rozsiane po całym zbiorze,
stanowią punkty wzmożonej uwagi, rodzaj
sygnału do namysłu lub zatrzymania
w lekturze. Efekt powtórzenia tytułu
na kolejnych stronach kontrastuje
z brakiem tytułowania poszczególnych
utworów. Szymczyk dba, by lektura ta
była doświadczaniem intensywnym.
W „Potrzebnych źródłach” spotkamy się
z frazą rytmiczną, haiku, zabawnymi rymami,
uskokami słownymi, powtórzeniami, które
niekiedy przywodzą na myśl zawrodożenie czy
zabawę w echo. Nie brakuje też dłuższych
form – rodzaju wypisów z dziennika czy
notatek-obszernych z codzienności.
Ta dychochotomia przenosi się też na ciężar
tematów dotykanych przez autora
– odczuwany znój codzienności, zmęczenie
ciałem, niedyskutowanym przemijaniem.
Walka z napięciem stłoczonych myśli
ubierana jest w rozbudowaną formę,
gęstszą wypowiedź. Natomiast natura,
relacja z krajobrazem i przedmiotami, cały
ten nieczłowieczy świat zamykany jest we
frazach-migawkach, krótkich kadrach. One,
mimo że zajmują powierzchniowo skromną
część „Potrzebnych źródeł”, skutecznie
znoszą ciężar utworów nabrzmiałych ludzką
szamotaniną. Może mniej zauważalne, ale
mocne jak korzenie drzewa. Fraza „W gips
z moją głową!” to jakby okrzyk-manifest
zbioru Szymczyka, a wersy „Listek figowy
na mózg dobierz. / Ty nieokrzesany,
nerwowo. / Panika, kiedy jest za dobrze. /
Panika, kiedy nic nie nadchodzi” tłumaczą
ten wykrzyczany postulat i silnie wskazują
potrzebę znalezienia źródeł.

Mateusz Szymczyk, *Potrzebne źródła*
Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy
Polskich, Łódź 2023





KULTURA

BARDZIEJ RZEŹBA NIŻ MASA

Jubilat Godzilla rósł wprost proporcjonalnie do globalnego lęku przed wojną, efektem ciepłarnianym albo kulturowymi rewolucjami. Właśnie powraca w parze z King Kongiem.

MICHAŁ WALKIEWICZ

PODRÓŻ SZYBKĄ KOLEJĄ z TOKIO DO Hiroszimy trwa około siedmiu godzin. Dystans ośmiuset kilometrów dzieli nie tylko miasta, ale i dwa symbole powojennej rewitalizacji – słynną Kopułę Bomby Atomowej, czyli ruiny centrum wystawowego zamienione w miejsce pamięci oraz głowę Godzilli górującą nad obleganym hotelem w dzielnicy Shinjuku. W Japonii, która może pochwalić się jednym z najlepszych systemów transportu na świecie, siedem godzin to cała wieczność. Kino pokonuje tę odległość w mgnieniu oka.

W stolicy stoi jeszcze jeden pomnik Godzilli. Władze miasta co jakiś czas wymieniają go na nowszy. Wygląda to tak, jakby atomowy jaszczur sam zrzucał skórę. Jest w końcu celebrytą z dziesiątkami filmów, komiksów, książek



Fotos z filmu „Godzilla i Kong: nowe imperium”, 2024 r.

i gier wideo na koncie. Ma swoją gwiazdę na hollywoodzkim bulwarze, zgarbił nagrodę MTV za całokształt twórczości, stanął do koszykarskiego pojedynku z Charlesem Barkleyem i odebrał honorowe obywatelstwo Japonii. Niedawno zdobył pierwszego w karierze Oscara. Jednak równo siedemdziesiąt lat temu, w 1954 r., gdy po raz pierwszy pustoszył Tokio, Japończycy dostrzegali w nim przede wszystkim marę atomowej zagłady. Do kina szli skuszeni obietnicą eskapistycznego spektaklu. Salę opuszczali ze łzami w oczach.

Rodzaj męski, liczba pojedyncza

Przed premierą filmu Ishirō Hondy z 1954 r. *Godzillę* obwożono po Tokio w ciężarówce z odkrytą naczepą. Jak przekonuje w książce „Japan’s Favorite

Mon-Star: The Unauthorized Biography of The Big G” historyk kina Steven Ryfle, potwór był wykonany z gładkiej, błyszczącej gumy. Dziś nazwalibyśmy to nieuczciwym marketingiem – na ekranie bowiem faktura jego skóry przypominała popromienne blizny.

Podróż Hondy do Hiroshimy i Nagasaki jest w historii powstawania filmu czymś na kształt mitu założycielskiego. Z jednej strony – pamięć o tragedii i spowodowany przezeń egzystencjalny niepokój. Z drugiej – demolka jako koło zamachowe kina oraz fascynacja amerykańskimi filmami o potworach, które jednym zaciśnięciem szczęk dusiły cały kraj. „*Godzilla*” wykiełkowała z tych dwóch doświadczeń, a i sam potwór nigdy nie pozbył się podwójnego paszportu – film był w końcu luźno inspirowany amerykańską „Bestią z głębokości 20 000 sążni”.

Już jego imię symbolicznie podkreśla tę rozdartą tożsamość: japońska „*gojira*” to połączenie słów „*gorira*” (goryl) i „*kujira*” (wieloryb), które okazało się niewymawialne dla zachodniego widza i w konsekwencji zostało zangielszczone.

Fundamentem opowieści o najsłynniejszym filmowym *kaiju* było zresztą wciąż żywe wspomnienie amerykańskiej okupacji. Prace pre-produkcyjne w wytwórni Tōhō rozpoczęły się już po jej zakończeniu, w trakcie cenzorskiej „odwilży”. Z kolei wydarzeniem, które miało niebagatelny wpływ na scenariusz, była detonacja bomby wodorowej Castle Bravo, która doprowadziła do choroby popromiennej wśród załogi japońskiego kutra „Szczęśliwy Smok”. Choć z racji skomplikowanego procesu produkcyjnego trudno nazwać film Hondy bezpośrednią odpowiedzią na ekologiczną katastrofę, nie bez

→ przyczyny otwiera go scena, w której dwa frachtowce i trawler rybacki zostają zmiecione z powierzchni ziemi.

Styropian i kontrabas

Początkowo kosztujący 63 miliony yenów (czyli w istocie średniobudżetowy – dla porównania „Siedmiu samurajów” powstało za dwukrotnie wyższą kwotę) film nie miał najlepszej prasy. Choć kina pękały w szwach, krytycy narzekali na wizualny eksces oraz bezrefleksyjną eksploatację narodowej traumy. Łatwo to zrozumieć, jeśli weźmie się pod uwagę, że sumieniem japońskiego kina byli wówczas Kurosawa i Ozu, a egzorcyzmowanie demonów przeszłości odbywało się na matach tatami w długich scenach dialogowych. Wkrótce jednak wiatr zaczął się odwracać. A jak nie wiadomo, o co (Japonii) chodzi, to chodzi o przemontowywane w najdziwniejszych konfiguracjach wersje filmu na międzynarodowe rynki.

Uwielbiam anegdotę przypominającą o tym niewyrównanym rachunku krzywd – nawet jeśli pochodzi z innych czasów i z innego świata. Jej bohater, mistrz animacji Hayao Miyazaki, wysyłając swoje arcydzieło „Spirited Away” amerykańskiemu dystrybutorowi (Harveyowi Weinsteinowi z Miramaxu), dołączył do przesyłki miecz samurajski. Wygrawerowany napis ostrzegał: „Żadnych cięć”. Nie wiem, ile w niej prawdy, natomiast fantastycznie rymuje się z losami „Godzilli” na obczyźnie.

„Cenzura”, choć to pewnie zbyt duże słowo, dotyczyła głównie pochodzenia jaszczura jako „dziecka” bomby wodowej. Problemem okazało się również relatywizowanie wydarzeń z perspektywy nieistniejących wcześniej postaci – w słynnej amerykańskiej wersji filmu z 1956 r. atak na Tokio obserwujemy oczami amerykańskiego reportera.

Wielkość niezrozumianego wówczas na Zachodzie filmu Hondy zawierała się jednak nie w centralnej metaforze Godzilli jako przebudzonej atomowej potęgi, lecz w całkiem dosłownych powidokach nuklearnej zagłady. Przemontowane czy nie, powracają w filmie obrazy liczników Geigera, ludzi konających w szpitalach oraz masowych modłów o boską interwencję.

Oczywiście, rosnąca popularność Godzilli poza granicami kraju oraz stop-

niowo zmieniający się krajobraz japońskiej popkultury sprawiły, że monstrum również musiało ewoluować. Z czasem niszczycielska siła przestała rozsądzać Godzillę od środka. Stwór stanął po stronie ludzkości, a w recepcji pojawiła się narracja kinofilski. Godzilla nie był już jedynie symbolem bomby atomowej. Nagle stał się facetem w stukilowym, gumowym kombinezonie rozwalającym w drobny mak styropianowe makiety. Jego ryk przestał być krzykiem rozpacz całego pokolenia. Było wyraźnie słychać, jak dźwiękowiec w oblanej żywicą rękawiczce trąca struny kontrabas.

Na miarę lęków

Wbrew rozsiewanym przez King Konga, Ghidore i Króla Rodana plotkom, Godzilla nie jest genetycznym odpadem i nie powstał w wyniku rozszczepienia atomu. W oryginalnej mitologii jest prehistorycznym gadem, najpewniej z samego szczytu łańcucha pokarmowego. Eksplozje na atolu Bikini wybudziły go ze snu i zamieniły w żywioł destrukcji. Jako metafora zakodowany jest podwójnie: to jednocześnie chodząca bomba atomowa oraz abstrakcyjne wyobrażenie o jej ofiarach. Słynny „atomowy oddech” w postaci niszczycielskiej wiązki energii jest w gruncie rzeczy abiektem – monstrum wypływa ją z taką mocą, jakby chciało zapobiec implozji. W filmie „Godzilla kontra Ghidorah” (1991) emanujący radioaktywnym, pomarańczowym światłem potwór dosłownie topnieje od środka.

Fucha strażnika pamięci przyniosła Godzilli uznanie, jednak prawdziwą sławę zdobył w kabarecie. W trakcie trwającego niemal pół wieku „heroicznego” okresu swojej kariery stał się maskotką japońskiej popkultury, utożsamianej na Zachodzie ze spiętrzonymi „dziwactwami”. To wtedy zakładał podwójne nelsony swoim wrogom, fruwał na odrzutowym ogonie, wywijiał hulałbce w kosmosie i wychowywał syna w duchu nauk oświecenia. A jeśli co jakiś czas powracano do jego mrocznych korzeni, problemem okazywały się budżetowe niedostatki, albo fundamentalne niezrozumienie popkulturowego mitu. Amerykański „Godzilla” Rolanda Emmericha z 1998 roku był właśnie takim filmem. Uczynienie z Króla Potworów napromieniowanej iguany za-

mienia jego starcie z ludzkością w dziwaczne safari – dzielni amerykańscy chłopcy atakują gada z lądu, morza i powietrza, a obrazek rannego i zaplątanego w przesła mostu brooklińskiego zwierzęcia budzi skojarzenia z tragicznym finałem „King Konga”. Japończycy z Tōhō ochrztili tę wersję kultowego bohatera „Zillą”, symbolicznie odbierając mu „boski” prefiks. A gdy powrócił w filmie „Godzilla: Final Wars” (2004), prawowity monarcha załatwił go jednym machnięciem ogona.

Elastyczność konwencji filmów o Godzilli szła w parze z ich bogatą metaforą. Godzilla jako kara za imperialną przeszłość Japonii? Dlaczego nie! Metafora nekających kraj klęsk żywiołowych? Niech będzie. A może zemsta natury za eksploatację planety? Brzmi sensownie. Najbardziej radykalne interpretacje łączyły te historyczne i społeczne zjawiska z rozmiarami samego potwora. Jeśli wierzyć analizie przeprowadzonej przez słynny akademicki magazyn „Science”, Godzilla rósł wprost proporcjonalnie do społecznego lęku przed wojną, geopolitycznymi turbulencjami, efektem cieplarnianym oraz kulturowymi rewolucjami.

Nieco to naciągane, zwłaszcza że – jak słusznie zauważa Oleg Sobczuk z magazynu „Medium” – Godzilla nabierał masy w odpowiedzi na potrzebę coraz mocniejszych bodźców ze strony widowni: „To typowy wzór w rozwoju popkultury. Mnóstwo narracyjnych narzędzi, a za takie uznaje Godzillę, King Konga czy każdego innego potwora – służy w dłuższej perspektywie przede wszystkim intensyfikacji doznań i emocji (...). W historii sztuki jest mnóstwo przykładów tej strategii: ujęcia filmowe stają się coraz krótsze, by twórca mógł lepiej kierować naszą uwagą; instrumenty muzyczne ewoluują tak, by słyszany dźwięk był coraz czystszy i głośniejszy; bohaterowie kreskówek stają się coraz bardziej infantylni (czytaj: uroczy), by szybciej prowokować atawistyczną reakcję śmiechu i rozczulenia. Rozmiar ma znaczenie – czasem wystarczy sam „rozmiar”, by wywołać w nas pierwotny lęk. I tutaj granica również musi być przesuwana, by ów lęk intensyfikować. Ma to głębszy sens z perspektywy psychologii ewolucyjnej: jeśli chcemy przetrwać, powinniśmy bać się wielkich potworów”.

Make Godzilla Great Again

Pytanie, czy ktoś jeszcze boi się Godzilli, jest oczywiście retoryczne. Zarówno Hollywood, jak i studio Tōhō latami dość się napracowały nad przyjaznym dzieciom wizerunkiem monstrem. Nie oznacza to jednak, że stary wiarus jest całkowicie stracony dla kina grozy.

Nakręcony w 2016 r. „Shin Gojira” Hideakiego Anno na pierwszy rzut oka jest pyszną satyrą na tokijską biurokrację oraz skomplikowane relacje Japonii ze Stanami Zjednoczonymi. W gruncie rzeczy jednak to historia lovecraftowska z ducha i cronenbergowska z „ciała”, miks horroru o rozpadzie tkanek oraz opowieści o Nieznanym i Nienazywalnym. Potwór wylania się z morza w formie groteskowej kijanki. Sunie przez miasto, tratując budynki, brocząc krwią i limfą, a kolejne mutacje utrzymują go w stanie permanentnego cierpienia. W swojej ostatecznej formie przypomina zlepione w skamieniałej biomasy, poskręcane w konwulsjach ludzkie ciało. To obrazek, który może się przyśnić, choć działa również na poziomie podprogowym. Podsuwa paranoiczną wizję zasymilowanego przez obcą siłę i żyjącego w stanie ustawicznej agonii człowieka.

Amerykańska „Godzilla” Garetha Edwardsa z 2014 r. takich refleksji nie prowokuje, ale też jest całkiem niezła. Król Potworów znów jest antybohaterem, wyrównującym rachunki z ludzkością, lecz gdy zajdzie potrzeba, wesprze ją w walce z żarłocznymi pajęczakami. Tym razem jednak cały film – w zgodzie z zasadą, że najbardziej boimy się tego, czego nie widać – jest opowieścią o jego przerażającym majestacie. Dokumentalna faktura obrazu sprawia, że Godzillę podglądamy z dystansu: przez obiektywy kamer telewizyjnych, z perspektywy spanikowanego tłumu czy szykujących akcję dywersyjną saperów. Liczy się jedynie skala, a tę najlepiej oddać, kręcąc wszystko z poziomu chodnika i skupiając się na detalach. W najlepszej scenie filmu fluorescencyjne wypustki na grzbiecie drapieznika rozpalają się w całkowitej ciemności, od ogona aż po łeb, zaś zwiastunem atomowego wyziewu jest miarowe, basowe dudnienie.

Ubiegłoroczny „Godzilla Minus One” Takashiego Yamazakiego łączy wszyst-



MIKE COPPOLA / GETTY IMAGES

Takashi Yamazaki na gali oskarowej, Hollywood, 10 marca 2024 r.

Gdy nagrodzony w tym roku Oscarem za efekty specjalne Yamazaki wychodził na scenę, miał na sobie **buty z obcasami w kształcie szponów Godzilli**, a w dłoniach trzymał figurkę potwora, bohatera naszych czasów.

kie te narracje, a dzięki niewidzialnym szwom pozostaje najlepszym filmem z całej serii. To jednocześnie historyczna rozprawka, antywojenny manifest, kino przygodowe w stylu wczesnego Spielberga, klasyczny melodramat i cóż... film o Godzilli. Tytuł jest fantastyczny – tzw. „ground zero” oznacza spaloną ziemię, gospodarczy, ekonomiczny i kulturalny reset, w tym przypadku dotyczący Japonii po zakończeniu II wojny światowej. Godzilla, całkiem dosłownie, przesuwa jej matematyczne szanse na przetrwanie poniżej zera.

Całość przypomina nam inne arcydzieło o wojnie i potworach, czyli... „Nikt nie woła” Kazimierza Kutza (zostańcie ze

mną, to potrwa sekundę). Nie tylko dlatego, że bohaterem jest dezertier, który żyje w niesławie zdrajcy i próbuje odnaleźć azyl w miłości. Łączy obydwa filmy klarowne przesłanie o honorze – wyrażone bezpośrednio i bez ucieczki w metaforę. „To, że nie walczyłeś na wojnie, nie jest powodem do wstydu. To powód do dumy”. Jak myślicie, w którym z tak odległych estetycznie i tak zbliżonych tematycznie utworów pada to zdanie?

Powrót Króla

Gdy nagrodzony Oscarem za efekty specjalne Yamazaki wychodził na scenę, miał na sobie buty z obcasami w kształcie szponów Godzilli, a w dłoniach trzymał figurkę potwora. Odebrał statuetkę za film, którym zawstydził pogrążone w scenariopisarskim kryzysie, trwoniące astronomiczne budżety i przeceniające pracę pionów technicznych Hollywood. Nakręcona za około 12 milionów dolarów produkcja okazała się czymś więcej niż box-office’owym przebojem. W najdziwniejszym popkulturowym twiście ostatnich lat wpisała się w szerszą narrację o rewitalizacji kina jako doświadczenia społecznego. Stała się zaskakującym sojusznikiem „Top Gun”, „Barbie” i „Diuny” w walce o powrót masowego widza do kin. A przy okazji, w optyce tegoż widza, została niespodziewanym sequelem „Oppenheimera”. Macie swojego „niszczyciela światów”!

„Może w każdym z nas jest mała Godzilla?” – zastanawia się bohater „Powrotu Godzilli” (2000), podczas gdy tytułowe monstrum pali miasto na wiór. Ta wyśmiewana często w opracowaniach krytycznych linijka dialogu wydaje się całkiem celna w przededniu kolejnego spotkania Godzilli z King Kongiem („Godzilla i Kong: nowe imperium” Adama Wingarda w kinach już od piątku). Ostatecznie przecież chodzi o czystą filmową frajdę; o bezpretensjonalną rozróbę oraz kinetyczną energię (żeby nie cofać się aż do „widzialności obcowania jaszczura z kartongipsem”). Nie bez powodu w filmach Wingarda Król Potworów lubi od czasu do czasu złamać czwartą ścianę i spojrzeć prosto w kamerę. Zostaliśmy ostrzeżeni. I zaproszeni do zabawy.

© MICHAŁ WALKIEWICZ



Obuch i miotła

DARIUSZ KOSIŃSKI

Najbardziej oczekiwane przedstawienie sezonu rozczarowuje. Ale jest to rozczarowanie pouczające, bo symptomatyczne dla miejsca, w jakim znajduje się wcale wpływowa część klasy twórczej w Polsce.

BARDZO NIE CHCIAŁEM SIĘ NASTAWIAĆ na to, że „Wesele” zrealizowane przez Maję Kleczewską w Teatrze im. Juliusza Słowackiego (premiera – jakżeby inaczej w Krakowie – rocznicowego 16 marca) będzie przedstawieniem równie wybitnym, jak jej słynne „Dziady”. Staralem się też nie myśleć o nim jako o swoistym diagnostycznym sequelu, choć naprawdę byłem ciekaw, czy i jak rozpoznania z „Dziadów» epoki PiS-u” zostaną zmienne w „Weselu» po 15 października”. Sam się śmieję z siebie, gdy zapisuję te formułki, bo przecież wiem i widzę, jak są zawstydzająco uproszczone i jednoznaczne. Ale po obejrzeniu nowego krakowskiego „Wesela” ośmielam się je przywołać, bo niestety każda próba wer-

balizacji sensów tego przedstawienia prowadzi do diagnoz tak prostych, że też trochę wstyd je wypowiadać na głos.

Młócka

Pierwsze pół godziny krakowskiego przedstawienia po prostu mnie zirytoowało. Wiem, wiem – miała być ciżba, hałas, jednostajne brzęczenie muzyki i słów, jak w „Weselu” Wajdy.

Ale nawet hałas w teatrze trzeba akustycznie aranżować. Tymczasem siedząc na widowni miałem wrażenie, że przedstawienie zrobił ktoś pozbawiony słuchu, na nieszczęście wyposażony w całą baterię fałszujących mikroportów. Poprzyczepiał je osobom na scenie obecnym, po czym kazał im do nich krzyczeć, żeby

jednak przebiwały się przez muzykę puszczoną z taśmy.

Efekt jest taki, że po pięciu minutach marzy się o jakiegokolwiek zmianie tonu i rytmu, bo jednostajne wysilenie wszystkiego, co ze sceny usiłuje (zwykle nieskutecznie) dobiegać, jest po prostu nieznośne. Obawiam się, że jednak wciąż jest do odrobienia lekcja, którą ze współpracy z Jerzym Grzegorzewskim wyniósł nieodżałowany Stanisław Radwan – że Wyspiański to teatr brzmień, więc zanim się go zacznie odgrywać i interpretować, trzeba go usłyszeć.

Paradoksalnie, samo przedstawienie też po jakimś czasie zaczyna tego dowodzić, bo jego sceny najmocniejsze to właśnie sceny muzyczne. Dopóki cała ta ciżba gada, gada, gada, wydaje się zbiorowiskiem bez właściwości i kształtu, ale gdy czasem śpiewa i tańczy w sposób choreograficznie uporządkowany, zyskuje wyraz i moc. Jak w świetnie rozegranym, a często traktowanej jako poboczna, scenie družbów rozpoznających, że choć miastowe panny ich chcą, to tak naprawdę z nich drwią. U Kleczewskiej ten niemal zakulisowy duet jest przekształcony w popisowy numer taneczno-muzyczny, przechodzący w tożsamościowo-zapowiadający chór „Albośmy to jacy tacy...”. Muzycznie rozegrany jest też finał pochodu

zjaw, a pieśń towarzyszy również wejściu najważniejszego gościa tego wesela – Wernyhory. I w tych momentach naprawdę słychać, że ktoś Wyspiańskiego słuchał. Dlaczego nie słuchał wcześniej?

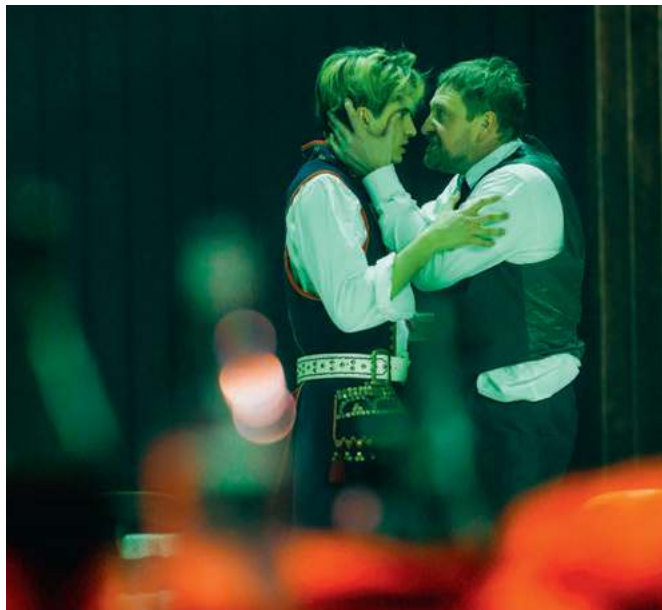
Odpowiedź, że to nieuwaga, błąd rzemiosła lub techniki, nie wydaje mi się wystarczająca. Chodzi tu raczej o specjalnego rodzaju głuchotę społeczną i uznanie, że weselna cizba to motłoch, którego właśnie się nie słucha, bo nikt tam nie ma do powiedzenia niczego wartego wysłuszenia. Choć tworzą go „pany” i „chamy”, to wszyscy po równo chcą się nażreć, napić i parzyć, a pęczniejące pragnienia sprawiają, że nieuchronnie narasta agresja wybuchająca w końcu krwawą bójką z udziałem personifikującego ów motłoch Czepca (znakomity Marcin Kalisz).

Rozgrywane przez Wyspiańskiego w wielu planach różnice między „miastowymi” i „wsiowymi” tu zostają sprowadzone do anachronicznej opozycji „krzepy” i „miękości”, po czym i jedną, i drugą w zasadzie się unieważnia, bo obie nie prowadzą do jakichkolwiek znaczących wydarzeń czy zmian. Czy słowa Wyspiańskiego wykrzykują „wsioki”, czy „inteligenty” – nie ma znaczenia. Wszyscy w końcu spotykają się przy tym samym stole i próbują obłapiać te same dziewczyny.

Do niewartego słuchania motłochu należą też przychodzące od strony widowni zjawy. Oryginalna nazwa „Osoby Dramatu” nie ma tu zastosowania, bo żadnego dramatu się tu nie wydobywa. Zjawy uosabiają po prostu to, co o motłochu polskim myślą, co w nim dostrzegają i czego się w nim obawiają twórcy spektaklu. Galeria doprawdy boleśnie banalna: Stańczyk (Krzysztof Głuchowski) jako głupkowato wesołkowata gwiazda mediów, której Dziennikarz (Rafał Szumera) podtyka mikrofon. Upiór, tu wprost nazwany Szelą (Marian Dziędziel), to stary Czepiec, może nieco zmęczony, ale wciąż spragniony wódki i krwi. Hetman (Andrzej Grabowski) jest wiszącym na komórcie biznesmenem robiącym interesy z Rosją. W finale tej sceny widma wspólnie z uczestnikami wesela tańczą poloneza jednoczącego wszystkich w sielankowym marzeniu, że „będzie słońce i pogoda”. Muzyka wybucha, a zbiorowy taniec zamienia się w jakąś eksportową inscenizację bajecznie kolorowej polskości à la zespół Mazowsze.. Pojawienie się

po lewej:
Scena ze spektaklu
„Wesele”
w reżyserii Mai
Kleczewskiej
w Teatrze
im. Juliusza
Słowackiego
w Krakowie,
marzec 2024 r.

Antek Sztaba jako
Jasiek i Juliusz
Chrzastowski
jako Gospodarz
w „Weselu”.



BARTEK BARCZYK DLA TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE 'X2

widm niczego nie zmienia i nie zakłóca. Nikim nie wstrząsa.

Dożynki

Z jednym może wyjątkiem, o którym już się mówi i pewnie za chwilę mówić się będzie głośniejsze – niech no tylko ktoś z prawicowej prasy obejrzy spektakl. Rycerz Czarny (świetny Tomasz Wysocki) to żołnierz w polskim mundurze, wyłapujący żydowskich chłopców, sprawdzający, czy są obrzezani (nie bardzo wiadomo, po co, bo wszystkie ofiary noszą stroje ortodoksyjnych żydów), a następnie zabijający ich (a i ojca Racheli przy okazji) strzałami w głowę na oczach Poety (Mateusz Janicki).

Nacisk położony na tę scenę, staranność, z jaką właśnie ją się wydobywa spośród innych, sprawiają, że staje się w tej partii najważniejsza. Staram się nie myśleć, że chodziło tu jedynie o kolejne przypomnienie rzekomo wciąż nierozliczonych polskich win z czasów Zagłady. Oczywiście niemało jest takich, którzy te winy wypierają i negują, ale jednak zrobiliśmy wiele, by je wyznaczyć i uczynić częścią naszej pamięci. Nie wiem wprawdzie, czy ktokolwiek jest w stanie wybaczyć i rozgrzeszyć (kto i w imię czego?), ale próbuję sam siebie przekonać, że to nie coraz mniej skuteczne oskarżanie polskiej pamięci zbiorowej o amnezję Zagłady i uczestnictwa w niej było celem twórców przedstawienia, którego dramaturgiem jest wszak Grzegorz Niziołek, autor przełomowej pod wieloma względami pracy „Polski teatr Zagłady”. Wolę widzieć w scenie z Rycerzem Czarnym

ostrzeżenie, że wzniosłe marzenia o polskiej wielkości, podobne do tych, jakie wypowiada Poeta, kończą się mordami na ludziach uznanych za obcych. I że motłoch ostatecznie jednoczy się w przemocy skierowanej przeciwko tym, którzy zostają z niego wykluczeni.

Figurą tego wykluczenia i procesu jednoczenia w agresji jest w najnowszym krakowskim „Weselu” Racheli. Tak jak w tekście, choć z innych powodów, jest ona jedną z najważniejszych postaci przedstawienia, a jej wątek tworzy wyrazistą linię tematyczną, z którą powiązane są inne sceny dotyczące antysemityzmu i zbrodni na Żydach jako cienia polskich marzeń o potęgę. Racheli to w tym spektaklu rola wyjątkowo wymagająca i nic dziwnego, że wykonują ją na zmianę znakomite aktorki: Dominika Bednarczyk i Agnieszka Przepiórska.

Oczywiście żałuję, że nie widziałem pierwszej, ale z drugiej strony może to i dobrze, bo jeszcze skusiłyby mnie jakieś nadinterpretacje dopisujące sensy do obsadzenia w roli Racheli niedawnej Konrada z przedstawienia tej samej reżyserki. Przepiórska tworzy znakomitą kreację groteskowo-tragiczną, zrywającą wręcz brutalnie z wszelkimi estetyzacjami i sentymentalizmem, którym postać Wyspiańskiego bywa owijana. Już jej pierwsze pojawienie się przerywa jednostajność brzęku i wrzasku, wprowadzając wreszcie inne brzmienia. Niemal od razu też niestety wydobywa z cizby agresję wobec obcych, gdy tańczący niemal odruchowo tworzą wokół niej groźnie zbliżający się krąg.

→ Mówię „niestety”, bo ten automatyzm sugerujący, że Polacy na widok żydowskiej dziewczyny natychmiast reagują agresją, wydaje mi się niepotrzebnym uproszczeniem, zakłócającym to, co aktorka rozwija konsekwentnie a subtelnie swoją grą: pragnienie wejścia w zbiorowość, niemal miłość do niej (czemu nikt nie pyta, skąd ona w Racheli?) i bolesne odrzucenie, którego ostatecznym wyrazem jest finał jej dramatu. To kolejny z kilku szczególnie dosadnie postawionych akcentów spektaklu: Rachela pojawia się po raz ostatni zgwałcona, po jej udach cieknie krew, a jej długie rude włosy są obcięte na krótko. Próbuje jeszcze raz przyczepić się do Poety, ale osuwa się jedynie po jego sztywnym ciele, by odejść z obietnicą, że jej cierpienie zostanie zapamiętane... w sztuce. Jak wydana w Krakowie na rzeź przez Polkę Zuzanna Ginczanka.

Zaduszki

To już zaczyna męczyć: nieustające powtarzanie, że rdzeniem polskości jest agresywny motłoch, któremu śnią się media i bankierzy, i który tylko czeka na okazję do wyzerki, wypitki, porubstwa i pogromu. Czy powtarzanie tego służy jakiegokolwiek zmianie, czy też raczej skutkuje budowaniem pozycji własnych jako wolnych i czystych na wysokościach? Wydawało mi się, że twórcy tego oczekiwanego „Wesela” nie muszą niczego sobie budować, więc wciąż czekałem z nadzieją na odpowiedź inną niż ta wybijana hołubcami.

Przyszła w ciszy, która zapadła wreszcie, gdy polonez wyprowadził motłoch z sali. Na scenie został tylko Gospodarz (Juliusz Chrzastowski) i to przed nim pojawiła się Wernyhora (Anna Syrbu), ukraińska kobieta śpiewająca lament żołnierza umierającego w cudzym kraju. Pieśń śpiewana czystym głosem jest jak sztych stali: rozjaśnia Gospodarza (Chrzastowski gra to wprost mistrzowsko), wyrzuca go na chwilę z ciżbowatości. Wernyhora przynosi ze złotym rogiem nie zapowiedź odzyskania niepodległości narodowej, ale jakąś wizję niepodległości w sensie szerszym i głębszym – wizję zmiany oczekiwanej i pożądanej, nawet jeśli nie dającej się sensownie przedstawić i opowiedzieć. Zmiany ocalającej przed równie oczekiwaną (a przez niektórych równie pożądaną) katastrofą.

Chodzi o głuchotę społeczną i uznanie, że weselna ciżba to motłoch, który nie ma nic do powiedzenia.

**Wszyscy po równo chcą się
nażyć, napić i parzyć.**

Ich pęczniejące pragnienia
muszą w końcu wybuchnąć
krwawą bójką

Przez chwilę Gospodarz wydaje się wręcz porwany niewiarygodną nadzieją na jej urzeczywistnienie. Ale tylko przez chwilę. Bo gdy weselnicy wracają, „litość swoją” mówi im w pysk równie pijany jak oni i coraz mocniej zapadający we wspólnotowy sen.

Zaden złoty róg oczywiście motłochu nie obudzi. Motłoch w finale niemal się pozabija, bo Czepiec łaknie krwi i ledwo, ledwo udaje się przekierować jego agresję na jakichś „Moskali”, na których trzeba koniecznie iść. Idą więc i stają na pomoście biegnącym przez widownię. Tam pojawia się im wizja nadchodzących wydarzeń, którą unaocznia wyświetlane nad sceną wideo Wojciecha Pusia. Na polach podkrakowskich wybucha ogień i czarny dym, który kłębami przenosi się do miasta, przenika domy, przesłania je, spowija gęstym mrokiem.

Nikt tych śniących od niego nie ocali – wychodzą, a scenę obejmują we władanie chochoły. Trzy ogromne powoli zbliżają się z głębi prowadzone przez ubraną na czarno postać (Kaya Kołodziejczyk), którą już wcześniej poznaliśmy jako Chochoła głównego. To ona na przodzie sceny i na pomoście tańczy finał przedstawienia. W męce drgającego ciała i strugach krwi wypływającej z ust wyrzuca sobie serce, by rozszarpać je w końcu na strzępy i rzucić na weselny stół. Po chwili wyciąga z butów słomę i unosi ją w górę w jednej ręce, w drugiej trzymając zapaloną zapalniczkę. Gaśnie światło i tylko płomień przyłożony już, już do stosu jeszcze chwilę lśni w ciemności.

Opowiadam ten finał właśnie dlatego, że jego wytańczenie rozumiem jako próbę wymknięcia się jednoznaczności

diagnozy, jaką się w tym „Weselu” stawia. Świadomie sprowadzając do najprostszego komunikatu: polski motłoch chce uciec w zabawę pozorującą normalność, ledwo ukrywającą przepajającą go agresję wobec obcych. Z tej fałszywej sytuacji próbuje wyzwolić go głos z Ukrainy walczącej o lepszy świat dla wszystkich. Bezskutecznie, bo zbiorowość zostaje zahipnotyzowana wizją nadchodzącej katastrofy. By ją, nas obudzić, trzeba wyrwać sobie i podrzeć polskie serce, a słomę wychodzącą z polskich butów podpalić, co zapewne za swoją misję uważają twórcy przedstawienia i teatru, który ma się stać Narodowym.

Niezbyt to mądre, prawda? Tak niemądre, że szukam (a z opublikowanych już recenzji wynika, że nie tylko ja) jakichś innych znaków, które pozwoliłyby coś bardziej sensownego wydobyć. Przyznaję z żalem, że nie znajduję. Może to moje ograniczenie, ślepotą, nieuwagą. Ale tak mi się to „Wesele” układa. W taki żenujący komunikat się zamienia. I jakoś mi niezręcznie pisać o jego kluczowych scenach, bo czuję się niekomfortowo, że twórcy tego spektaklu uznali, iż jeśli nie walczyć się mnie w czoło tępym a ciężkim obuchem, to nie zrozumieć suflowanej przez nich „wstrząsającej prawdy”.

Na koniec i na przekór przywołam więc jeszcze jedną postać, którą z tego przedstawienia zapamiętam na długo. To Isia, grana przez Bożenę Adamek, niedydziejszą gwiazdę Teatru im. Juliusza Słowackiego, którą pamiętam jako dziewczęcą Julię z telewizyjnej wersji tragedii Szekspira. Jej Isia to nie dziewczynka, ale staruszka (Gospodyni mówi do niej „mamusiu”), która chce jeszcze się bawić, chce żyć. Niezwykle przejmująca rola pokazująca, czym mogłoby być to „Wesele”, gdyby wyłączyć na chwilę myślowe schematy i zagłuszyć wszystko muzyką z taśmy.

I to właśnie Isia z odzyskaną właśnie młodzieńczą siłą i dobrą dykcją doświadczonej aktorki wygania miotłą Chochoła, gdy po raz pierwszy się w izbie pojawia. Wygania oczywiście nieskutecznie, ale wyjątkowa jakość tej sceny (a może i co innego?) sprawiła, że gdy wychodziłem z teatru, w głowie zamiast poloneza brzmiało mi: „Huś ha na pole, głupi śmieciu, chochole!”.

Tak, i jeszcze raz – tak: „Wynocha, paralusie!”.

© DARIUSZ KOSIŃSKI



MATERIAŁY PRASOWE CHERRY RED RECORDS

Mr. Skull, wokalista The Residents.

Poznajcie anonimowych mieszkańców

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Ich twórczość ma nas przenieść w świat, gdzie nie ma ani idoli, ani wizerunków, gdzie panuje umowność i wyobrażenia. Skoro nasza tożsamość jest tak narażona na manipulację, unieważnijmy jej konieczność.

DEBIUTANCKA PŁYTA ZESPOŁU THE RESIDENTS, „Meet the Residents”, ukazała się w Prima Aprilis 1974 r. Pierwowzorami dla niej mogłyby być eksperymentalne utwory Beatlesów „Revolution 9” i „What’s the New Mary Jane?”, jej tytuł zaś był oczywistym nawiązaniem do pamiętnej płyty, „Meet the Beatles”, która przypieczętowała sukces liverpoolczyków za Atlantykiem dziesięć lat wcześniej. W tamtych czasach płyty jeszcze coś znaczyły. Bywało – jak z tą Beatlesów – że wywoływały globalne trzęsienie ziemi. Płyta The

Residents doraźnie go nie wywołała, ale i tak stała się jedną z najważniejszych w dziejach kultury popularnej.

Fenomenalne combo

Obie wspomniane płyty w podtytule anonują: „Pierwszy album fenomenalnego combo popowego z Anglii” (lub: „północnej Luizjany”). No i grafika! Obydwie strony okładki płyty Residentsów zdobyły zmodyfikowane zdjęcia Beatlesów z ich amerykańskiej płyty. Wylaniając się z mroku na froncie twarzom Beatlesów – w słynnym ujęciu Roberta

Freemana – z duchampowską nonszalancją dorysowano kły, języki, wąsy i karykaturalne oczy. Z tyłu okładki zaś wycięto stojącą Fantastycznej Czwórce głowy i dłonie, zastępując je odpowiednio łbami i szczypcami raków i wizytówkami „Paul McCrawfish”, „John Crawfish”, „George Crawfish” – i tylko czwartemu doprawiono nad kołnierzem rozgwiazdę, podpisując go „Ringo Starrfish”.

Capitolowi, amerykańskiej wytwórni Beatlesów, ta dezynwoltura mocno nie przypadła do gustu – czemu trudno byłoby się dziwić. Wprawdzie w ciągu pierwszego roku od wydania płyty tajemniczy zespół zdołał sprzedać jej ledwie czterdzieści egzemplarzy, ale kpina pozostała kpina (podobno samym eks-Beatlesom szarża Residentsów całkiem przypadła do gustu). Dlatego reedycja płyty w 1977 r., gdy „fenomenalne combo z północnej Luizjany” zdobyło niszową renomę, przyodziana była w okładkę z rakami i rozgwiazdą. Po latach, zapewne w toku zakulisowych negocjacji prawników, przywrócono oryginalną szatę graficzną płyty „Meet the Residents”.

Jednak na tym skojarzenia z brytyjskim fenomenem się kończą. „The Residents łączą w jeden kolaż najbardziej

→ nieznosnie chwytliwe motywy i melodie, przez co słuchacz najpierw czuje się zdezorientowany, a z czasem zainfekowany” – pisał trzy lata później angielski muzyk i dziennikarz Julian Cope. Rozchwybotana sztafeta kolejnych melodyjek, momentami w równoczesnej kakofonii, granych na nieco rozstrojonym pianinie lub anarchicznie zharmonizowanych instrumentach dętych z rzadkim towarzyszeniem gitar i perkusji, do tego żeńskie lub męskie głosy, niekiedy snujące melancholijne, pastoralne motywy, niekiedy zaś serwujące proto-rap – zaiste była to zarazem awangarda i zdekonstruowana muzyka pop. Wytyczyli ścieżki późniejszym artystom.

To, co zaserwowali The Residents muzycznie, może robiło wrażenie eksperymentu, ale w świetle całej historii do dziś działającej grupy stanowiło znaczącą zapowiedź postawy intelektualno-artystycznej. Manifestowanej zresztą nie tylko poprzez nagrania, ale także filmy, grafikę, scenografię występów czy pionierskie przedsięwzięcia multimedialne (zespół należał do pierwszych artystów korzystających na początku lat 90. z nośnika CD-ROM, tworząc grę-labirynt Freak Show partnerującą ich płycie o tym samym tytule).

Oczy firmowe

Amerykańska grupa rozpoznawana jest poprzez... anonimowość swoich członków. Do dziś trudno z absolutną pewnością powiedzieć, kto wchodzi w jej skład, ponieważ tworzący ją artyści nigdy nie ujawnili personaliów, a gdy po paru latach zaczęli jeździć z koncertami, skrywali głowy pod maskami. Najsłynniejszą maską Residentsów, stanowiącą znak firmowy, stała się wielka gałka oczna, obecna w ich ikonografii od 1979 r. Gałki wspaniale wpisują się zresztą w filozoficzny wizerunek zespołu – symbolizują niepomierne zdziwienie, z jakim The Residents przypatrują się światu.

Z czasem pojawiła się też maska Czarnej Czaszki, którą najpierw posługiwał się zaprzyjaźniony z grupą, zmarły w 1987 r. brytyjski gitarzysta Snakefinger, a później wiodący wokalista grupy, nazywany Mr. Skull (a ostatnio Randy). Potem pojawiało się coraz więcej masek groteskowych, zwierzęcych, cyrkowych. Okładkę ostatniej jak dotąd płyty zespołu



Okładka debiutanckiej płyty *The Residents*, parodiująca okładkę płyty *The Beatles*.

„Metal, Meat & Bone” (2020), przygotowanej po śmierci szefa The Cryptic Corporation i zapewne głównego kompozytora muzyki grupy Hardy’ego Foxa, zdobi fotografia czwórki ludzi w maskach dzikich psów.

Oczywiście pewne tropy wskazywały, że za maskami kryją się członkowie The Cryptic Corporation, pełniący funkcję managementu zespołu i oficjalnie „tylko z nim związanej”. Mogłem to potwierdzić, gdy w 1999 r. w Pradze jeden z filarów The Cryptic Corporation udzielił mi o Kamilowi Sipowiczowi z miesięcznika „Max” długiego wywiadu nazajutrz po koncercie. Od pierwszych słów wiedziałem, że słucham tego samego głosu, który kilkanaście godzin wcześniej wyśpiewywał spod „czaszki” mroczne opowieści zawarte na świeżym wówczas albumie „Wormwood: Curious Stories from the Bible”. Oczywiście nasz rozmówca podczas wywiadu konsekwentnie o zespole wyrażał się *per* „oni”, ale wiadać było, że wie, że my wiemy. Ważne, że szanowaliśmy reguły gry.

Residents są przekonani, że persona-lia czy biografia nie powinny w sztuce mieć jakiegokolwiek znaczenia, liczy się Dzieło. A ich dziełem jest recenzowanie kultury popularnej i społeczeństwa – dokonywane poprzez dekonstrukcję mitów i nawyków estetycznych.

Krzywe zwierciadło

Dlatego nie ma sensu dociekanie, czy członkowie pierwszego składu grupy

faktycznie poznali się w Shreveport w Luizjanie, czy wiosną 1968 r. przyjechali stamtąd ciężarówką do kalifornijskiego San Mateo, czy pierwszą taśmę z muzyką nagrałą amatorsko na znalezionych instrumentach i przedmiotach faktycznie przesłali do Warner Bros., skąd otrzymali ją z odmownym listem adresowanym do „Residents” (mieszkańców) nieruchomości, gdzie mieściło się ich domowe studio – i to stało się źródłem ich nazwy. Podobnie jak nie ma sensu spekulacja, ile osób tworzy muzykę The Residents.

Natomiast ma sens pozbawione uprzedzeń wysłuchanie płyty „Meet the Residents”, ponieważ na tle całej ich imponującej dysko- i filmografii nagrania te nie brzmią zgoła jak debiut, ale jak w pełni ukształtowane brzmienie i koncept, leżące u podstaw wszystkiego, co zespół tworzy już od ponad pół wieku. Mamy tam bowiem urokliwe, niemal dziecięce melodie przemieszane ze zgrzytliwymi dysonansami, dziwaczne, jakby nieporadne rytmy, groteskowe wokale i karykaturalne kompozycje, ozdobione jawnymi i ukrytymi cytatami.

Zespół w późniejszych latach brał na tapet różne zjawiska z szeroko rozumianej kultury popularnej. W 1976 r. rozprawił się z tyranią list przebojów, tworząc dwuczęściową „suitę” „The Third Reich’n’Roll”, złożoną z ciągu groteskowych przeróbek i parafraz muzycznych evergreenów anglosaskich, od „Land of a 1000 Dances” Chrisa Kenera po beatlesowskie „Hey Jude” i „Sympathy for the Devil” Rolling Stonesów. Płyta szokowała okładką, na której popularny prezenter telewizyjny Dick Clark odziany był w korespondujący z tytułem płyty mundurek ze swastyką. Promujący płytę film, w którym członkowie zespołu skryci są w habity z gazet, trafił na szczyty, czyli do stałej ekspozycji nowojorskiego Museum of Modern Art.

W 1979 r. ukazał się album „Eskimo” z wymyśloną przez zespół muzyką rytualną mieszkańców Dalekiej Północy. Nagrane tu śpiewy i krzyki to głównie hasła reklamowe i bełkot, zaś cała płyta stanowi intrygującą, choć zawoalowaną krytykę protekcyjnego podejścia białych Amerykanów do egzotycznych kultur własnego kontynentu.

Rok późniejszy „Commercial Album” z kolei to czterdzieści jednodominutowych kompozycji, w ogromnej większości bar-

dzo melodyjnych, mających przypominać dzingle reklamowe. Zespół przekonawał odbiorców, by każdego utworu słuchali trzykrotnie, dzięki czemu uzyskają w prosty sposób czterdzieści pełnowymiarowych, trzyminutowych piosenek pop.

W podobny, bezceremonialny, ale przemysłowy sposób zespół potraktował twórczość kilku wielkich postaci – Jamesa Browna (nagrał po swojemu całą stronę płyty koncertowej „Live at the Apollo”), Hanka Williamsa, Johna Philipa Sousy, George’a Gershwina czy Elvisa Presleya. Chciał w ten sposób przystawić krzywe zwierciadło nie tyle ich dziełom i dokonaniom, ile bezrefleksyjnie przeżywającym je w nieskończoność mediom i odbiorcom. Najbardziej przejmującym elementem tej strategicznej kampanii estetycznej jest „Love Me Tender” Presleya z ich płyty „The King & Eye”, gdzie Pan Czaszka na tle posępnej, rytmicznej muzyki błaga publiczność, by go czule kochała, kiedy zza horyzontu już dociera Brytyjska Inwazja („Meet the Beatles!”). Warto poszukać i posłuchać – rozgrywa się tam cały dramat de-tronizowanego Króla.

W przywołanym wcześniej wywiadzie dla pisma „Max” Homer Flynn mówił, że zespół chciał też, by Bob Dylan pod ich okiem samodzielnie nagrał jeszcze raz swoją sławną płytę „Blonde on Blonde”, obsługując wszystkie oryginalnie użyte tam instrumenty: „Residents rozmawiali na ten temat z samym Dylanem, ale ich inne zobowiązania uniemożliwiły realizację projektu”.

Prorocy i nauczyciele

Z czasem zespół nieco złagodził i skonwencjonalizował muzykę, ciężar krytyki przenosząc na słowo. Śpiewali o rozwarstwieniu społecznym (cykl płyt o Kretach i Kleniach, znany jako „The Mole Trilogy”), zniewoleniu słabszych przez silne jednostki (album „God in 3 Persons”), przemocy wypełniającej karty Starego Testamentu („Wormwood”), spustoszeniu duchowym po 11 września („Demons Dance Alone”) czy wampiryzmie emocjonalnym („Tweedles!”).

Są dziś prawdopodobnie najważniejszymi, jeśli nie jedynymi twórcami, którzy nadal rzetelny sens zjawisku albumu koncepcyjnego – ich płytom tematycznym, stanowiącym przytłaczającą większość dyskografii, rzeczywiście przyswie-



DOMENA - PUBLICZNA

Najsłynniejszy znak Residentsów, wielka gałka oczna, obecny jest w ich ikonografii od 1979 r.

cają ważkie, podporządkowujące ich treść pytania i zagadnienia.

Już w 1999 r. Homer Flynn wyrażał wobec mnie smutek z powodu niszczącej homogenizacji kultury i społeczeństwa amerykańskiego, trwającej od dekad komercjalizacji sztuki, a także prorocze obawy o wykradanie i fałszowanie cudzej tożsamości za pomocą internetu. Może zresztą także tu należy upatrywać konsekwencji w używaniu masek – twórczość zespołu ma bowiem przenieść odbiorców w świat, gdzie nie ma idoli, tożsamości, wizerunku, gdzie panuje umowność i wyobraźnia. Skoro nasza tożsamość jest tak narażona na manipulację, unieważnijmy jej konieczność.

Mimo pewnego ugłaskania ich muzyki w ostatnich dekadach, nadal w pełni korzystają ze zdobyczy technicznych i awangardowych technik studyjnych. Wśród inspirujących ich twórców można wymienić Carla Orffa, Johna Cage’a, Igora Strawińskiego, Elvisa Presleya, Bo Diddleya, Beatlesów, Sun Ra, The Fugs, a także dwóch najsłynniejszych autsajderów muzyki amerykańskiej, Moondoga i Harry’ego Partcha.

Niby operują na podobnym terenie co ceniony przez nich Frank Zappa, jednak przy pomocy innych środków, co zresztą staje się oczywiste od pierwszego kontaktu – o ile Zappa w satyrycznych wycieczkach korzysta pełnymi garściami z poczucia humoru, o tyle The Residents są zadumani, gorczy i mroczni. Podobnie nie należy ich wrzucać do jednego worka

z równie bezceremonialnym destrukto-rem znanych piosenek „Weird Alem” Jankovicem, który koncentruje się na błazeństwie dla błazeństwa.

Zresztą The Residents zdołali nie tylko zająć wyjątkowe miejsce w krajobrazie globalnej muzyki alt-awangardowej, ale też zainspirować eksperymentatorów muzycznych stosujących bardziej konwencjonalne estetyki. Udało im się to między innymi dzięki przyjememu na samym początku (w okolicach albumu „Meet the Residents”) przykazaniu: nie wolno nam wejść na grząski teren popularności, bo tylko w niszy zachowamy wiarygodność.

Brak sukcesu komercyjnego był więc od początku założeniem. Przy czym poza rozmyślną nieprzystępnością muzyki, skutecznym środkiem okazała się też tworzona od początku mitologia: anonimowość, współgrająca z nią Teoria Zaciemnienia (zgodnie z którą na przykład zespół nagrał płytę „Not Available”, czyli „Niedostępne”, w 1974 r. z myślą, by wydać ją dopiero wtedy, gdy muzycy zapomną o istnieniu taśm – album ukazał się jednak szybciej, w 1978 roku), a także całe grono prawdziwych i fikcyjnych postaci związanych ściśle z Residentsami, jak Bawarczyk Tajemniczy Nigel Senada.

Mityczność Residentsów była też przez lata 80. głównym elementem ich popularności w Polsce, gdzie w pewnych środowiskach więcej wiedziano o zespole niż znano jego nagrania. Sytuacja zaczęła się zmieniać po zmianie ustroju i otwarciu rynku, ale trzeba przyznać, że i tak wyprzedzili nas Czesi – w Pradze ukazywały się książki o zespole i przekłady ich tekstów, czego my nie doczekaliśmy do dziś.

Jedno o The Residents da się jednak powiedzieć na pewno: od pierwszych nagrań i debiutanckiego albumu sprzed pół wieku po dziś dzień, sześćdziesiąt płyt później, zawsze – nawet gdy biorą na warsztat cudze kompozycje – tworzą muzykę, jakiej nigdy dotąd nie słyszano.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI



RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na [Radio357.pl](#)

Kobieta samotna

ANITA PIOTROWSKA

Małgorzata Szumowska i Michał Englert po raz pierwszy w rodzimym filmie fabularnym pokazują, co znaczy być osobą trans w Polsce.



JEDNYM Z „PÓLKOWNIKÓW” TELEWIZJI publicznej epoki PiS-u był dokument Karoliny Bielawskiej „Mów mi Mariana” (2015), kilkakrotnie zapowiadany w ramówce, po czym w ostatniej chwili zdejmowany z anteny. Było to o tyle dziwne, że bohaterką nagradzanego na festiwalach filmu, współprodukowanego zresztą przez TVP, była transpłciowa kobieta, dla której szczególnie ważne są wartości rodzinne czy katolickie. I na tym właśnie – na odrzuceniu przez wspólnotę – polegał jej największy dramat.

W podobnym tonie, choć już tylko z akcentem na rodzinę, utrzymana jest „Kobieta z...”. Jej twórcy, Małgorzata Szumowska i Michał Englert, po raz pierwszy w rodzimym filmie fabularnym pokazują, co to znaczy być osobą trans w Polsce. I należy im przyklasnąć, bo stworzyli dzieło tematycznie nowatorskie, wieloaspektowe, kompetentne. Jakkolwiek chwilami można dyskutować ze sposobem przedstawienia na ekranie dotychczas spychanego na margines problemu.

Reżyserzy skupiają się na pojedynczym ludzkim doświadczeniu, lecz już tytuł, odsyłający do miejsca na mapie, ale też w przestrzeń symboliczną – gdzieś między „Ludzi z...” Andrzeja Wajdy a „Ko-

bietę samotną” Agnieszki Holland – nadaje tej historii szerszy wymiar. W tamtym kinie jednostka była wytworem swoich czasów i często ofiarą polityki, a film o Anieli z dolnośląskiego miasteczka, która urodziła się z fizycznymi cechami męskimi, także zostaje wpisany w konteksty historyczne.

Ów zabieg skłania do smutnych uogólnień: choć upadają systemy, przychodzą kolejne rządy i coraz bardziej stajemy się częścią Europy, to osoby, którym „ktoś podmienił ciało”, cierpią nie tylko z powodu dysforii płciowej czy wyobcowania w społeczeństwie, ale i na skutek fatalnego prawodawstwa. Bo również dzisiaj, chcąc rozpocząć proces uzgodnienia płci odczuwanej z płcią biologiczną, są zmuszone pozwać własnych rodziców. Pod tym względem, jako polemika z ideami wolności i równości dla wszystkich, bliżej filmowi do oskarżycielskiego tonu „kobiety samotnej” niż do wojującego kina Wajdy.

Historię ostatniego półwiecza potraktowano tu raczej plakatowo, co uważam za trafiony koncept: pomnik Lenina, Solidarność i JPII na murach, pochody pierwszomajowe, procesje religijne stają się jedynie wymiennym sztafżem. Z jakichś powodów Andrzej – skromny urzędnik, mąż, syn, ojciec, rugbista – w 1989 r. nie potrafi w pełni cieszyć się z wolności. Jakby przeczuwał, że owszem, wyjdzie w końcu z szafy, a dziki kapitalizm pozwoli mu dorobić na transycję nierefundowaną przez NFZ, ale napotka teraz inne przeszkody, zwłaszcza w napakowanych testosteronem la-

tach dziewięćdziesiątych. I wiele jeszcze wody upłynie w okolicznej rzeczce, nie raz kuszącej zdesperowanego Andrzeja/Anielę swym rwącym nurtem, nim transpłciowość przestanie być traktowana jako choroba psychiczna, fanaberia, zboczenie i jedno wielkie tabu.

Moment, kiedy w trakcie rodzinnego przyjęcia, gdzieś między wódką a zakąską, Andrzej fizycznie staje się Anielą i młody aktor Mateusz Więclawek oddaje pola dojrzałej wiekiem i doskonałej w tej roli Małgorzacie Hajewskiej-Krzysztofik, należy do najlepszych w filmie. Albowiem w gruncie rzeczy nie zmienia się dla nas nic prócz odczucia, że upłynął czas. Podobnie mocne są sceny, w których próbujemy się domyślić, czy i jak wiele domyśla się ukochana żona Iza (Bogumiła Bajor/Joanna Kulig) lub co czują oboje, gdy w związku z procedurami korekty płci muszą się rozwieść i rozstać wbrew łączącej ich więzi.

Aż chciałoby się zobaczyć opowieść bardziej skupioną na tym emocjonalnym dysonansie. Bowiem pod względem filmowym najlepiej sprawdza się w „Kobiecie z...” to, co niedopowiedziane i dwuznaczne. Na przykład w scenie na komisji wojskowej, gdzie młody Andrzej odmawiał zdjęcia skarpet, a pomalowane paznokcie u nóg mogły być po prostu fortelem, by wymigać się od służby zasadniczej – albo i nie.

Na przekór „ciężarowi gatunkowemu” historia Szumowskiej i Englerta rysowana bywa miękką kreską. Mimo że urokliwe miasteczko, ciepły trójpokoleniowy dom, pomocny brat i dobre relacje

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



LUKASZ BĄK / MATERIAŁY PRASOWE DYSTRYBUTORA

KOBIETA Z...

– reż. Małgorzata Szumowska,
Michał Englert.
Prod. Polska/Szwecja
2023.
Dystryb.
Next Film.
W kinach
od 5 kwietnia.

Na zdjęciu:
Małgorzata
Hajewska-Krzysztofik
jako Aniela Wesoły
i Joanna Kulig
jako Iza.

w pracy odsłaniają z czasem mniej przyjazne oblicze. Na szczęście Szumowska i Englert, spoglądając z dystansu na polską rzeczywistość, nie sięgają po bezlitosną karykaturę znaną z filmu „Twarz” i to wycienione czy skrywane okrucieństwo wobec odmienności bywa nie mniej dotkliwe.

Jednakże w nowym filmie, zapewne z powodu jego pionierskości i misyjności, raz po raz dokładane są kolejne pilne sprawy do odhaczenia. Prócz krzywdzącego prawa na tapecie pojawia się rodzinna hipokryzja, małomiasteczkowa transfobia, poszukiwanie identyfikacji w środowisku osób trans, życie seksualne w trakcie korekty płci, obłuda chrześcijańskiego miłosierdzia... Czasem, jak w przypadku tego ostatniego wątku, bywa całkiem zabawnie, innym razem zwycięża publicystyczna retoryka. „A ciebie nie ukrzyżują?” – pyta córeczka Anieli, usłyszawszy legendę o świętej Wilgefortis, średniowiecznej męczennicy z brodą. I oczywiście bohaterka musi dostać od scenarzystów jak najwięcej takich symbolicznych krzyży.

Oglądając „Kobietę z...”, trzeba pamiętać, w jakim momencie powstawała – jeśli chodzi o zrozumienie i poszanowanie dla osób transpłciowych, ciągle jesteśmy na wczesnym etapie edukacyjnym i emancypacyjnym. Stąd tak często wjeżdża u Szumowskiej i Englerta dydaktyka, a twórcy, szczególnie w finale, mimowolnie zamieniają się w dziennikarzy interwencyjnych czy rzeczników praw obywatelskich.

Paradoksalnie film sprawdza się najlepiej, gdy nie brzmi jak manifest, ale kiedy jest najbliższej swoich bohaterów, zanurza się w ich codzienności i mówi do nas ścisłym głosem. Uruchamia wówczas empatię i najzwyczajniej, po ludzku, oswaja problem. A przecież właśnie od tego, czyli od zmian oddolnych, w zbiorowej mentalności i wrażliwości, zaczynają się czasami zmiany systemowe.

Prawo, jak wiadomo, nie zawsze nadąża za społeczeństwem i kino powinno owe zmiany wyprzedzać, przeczuwać, postulować, choćby w formie życzeniowej fantazji. Dlatego film Szumowskiej i Englerta naprawdę dobrą robotę wykonuje wtedy, gdy opisując źle działający świat czy projektując ten lepszy, nie idzie na skróty, lecz pozwala wejść w prawdziwą skórę kogoś, kto urodził się w obcej skórze. Kto skazany został na życie w kłamstwie i strachu, lecz znalazł odwagę, by wreszcie żyć w zgodzie z własną tożsamością. ©

Lektor: Do synagogi



■ *Icchok Lejbusz Perec*
NOCĄ NA STARYM RYNKU
(SEN W NOC GORĄCZKOWĄ)
Przekład Marek Tuszewicki.
Wstęp Mirosława M. Bułat.
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2024, ss. 220.

GDZIE JEST TEN RYNEK, PRZEZ KTÓRY NOCĄ PRZEWIJAJĄ SIĘ mieszkańcy i przybysze, który nawiedzają grzesznicy z czyścica i umarli z cmentarza, gdzie ożywiają posągi z ratusza i blaszany kurek z dachu synagogi, gdzie kościół i jego dzwonnica rzucają na synagogę cień, a obok studni znajduje się tajemniczy bożek? Może to rodzinny Zamość autora? I czy to przypadek, że korowód postaci oraz oniryczna wizja niosąca niełatwe do interpretacji społeczne przesłanie kojarzą się nam z polskim romantyzmem i z Wyspiańskim?

Icchok Lejbusz Perec (1852-1915), jeden z trójcy klasyków literatury jidysz – dwaj pozostali to Szolem Alejchem i Mendele Mojcher Sforim – jedyny z nich miał „oczywiste powiązania polskie”, jak pisze badacz tej literatury Chone Shmeruk, znał świetnie język polski i polską literaturę. Był zresztą pierwszym i – jeśli się nie mylę – jak dotąd jedynym pisarzem jidysz wydanym w ossolińskiej Bibliotece Narodowej: „Wybór opowiadań” w przekładzie Anny Dresnerowej ukazał się w roku 1958. W ostatnich latach otrzymaliśmy też „Opowiadania chasydzkie i ludowe” (przeł. Michał Friedman) oraz tom „Martwe miasto i inne opowiadania” (przeł. Bella Szwarcman-Czarnota). Shmeruk uważa jednak, że esencją twórczości Pereca i jego poszukiwań ideowych są właśnie dramaty: „Nocą na Starym Rynku” i „Złoty łańcuch”, oba pisane przez wiele lat i pozostawione w kilku wariantach, oba odbijające wahanie między rezygnacją a nadzieją w postrzeganiu perspektyw żydowskiej społeczności. „Do synagogi!” – brzmi ostatnie wezwanie epilogu, ale zgłusza je dźwięk syreny fabrycznej...

W 1928 r. w Warszawie wystawiono „Nocą...” w inscenizacji Dawida Hermana, oczywiście w oryginale. „Słusznie powiedział ktoś, że podróże kształcą – napisał Tadeusz Żeleński-Boy. – Wczoraj wieczór wróciłem właśnie z takiej podróży: pojechałem na ulicę Karową zobaczyć Teatr Żydowski. I nie żałowałem tego”. Dalej zaś pytał: „Czy to ma jakiś sens, aby żyjąc obok siebie tak mało wiedzieć o sobie, tak zupełnie się nie znać? Grywa się u nas sztuki z całego świata, często błahe i liche, a nie czynimy absolutnie nic dla poznania duszy narodu, z którym jest nam przeznaczone współżycie”. Tamten świat został zamordowany, wezwanie Boya brzmi dziś inaczej. Ale pozostaje. ©P

OLGA

Drenda:

Płytki autentyk



DLACZEGO ZUPEŁNIE PRZYPADKOWO dobrane hollywoodzkie gwiazdy miałyby się interesować sprawami przywództwa małego kraju w Europie Wschodniej? Odpowiedź nie jest tak istotna jak fakt, że ktoś związany z Kremlen

uznał niedawno, że to świetny pomysł. Amerykański think tank zajmujący się badaniem dezinformacji, DFRLab, przeszedł drogi dystrybucji pewnego osobliwego nagrania wideo, które krążyło po TikToku i Telegramie. Oto amerykańscy aktorzy i aktorki, dobrani według dość zagadkowego klucza – od etatowego ekranowego gangstera Michaela Madsena czy Briana Baumgartnera, Kevina z „The Office” po nieco zapomnianą gwiazdę wczesnomilenijnych filmów dla młodzieży, Lindsay Lohan – posługując się fatalnym rosyjskim wzywają przed kamerą, „w imieniu aktorów Hollywood”, do zdymisjonowania mołdawskiej przywódczyni Mai Sandu. Ze względu na jej proeuropejską i antyrosyjską politykę, Sandu jest uważana przez Kreml za wroga, więc odpowiedź na pytanie *cui prodest* łatwo znaleźć i bez potwierdzania tego wywiadowczo. Ale łatwo zadać sobie odruchowo ironiczne pytanie – czy aktorzy naprawdę nie mają nic lepszego do roboty, albo czy aż tak bardzo narzekają na brak ofert, że są gotowi wejść w orbitę *russskogo mira*? Nafutrowani codziennymi wiadomościami o zagrożeniach ze strony sztucznej inteligencji być może jesteśmy skłonni uznać nagranie za *deep fake*. W końcu to takie „prawdziwsze od rzeczywistości” fałszywki mają stanowić główną broń w wojnie informacyjnej. Tymczasem okazuje się, że nie trzeba wcale kłopotać się generowaniem *deep fake*’ów,

czyli głębokich oszustw. Wystarczy stworzyć „płytki autentyk”.

Płytki, bo szyty grubymi nićmi, i autentyczny, bo zatrudnieni aktorzy faktycznie mówili to, co mówili. Kiedy sprawa wyszła na jaw, niektórzy przyznawali wręcz, że nie wiedzieli, w co dali się wrobić, nie znając znaczenia recytowanego tekstu. Filmiki zostały stworzone przy pomocy aplikacji Cameo, służącej do zamawiania dowolnych nagrań w wykonaniu znanych nazwisk, za stosowną opłatą. Jej twórcy (i, jak możemy sądzić, współpracujący aktorzy) mieli zapewne intencje zaistnienia w branży komercyjno-rozrywkowej, promując aplikację, która pozwala nagrać luksusowe życzenia dla babci czy gratulacje dla znajomego. Być może nie zastosowali strategii Stanisława Lema polegającej na próbie wyobrażenia sobie, co mogłoby pójść źle i do jakich niecnych celów można zastosować wynalazek. Ale może takie refleksje pojawiają się poniewczasie. Samoloty pasażerskie nie powstały wszak po to, by atakować nimi nowojorskie wysokościowce, a plastikowe sztucce – w celu terroryzowania pilotów, a mimo to zostały tak wykorzystane. Dzisiaj zastanawiamy się, jak bronić się przed potencjalnym wykorzystaniem bardzo zaawansowanych technologii w celu dywersji czy dezorganizacji państwa – podczas gdy okazuje się, że wystarczają sposoby proste, wręcz prymitywne, i legalne. Być może nikt nie wymyślił dotychczas skuteczniejszego oszustwa od wariantów metody na wnuczka.

Polityczny bandytyzm, terroryzm czy skrytobójstwo czasem działa tak skutecznie, bo opiera się na rodzaju bezczelności, na wcieleniu w życie czynów, o których łatwo pomyśleć: „to niemożliwe, przecież nikt by tego nie zrobił”, „to zbyt proste, to zbyt głupie”. „Przecież nikt nie wynająłby nieświadomych cywilów po to, żeby zabić kogoś w centrum handlowym pod pozorem telewizyjnego psikusa” – a jednak właśnie w taki sposób północnokoreańskie służby przeprowadziły zamach na Kim Dzong Nama. Albo „nie można sobie po prostu wejść na Kapitol, zwłaszcza w stroju bawołu”, a jednak komuś się to udało. Mołdawianie podobno śmieją się z propagandy suflowanej przez Rosję, komentując, że nie ma takiej rzeczy, której w Hollywood nie zrobią za pieniądze. Ale takich przekazów jest bardzo wiele, coraz więcej, na różnych kanałach; im sprawniej duże media społecznościowe starają się bronić przed dezinformacją, tym częściej celuje ona w nisze w rodzaju surinamskiego forum wędkarzy czy umiarkowanie popularne aplikacje w rodzaju Cameo, by w końcu dotrzeć na Telegram i TikToka. W wykorzystaniu starych, niepopularnych czy zapomnianych zakątków internetu po to, by służyły za dezinformacyjne katapulty, jest coś pouczającego. Przypomina to próby wywołania awarii elektrowni atomowej przy pomocy spinki do włosów i gumy do żucia. Brzmi to zapewne idiotycznie, ale to nie znaczy jeszcze, że nikt nie spróbuje tego zrobić. ©

Nie trzeba sztucznych głów, by stworzyć „fakty alternatywne”.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: *Dandelion w otulinie*



DZIESIĘĆ ŻŁOTYCH ZA GARŚĆ MŁODYCH LISTKÓW mniszka. Mój wewnętrzny sankiulot jęknął złowieszczo jak naprężona lina gilotyny, gdy płacił za zielsko porastające radośnie każdy nasz trawnik. „To już jasnie panu się nie chce schylać, plecki bolą, a czy pamiętasz z książek, kto to był Mao i jak reedukował takich jak ty przez pracę?”. Musiałem mu przyznać trochę racji, chociaż w kontekście raczej kosztownych pyszności, którymi kuśił przedsięwzięty targ w warszawskiej Fortecy, wcale nie był to finansowy eksces. Skoro jednak dopiero co przeczytałem, że Donald Trump sprzedaje po 60 dolarów obrandowaną swoją twarzą Biblię (z dodatkiem konstytucji oraz paru innych tekstów z elementarza wiedzy obywatelskiej), miałem chwilowo wyczerpany dzienny limit zgorznienia.

Ale z drugiej strony, tłumaczyłem sobie, że jest w tym jakiś moralny sens. Oto przy całej pasji do młodego mniszka, nie będę go przecież zrywał przy krawężnikach ulic ani nawet w głębi parku, gdzie nie ma samochodów, ale za to kochane pieski krążą pod czujnym okiem pańci trzymającej w pogotowiu gustowny futerał na foliowe woreczki. A jeśli nie wszystko do woreczka trafi? Płaciłem więc z radością za to, że znany bywalcom tamtego targu dostawca warzyw z otuliny Puszczy Kampinoskiej („otulina” – od razu chce się tam zamieszkać) pozrywał te listki w miejscu wystarczająco czystym, do którego samodzielne dotarcie zajęłoby mi pół dnia. W takiej optyce dziesięć złotych stanowiło słuszne wynagrodzenie za trud, wypłacone w całości bezpośrednio człowiekowi, który go poniósł, a nie wrzucone w paszczę systemu, gdzie z trzech złotych zapłaconych za litr taniego mleka w dyskoncie człowiek tyrający w obozie zobaczy może dwa i pół grosza.

W tym pęczku strzępiastych listków, w językach romańskich zwanych dostojnie „lwim zębem” – przy czym francuski ma jeszcze zgola niechlubną nazwę *pissenlit*, sugerującą, jakoby po spożyciu człek moczył łóżko – tkwiła jeszcze inna wartość dodana. A mianowicie momentalność tego przeżycia. Mniszek, tak jak pokrzywa, nie jest zazwyczaj uprawiany, w przeciwieństwie do rukoli, rukwi, mizuny, musztardowca i co tam jeszcze Pan Ziółko potrafi zasiać – zatem da się go zjeść tylko teraz, przez parę tygodni. Wszyscy narzekamy na rozmokłe sezony, ale jedni wolniej, drudzy szybciej dajemy się pochłoniąć bajce o życiu ponad czasem, zaczynamy lubić te lutowe truskawki albo szparagi we wrześniu. Nawet młode wino

już kupimy na wiosnę (z południowej półkuli, gdzie w lutym zaczyna się jesienny zbiór) – oj, okrutny Dionizos kiedyś się za to zemści. Zanim to się stanie, aby uciszyć resztki wyrzutów sumienia, dobrze jest czasem wrócić do czegoś, co nie odwiązało się jeszcze od swego czasu. Dziesięć więc złotych zdaje się go dziwić ceną odpustu za grzechy hipernowoczesnej diety.

Przy czym same listki niczym szczególnym się nie zalecają, ot przyjemnie – lub nieprzyjemnie, w zależności od tolerancji – gorzkawe, ale na pewno znacznie więcej w tym charakteru niż w bardziej cenionej w naszym kraju młodej pokrzywie, mdłej, w najlepszym razie z lekka kwaskowatej. Zjadam ją tylko z rozsądku dla niezliczonych korzyści zdrowotnych. Czytelnicy i czytelniczki z Wysp Brytyjskich mogą za to uczcić wiosnę lykiem *D’n’B* – od *dandelion and burdock*, które to słowa oznaczają mniszek i łopuch, z tych bowiem korzeni uzyskuje się aromat tradycyjnego napoju gazowanego, dostępnego wciąż w normalnym rynkowym obiegu. Kupujcie i pijcie, warto podtrzymać obecność napojów, których nie udało się rozpropagować od Lizbony po Tallin. Do tych skarbów narodowego orzeźwienia należy też Kofola, dawna soc-namiastka coli, słusznie odratowana przez Czechów. A przede wszystkim włoskie *chinotto*, niezapomniane

od pierwszego łyku połączenie coli ze smakiem gorzkich pomarańczy. Jedna z jego wersji (nie najlepsza, ale znoszna) jest w portfolio wielkiego koncernu, można ją więc złapać i u nas w niektórych włoskich sklepikach albo knajpach. Ale nieco dziwny smak, mam nadzieję, sprawi, że pozostanie jednak geograficznie dookreśloną osobliwością, wrośniętą w miejsce pochodzenia jak mniszek ze swoim korzeniem palowym wbitym niczym gwóźdź w glebę otuliny. © P



Do kwestii **listków mniszka** wracamy nie pierwszy raz na przednówku, ale nigdy dość namawiania, byście sięgali po niego, jeśli tylko macie kawałek ogrodu lub idziecie w niedzielę na łąkę (krowie placki są na pewno miłsze od psich kup, ale przypominam o myciu). Młode listki zerwane przed

pełnym kwitnieniem warto – wbrew częstym poradzom w polskim internecie – zjeść nie surowe, lecz po obróbce termicznej. Na **oliwie**, na której uprzednio rozgrzaliśmy **ząbek czosnku**, krótko, parę minut, podlewając wodą, zupełnie jakby to był szpinak. Można go zresztą ze **szpinakiem** mieszać pół na pół, jeśli chcemy złagodzić gorycz. Ostatnio mieszałem też z **młodą kapustą pak-choi**. I mamy dzięki temu gotowe cudne zielone łóżecko do **jajka sadzonego**. Albo możemy rzucić tak udużone i rozdrobnione liście do wiosennego **risotta** (w końcowej fazie gotowania ryżu) – dla kremowości dodałem na koniec nieco **solonego tłustego twarogu**, ale kanoniczny zestaw **masło plus parmezan** też da radę.

TERAPIA ARCHITEKTURĄ

Głosując w naszej gminie, decydujemy także o tym, jak wygląda przestrzeń wokół nas. Zmieniamy ją wspólnie.

BEATA CHOMĄTOWSKA

ZMYSŁY

ORYGINALNE SKŁADNIKI TEJ BRONI W FILMOWYM, WYBITNIE amerykańskim wydaniu to butelka bitej śmietany, pianek marshmallow i nadzienia dyniowego. Gwarantują, że skutecznie przyklei się do twarzy. Specjaliści odradzają nadzienia wiśniowe i truskawkowe ze względu na wizualny efekt, który może wywołać panikę. W pieingu nie chodzi o wyrządzenie fizycznej krzywdy. Ma skutecznie ośmieszyć.

Pieing to po angielsku rzut ciastem (od połączenia *pie* – „ciasto” i czasownika „rzucić”, czyli *throwing*). Slapstickowy gag, którego historia sięga początków XX w., gdy pojawił się na ekranie w niemych komediach (najsłynniejsza z tym motywem to „The Sweet Pie And Pie”), przejęty później jako gest protestu wobec autorytetów: polityków, przedsiębiorców i innych postaci, cieszących się przywilejami i władzą. Lista potraktowanych w ten sposób jest długa: od Billa Gatesa przez Andy’ego Warhola po Jeana-Luca Godarda. Ten ostatni akurat był bardzo zadowolony z bycia wziętym na cel i bronił przed aresztem słynnego belgijskiego „torciarza” Noela Godina, który zadał mu publiczny cios.

Wpływ

Zjawisko, o którym powstało multum artykułów, a nawet kilka książek, podsumowuje profesor historii amerykańskiej Alexander Bloom w wywiadzie dla „New York Timesa”: „Ciasta rozdowują gniew i identyfikują cel jako klauna. *Pieing* reprezentuje karnawałowy typ humoru, w przeciwieństwie do obrzucania przeciwników odchodami czy odpadkami”. Ciastem łatwo się też przejeść, więc gdy ląduje na czyjejś twarzy, ma sygnali-

zować utratę kontroli – zaatakowany przesadził, nie można go dłużej traktować poważnie.

W Polsce pierwsze skojarzenie z hasłem „pieing” to blog i konto na Instagramie pod taką nazwą, obserwowane przez 70 tys. osób. Prowadzi je Magdalena Milert, absolwentka architektury i urbanistyki na Politechnice Śląskiej. Jej „rzut ciastem” wymierzony jest przede wszystkim w tych, którzy decydują o kształcie przestrzeni publicznej w naszym kraju. I trzeba przyznać, że zwykle na niego zasługują. Memy, od których na „Pieingu” gęsto, dotyczą rozmaitych aspektów architektury, urbanistyki i gospodarki przestrzennej, którymi zajmuje się autorka. Ostatnio są to głównie kwestie mieszkaniowe.

„Pracowałam kilka lat w biurach architektonicznych, ale uznałam, że to nie moja bajka. Rzuciłam tę pracę na rzecz opowiadania o tym, jak robić miasto” – pisze Milert na stronie. Dopytuję, co wpłynęło na tę decyzję, mając w pamięci artykuł opublikowany niedawno przez stołeczną „Gazetę Wyborczą”, podsumowujący badania nastrojów przeprowadzone wśród studentów architektury oraz ich nauczycieli akademickich (łącznie 2,2 tys. studentów i 200 wykładowców z całego kraju przepytanych przez członków Stowarzyszenia Akademickiego Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej).

Tekst odbił się szerokim echem nie tylko w branży, bo ujawnił, że 78 proc. wybierających ten zawód skarżyło się na problemy psychiczne związane z obciążeniem nauką. Zarwane noce spędzone na niekończącym się poprawianiu projektów są standardem już na etapie studiów. Tymczasem poświęcenie, jak



BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Zrewitalizowana część parku Jordana w Krakowie, maj 2021 r.

wynika z tego samego badania, idzie na marne, bo choć prawie 90 proc. absolwentów uważa zawód architekta za ważny i wyjątkowy, zostaje w nim zaledwie połowa.

Milert potwierdza tę diagnozę: – Praca projektowa ma niły wpływ na zmienianie miasta. Pracownice nie zapewniają zatrudnienia na umowę o pracę, więc na śmieciówce czy B2B nikt nie będzie się wyklócał o idee, skoro nie ma gwarancji zatrudnienia – mówi. Długo gryzła ją świadomość, że w ciągu dnia, pracując w kolejnych biurach projektowych, bierze udział w tworzeniu średniej lub kiepskiej architektury, a wieczorami czyta książki mówiące o tym, że istnieje coś takiego jak psychologia środowiskowa, psychologia przestrzeni i że należy walczyć o dobre miasta: – Moje odejście z branży było powiązane z bardzo silnym kryzysem psychicznym. Zaczęło się od nerwobóli w klatce piersiowej, myślałam, że mam problemy z sercem. Po długim L-4 postanowiłam, że nie wrócę do biura.

Wielu absolwentów, rezygnując z dalszej kariery jako „mgr inż. arch.,” wyzywa się twórczo przy projektowaniu grafiki. Magdalena Milert też się nią zajęła, pracując jako wolny strzelec. Najwięcej ofert dotyczyło tego, co dziś fachowo określa się „tworzeniem treści w mediach społecznościowych”. Wykorzystała te doświadczenia, tworząc „Pieing” z potrzeby wypowiedzania się na temat architektury, bo nie przestała się nią interesować.

Przyciągała uwagę odbiorców, publikując ciekawostki i stale ulepszając treści na bazie tego, co ludzie chcą oglądać. „Pieing” wyróżniał się tym, że od początku wyglądał profesjonalnie. Stopniowo stał się tak popularny, że zmusił ją do zało-

żenia własnej firmy. Okazało się, że jako komentatorka i edukatorka ma większy wpływ na wprowadzanie zmian w miejskim otoczeniu, niż miałyby, projektując.

Wstyd

Pomysłowe i spójne graficznie wpisy na „Pieingu” prowokują dyskusje, nazywając po imieniu zjawiska, które dają się we znaki zwłaszcza młodszemu odbiorcom. Nie bez powodu najchętniej komentowane są wątki związane z mieszkalnictwem. Tak było, gdy Milert obnażyła działania flipperów, zasypujących klatki schodowe ulotkami, w których podszywają się pod pary lub rodziny szukające własnego kąta, by kupić tanio mieszkania bezpośrednio od właścicieli i sprzedać za wyższą cenę. Strzał był celny, o czym świadczyły również obelgi, które posypały się pod jej adresem.

Falę osobistych zwierzeń wywołał natomiast wpis, w którym autorka przyznała się do wstydu, jaki sama odczuwała, mieszkając w okresie dzieciństwa w 38-metrowym mieszkaniu razem z dziadkami – bez szans na zaproszenie kolegów. „Okazało się, że dla wielu osób to temat ważny, powracający podczas opisywania domu na lekcji, przeglądania starych zdjęć, wyposażania swojego M” – skomentowała potem.

– Mieszkanie to miejsce, które powinno być bezpieczne. Sugeruje to już związane z nim słownictwo: *ciepłe* gniazdko, *dach* nad głową, *własny* kąt, domowe *pielesze*, cicha *przystań*. Ma ogromny wpływ na życie – mówi Milert. – Można to porównać dzięki wskazaniu poziomemu deprywacji mieszkaniowej, ➔

→ na którą składają się takie czynniki jak niewystarczająca wielkość i zły stan techniczny lokalu. Przyczyniają się one do problemów zdrowotnych, mogą także mieć szkodliwy wpływ na rozwój dzieci – dodaje, zaznaczając, że wymieni tylko kilka najważniejszych aspektów, bo temat jest na tyle obszerny, że nadawałby się na książkę.

– Zła jakość powietrza, wilgoć, słaba wentylacja i brud mogą prowadzić do wykwitów pleśni, rozwoju roztoczy i innych alergenów. Badania wskazują, że dzieci z takich domów gorzej się uczą, nie podejmują nauki na wyższych poziomach. Ekstremalnie niskie i wysokie temperatury wiążą się ze zwiększoną śmiertelnością. Od lat możemy obserwować podwyższone statystyki umieralności seniorów w trakcie upalnych dni. Najbardziej narażeni są tzw. niewolnicy czwartego piętra, czyli osoby żyjące w bloku bez windy, mające ograniczone możliwości poruszania się.

By to zmienić, trzeba głośno mówić o tym, jakie standardy domostw są poniżej dopuszczalnej normy. W 2005 r. Polska, obok Łotwy i Litwy, była krajem o największym udziale dzieci i młodzieży żyjących w bardzo złych warunkach mieszkaniowych. I choć inne wskaźniki deprivacji od tamtego czasu stopniowo się poprawiają (jak choćby przeciętna wielkość mieszkania), to pod względem przeludnienia lokali Polska wciąż znajduje się w ogonie Europy.

Lęk

Kontekst bezpieczeństwa pojawia się też w naszej rozmowie w odniesieniu do przestrzeni publicznej, jako echo dramatycznego zdarzenia, jakim był brutalny gwałt i zabójstwo młodej Białorusinki w centrum Warszawy: – Nie bez powodu najgorzej pod tym względem wyglądają centra, które oddane są pod kluby oraz najem krótkoterminowy – mówi Milert. – W Krakowie do centrum nie idzie praktycznie nikt, kto tam mieszka. Sama pracowałam na jednej z ulic odchodzących od Rynku Głównego i powrót z pracy w czwartkowe i piątkowe popołudnie wiązał się z zaczepkami pijanych turystów. Nie czułam się tam bezpiecznie. Ten strach jest czymś, w czym wzrastamy.

Według Milert rozwiązaniem jest feministyczne miejskie projektowanie. Ten termin rozumie jednak szerzej niż dążenie do eliminacji obaw przed samotnymi powrotami do domu przez centrum, gdy jest się kobietą: – To projektowanie równościowe, a nie tylko „dla kobiet”. Tworzenie miast dla młodych rodziców, którzy mogą bezpiecznie i łatwo dotrzeć z wózkiem do danego miejsca, miast dla osób poruszających się na rowerze, niezależnie od wieku i płci. Miasta feministyczne są po prostu zaprzeczeniem patriarchalnego rozumienia świata, w którym to mężczyzna jest siłą wytwórczą, porusza się tylko na kursie dom-praca-dom, a role opiekuńcze przeznaczone są dla kobiet, którym do-



Zrzut z Instagrama
Magdaleny Milert („Pieing”)

datkowo jest trudniej się po takim mieście przemieszczać choćby ze względu na rozlokowanie funkcji usługowych.

Głos

„Wyśmiewanie jest najpotężniejszą bronią, bo niezmiernie trudno przeciwstawić się kpinom” – czytam w poradniku dla aktywistów „Rules for Radicals”. Jak wyjaśniała aktywistka na przełomie wieków w San Francisco grupa Biotic Baking Brigade, uchodząca za „flan-archistów” („flan” to rodzaj cienkiego ciasta), jeszcze jeden wiec zorganizowany w mieście, w którym co rusz ktoś protestuje, może umknąć znudzonym demonstracjom dziennikarzom. Gniewne listy do redakcji trafiają zwykle do śmietnika. Tymczasem załosny i śmieszny zarazem widok, jaki gwarantuje celny rzut ciastem, tworzy – choćby na moment – szczelinę w medialnym murze. Ta chwila wystarcza, by wyłożyć powody, dla których zaatakowane osoby zasługiwały na to, by je ukarać.

Od Magdaleny Milert dostaje się zarówno środowisku architektonicznemu, jak i urzędnikom, którzy decydują o wyglądzie polskich miast. Jak mówi, pozbyła się złudzeń, że można dziś łączyć ideowość z tworzeniem architektury odpowiadającej szczytnym założeniom, jak w środowisku modernistów przed drugą wojną światową, gdy realizowano choćby pierwsze osiedla społeczne z myślą o poprawie jakości życia gorzej sytuowanych mieszkańców, zwłaszcza robotników. Dziś polska przestrzeń publiczna jest owocem przepisów, kultury i przyzwyczaj-

zeń. Weźmy tendencje do „betonozy”, w jaką zmieniają się rynki wielu miast. Przepisy, na których oparte są przetargi, nakazują stosowanie materiałów tanich, trwałych i polskich. Konserwatorzy niechętnie zgadzają się na sadzenie drzew, argumentując to wymogiem ochrony elewacji. Skwery z drzewami kojarzą się z koniecznością grabienia liści, a powidoki poprzedniej epoki sprawiają, że władze wolą „uporządkować teren”, czyli wybrukować.

– Jest trochę pracowni, które starają się tworzyć budownictwo przemysłane, wpisujące się w kontekst, czasem nawet robią coś dla społeczności, jednak w głównej mierze działania opierają się na kapitalistycznym wykorzystywaniu gruntu i powierzchni użytkowej – mówi. – Jedyne, co może poprawić jakość architektury to obecnie przepisy prawa, zarówno te polskie, jak i unijne. Tu zaś dużo do powiedzenia mają samorządy, wprowadzające plany zagospodarowania przestrzennego, które określają precyzyjnie granice rozwoju miast i zasady zagospodarowania już zurbanizowanych terenów. O jakości tych decyzji świadczy niekończący się wysyp „pieingowych” memów z przykładami rozmaitych patologii. – Przestrzeń naszych miast nie jest tworem naturalnym, została zaprojektowana.

Owszem, był to proces wielowątkowy, bardzo złożony i nawarstwiający się. Za konkretnymi decyzjami stały konkretne osoby.

Główne grzechy polskich władz to według Milert kadencyjność i krótkowzroczność planowania oraz silosowość organizacyjna, czyli sytuacja, w której poszczególne komórki decyzyjne mają różne cele i działają zupełnie rozbieżnie, nie analizując wpływu swoich decyzji na otoczenie. Zaznacza jednak, że w procesie tworzenia miast istnieje sprzężenie zwrotne; nie jest tak, że po jednej, uprzywilejowanej stronie znajduje się decydent, a po drugiej bierny mieszkaniec. – O ile dawniej pewne ustalenia mogły nie należeć do przeciętnej Magdy czy Beaty, teraz mamy takie narzędzia jak budżet obywatelski, inicjatywy ustawodawcze czy prawo wyborcze. W przeddzień wyborów samorządowych wydaje mi się niezwykle ważne, by podkreślić, że w dużej mierze od tego, na kogo będziemy głosować w naszych gminach zależy to, jak będzie wyglądać nasze miasto. To tu klaruje się polityka przestrzenna, transportowa, uchwalany jest budżet, od którego zależeć będzie, czy powstanie nowy park, czy działka zostanie sprzedana pod kolejny apartamentowiec na najem krótkoterminowy.

Kompleks

O celności „pieingowych” ciosów świadczą reakcje publiki, która nierzadko też podsuwa ważne tematy. Milert – podobnie jak miejscy aktywiści działający w terenie – jest głosem sporej grupy młodszych mieszkańców obciążonych kredytami albo bez szans na ich pozyskanie, z kosztami wynajmu często kroć pochłaniającymi połowę dochodów lub dzielącymi wciąż mieszkanie z rodzicem z przyczyn ekonomicznych. Zainteresowani architekturą i polityką miejską, rozczarowani działaniami polityków i projektantów. Z zaangażowaniem komentują wątki dotyczące zatłoczenia polskich miast, wysokich kosztów życia w dużych ośrodkach, suburbanizacji, czyli przenoszenia się na tereny podmiejskie w poszukiwaniu cenowo dostępnego mieszkania o większym metrażu, której skutkiem, jak zwraca uwagę Milert, jest często wykluczenie komunikacyjne, bo nastolatki uzależnieni są od samochodu rodziców albo rzadko kursującego autobusu.

„Pieing” w jej wydaniu to zero demagogii, orężem jest nie torcik, lecz konkret. Przeciwnikom trudno nazwać jej głos fanaberią, bo każdą wypowiedź podpira fachową wiedzą. Przywołuje statystyki, przepisy. Rozwiewa mity, jak ten dotyczący turystyki, która dla miejskich włodarzy była wyznacznikiem sukcesu, a dla stałych mieszkańców bywa przekleństwem. – Opór ciągle wynika z kompleksów i myślenia o mieście jako wartościowym w momencie, gdy przyciąga ono jak najwięcej turystów. Po drugie musimy pamiętać, że wiele miast przeobraziło się pod potrzeby turystów w ciągu ostatnich 20 lat, od momentu otwarcia granic na mocy układu z Schengen, a wiele samorządów dalej jest zarządzanych przez te same osoby, które wprowadzały polityki turystyczne dwie dekady temu – mówi i jako przykład podaje Kraków. – W efekcie nie ma nowej siły, która kry-



MAGDALENA MILERT:

Dobra przestrzeń
to taka, która nikogo
nie wyklucza.

tycznie zmieni myślenie o mieście. By zmierzyć się z tym wyzwaniem, potrzeba szeregu działań – od zmiany komunikatu do turysty, który często brzmi „hej, u nas jest tani alkohol!”, przez ograniczanie dni możliwych do wystawiania mieszkania w najmie krótkoterminowym, wzmożone patrole policji, które będą dbać o bezpieczeństwo nocnych, imprezowych ulic, wdrażanie polityki zakazu sprzedaży alkoholu w godzinach wieczorno-nocnych, po kierowanie oferty kulturalnej do samych mieszkańców, oddawanie im miasta pod lokalne usługi rozrywki inne niż pielgrzymka po pubach.

No dobrze, ale czy w ciągu tych 20 lat, jakie upłynęły od otwarcia granic, coś się może jednak też zmieniło w polskich miastach na lepsze, choćby dzięki pozyskaniu unijnych funduszy? – Bardzo wiele, zwłaszcza jeśli prześledzimy sobie, gdzie zostały wydatkowane pieniądze – przyznaje Milert powołuje

się na dane. – Głębokiej depriwacji mieszkaniowej 20 lat temu doświadczało co trzecie polskie dziecko. W 2020 r. takich warunkach mieszkało tylko 7,9 proc. ludności. Inwestowano w infrastrukturę transportową, termomodernizację, placówki publiczne. Widać coraz więcej ścieżek rowerowych, co przekłada się na lepszą jakość powietrza i dostęp do tras rekreacyjnych poprawiła się polityka segregacji odpadów – wylicza, zauważając jednak, że beneficjentami zmian były większe miasta.

Projekt

70 tys. obserwatorów to już populacja miasteczka. W takim razie jak wyglądałoby idealne miasto według Magdaleny Milert, gdyby mogła nim rządzić? – pytam, świadoma, że za bezkompromisowość wielu rzuciłoby chętnie ciastem także w nią. Odpowiedź jest przezorna: – Daleka jestem od monarchistycznych zapędów, dlatego urządzanie chętnie oddałabym pod projektowanie demokratyczne. Z zastrzeżeniem, że nie byłaby to partycypacja po polsku. A więc liczyłyby się tu głosy nie tylko tych, którzy na spotkaniach najgłośniej artykułują swoje postulaty.

Dobra przestrzeń to dla niej taka, która nie wyklucza grup najbardziej wrażliwych i przy pomocy drobnych działań próbuje zmieniać jakość życia właśnie tych, którym jest najtrudniej. – Byłoby to więc miasto zielone, bez barier architektonicznych, czyli schodów, za ciężkich drzwi, przejść podziemnych, za to z wygodnym transportem zbiorowym, mieszkaniem dostępnymi, cieniem i ławkami – mówi. – Nie brzmi to spektakularnie, ale za dużo mamy wielkich inwestycji robiących efekt „wow”, a za mało skupiamy się na projektowaniu przyjemnej codzienności.

Nie bez powodu też na znaczeniu zyskuje ostatnio termin „terapia architektura”, kojarzony dotąd z tworzeniem miejsc takich jak ośrodki rehabilitacji czy opieki, gdzie odpowiednie zagospodarowanie przestrzeni służy poprawie zdrowia. A przecież już od czasów Karty Ateńskiej zieleni, dostęp do naturalnego światła, optymalny dla zdrowia poziom wilgotności powietrza czy stopień natężenia hałasu to dobra podstawowe, które należą się każdemu mieszkańcowi – bez recepty.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: Kompromitacja



OD DOŚĆ DAWNA OBRACAMY W USTACH słowo „kompromitacja”. Lubimy je, bo ma smak i wagę. Każda kompromitacja ma swój osobliwy urok, też dlatego, że jest pożądana, a pożądanie kojarzy się nam z przyjemnością. Kompromitacja, zwłaszcza w po-

lityce, dodaje państwu energii, demokrację okrawa z nudy, daje ludziom rozrywkę i satysfakcję oraz ułatwia wybór. Słowem, kompromitacja jest, a raczej była, wydarzeniem, które uznawaliśmy za fajny moment w niefajnym świecie.

Może kogoś zastanowić zamiana czasu teraźniejszego na przeszły, zmiana zrobiona w trakcie zapisywania. Owszem, zmieniliśmy czas na nieteraźniejszy, bo kompromitacja jest nieaktualna. Śmierć kompromitacji jest widoczna gołym okiem. Popatrzmy na przywołaną tu politykę. Czy można się dziś w polityce skompromitować? To nie jest możliwe. Kompromitacje polityków, poczynawszy od sprzeniewierzenia się przysiędze parlamentarzysty, a na drobnych przestępstwach pospolitych kończąc, nie zmieniają na serio ich sytuacji prawnej, towarzyskiej czy społecznej.

Dawniej, gdy gwarzyło się – dajmy na to – przy piwku o przyszłości jakiejś formacji politycznej, można się było zastanawiać, jakież kompromitujące wydarzenie mogłoby ją zmieścić ze sceny. Rzecz jasna, rozważania te były mocno oparte na polskiej specyfice, czyli na spisie czynów, które są kompromitujące w naszym tu polskim mniemaniu, no i się zdarzały. Powiadało się zatem, że bezbrzeżną moc kompromitacji ma, a co za tym idzie, niesie pewność rychłego upadku, upublicznione, grzeszne wzbogacenie się. Albo – kolejny banał – kontakty ze światem *stricto* przestępczym albo złapanie polityka *in flagranti*, a może jego nadmierna wulgarność, oczywiście

w podsłuchanej rozmowie. Oto – popatrzmy – wulgarność nie ma dziś żadnego znaczenia. Ostatnio publikowane podsłuchy p. D. Obajtka są nagraniami wyłącznie przekleństw. Jest to rwący potok najbardziej robaczywego języka, jaki sobie można wyobrazić, a poza brzydkimi słowami niewiele można zrozumieć, jest także kłopot ze złapaniem sensu jego wypowiedzi. Czy to p. Obajtka kompromituje? Skądże. A więc wulgaryzmy nie, ale też – popatrzmy – nic innego i nikogo ze stworzonej przez nas na chybika listy. Przyczynił się do tego – naszym zdaniem – beziemienny geniusz. To człowiek, który wprowadził do naszej mowy i myśli zdanie wiekopomne: „Kradną, ale się dzielą”. Ono wybiło zęby każdej kompromitacji w Polsce, w której występuje choćby jedna skradzioną bądź zdefraudowaną złotówkę pochodząca z podatków. Zdanie to unieważniło w Polsce na dobre siódme przykazanie, które zresztą i tak od lat zaszło patyną. Kompromitacja? Owszem, ale na dawny sposób. Nie usłyszeliśmy nikogo, kto z racji uprawiania jakiegokolwiek profesji zajmującej się głoszeniem nauk moralnych powiedziałby do zdemoralizowanej publiczności, że jest to podejście gruntownie niemoralne. Nikomu żadna interwencja nie wpadła do głowy, a zważyć wypada, że zdanie „Kradną, ale się dzielą” jest znane i cytowane we wszystkich sferach tutejszego społeczeństwa, od lewa do prawa.

Chcemy przy okazji dopowiedzieć, że poza słowem kompromitacja, które, jako się rzekło, lubimy, zachwyca nas słowo kompromat. „Trwa szukanie kompromatów” – powiada pani w telewizji, robiąc dobrą minę do gry, której nie wygra. A to dlatego, że nie ma już kompromatów w naszym polskim świecie. No i co z tego – pytamy – że w bielizniarce byłego ministra ktoś znajdzie teczkę kwitów wyniesionych z tajnej kancelarii państwa polskiego, że obok teczki będzie leżeć niezadeklarowana w urzędzie skarbowym gotówka w walucie wrogiej naszej polskiej złotówce, że zostanie tam znaleziony brązowy alkohol w butelce bez akcyzy, że także w ręce śledczych wpadnie wydzielająca podejrzany zapach uschnięta łodyga z liśćmi oraz, oczywiście, bo to w przeszukiwanej bielizniarce być zawsze musi: zdjęcia – jak to ktoś ładnie kiedyś ujął – nie do końca ubranych pań. Trzydzieści lat temu byłyby to, owszem, kompromaty, byłaby afera. Ale dziś? Kradł, ale się dzielił, więc nie ma się co podniecać.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ





Pomagam.pl

Jak się czujesz, pomagając innym...
Dobrze, prawda? Pomaganie sprawia
radość i daje nam poczucie spełnienia.
To szczęście, że jesteśmy komuś potrzebni.

Pomoc to coś więcej niż dawanie wsparcia.
To relacja, która wzmacnia obie strony –
jedna zyskuje pomoc, druga czuje się
szczęśliwa i ważna. W ten sposób tworzymy
więzi. Budujemy przynależność i zaufanie.

Prośenie o pomoc bywa trudne. Jeśli się
wahasz, przypomnij sobie to uczucie
szczęścia. Pomyśl, jak reagujesz,
pomagając, i pamiętaj, że zawsze możesz
liczyć na innych. Ludzi takich jak Ty,
bo w gruncie rzeczy po prostu...
lubimy pomagać.

**Jutro to mogę być ja i poproszę
o pomoc. Bez wstydu.
Nie oceniam. Pomagam.**

Wejdź na Pomagam.pl i stwórz **zbiórkę pieniędzy na to, co ważne:** dla siebie, swoich bliskich lub
na inicjatywy bliskie Twojemu sercu. Założenie zbiórki jest **całkowicie darmowe i trwa kilka chwil.**
Jesteśmy po to, by pomagać!



DZIEJE MIASTA

w którym rozpoczęła się historia Polski



Historia Poznania autorstwa Przemysława Matusika dostępna na sklep.wmposnania.pl